

Ora Regev



A rzeka
nadal
płynie

A rzeka nadal płynie

לזכר הורי,
מתוך הגעגוע אל הלא ידוע
יצאתי למסעותיי בנבכי הזמן

Ora Regev

A rzeka nadal płynie

z hebrajskiego przełożyła

Ayelet Shafir

werset[®]
Lublin 2014

Projekt okładki
Agata Pieńkowska

Opracowanie redakcyjne
Konrad Byzdra

© Copyright by Ora Regev, 2014

© Copyright by Wydawnictwo Werset, Lublin 2014

Wydawnictwo Werset
ul. Radziszewskiego 8/216
20-031 Lublin
tel./fax 81 533 53 53
wydawnictwo@werset.pl
www.werset.pl

Wstęp

Wspomnienia Ory Regev to pełna emocji relacja z sentymentalnej podróży śladami jej matki Pepki po Polsce. Autorka przedstawiła niezwykle ciekawy dla polskiego czytelnika obraz przeżyć ludzi, którzy ocalili po Holokauście. Polacy – przedwojenni sąsiedzi, koledzy i przyjaciele Żydów – nie mogli często zrozumieć, dlaczego ich bliscy zerwali wszelkie kontakty z rodzinnym krajem. Zastanawiali się nad fenomenem zainteresowania przeszłością rodziców i dziadków ze strony powojennego pokolenia ocalonych z Zagłady, które urodziło się i wychowało poza granicami Polski. Znane są liczne przykłady podróży Żydów po polskich miejscowościach w poszukiwaniu strzępów informacji o swoich korzeniach. W niniejszej książce w serce czytelnika szczególnie głęboko zapadają wewnętrzne przeżycia autorki związane z odkrywaniem przeszłości, miejsc i ludzi, o których słyszała w dzieciństwie od matki. Niezwykle interesujący jest nakreślony obraz współczesnej Polski i Polaków w świetle stereotypów zakodowanych w umysłach narodów polskiego i żydowskiego. Autorka przedstawia historię funkcjonującą w relacjach ludzi, świadków i uczestników wydarzeń. Często możemy więc natrafić na kartach jej relacji na zniekształcone nazwy, nazwiska czy fakty, które w ludzkiej pamięci zmieniały upływający czas. Świeże pozostały natomiast przeżycia i towarzyszące im emocje, które mocno oddziałują na czytelnika. Momentami relacja

trzyma w napięciu, wciąga w intrygującą akcję – jak znakomita powieść detektywistyczna.

Wydaje się, że wspomnienia Ory Regev odegrają znaczącą rolę w ponownym wzajemnym poznaniu się obu narodów, w zrozumieniu przeżyć i wartości, z perspektywy których postrzegają rzeczywistość.

* * *

Pierwsze informacje o Żydach w Lubaczowie pochodzą z końca XV w., chociaż niewykluczone, że mogli się tu pojawić już w momencie lokacji miasta na prawie niemieckim w 1376 r. W odrodzonej w 1918 r. Polsce Żydzi stanowili około 10% ludności. Na podstawie spisu z 1921 r. możemy ustalić, że w Lubaczowie liczącym 5303 mieszkańców żyło ich 1715. Według spisu z 1931 r. miasto zamieszkiwało 2319 Polaków, 2145 Rusinów (Ukraińców), 1794 Żydów, 1 Niemiec i 2 Czechów. Spis z 1934 r. informuje, że w Lubaczowie było około 33% Żydów – 1973 osoby na 6377 mieszkańców.

Żydzi dominowali w handlu i rzemiośle. Istniały między nimi znaczne różnice majątkowe. Najbogatsi to właściciele przedsiębiorstw lub dzierżawcy, hurtownicy zajmujący się handlem zbożem, tytoniem czy piwem. Średniozamożni to detaliści i właściciele niewielkich sklepów. Najbiedniejsi to kramarze, domokrzęcy i tzw. zarobnicy. W Lubaczowie do bogatych należeli: Hersch Dornier – eksporter węgla i koksu, Markus Gabel – hurtownik zboża i ziemiopłodów, Abusch Brunner i Szymon Taube – zajmujący się przemysłem drzewnym, Markus Strasberg – właściciel młyna na Ostrowcu, Ire Schickler – właściciel stacji benzynowej w rynku. Do Żydów należało około 100 sklepów.

W 1934 r. Zarząd Miejski zawarł umowę z dzierżawcą młyna nad rzeką Sołotwą Maurycym Friedmanem na dostarczanie prądu na oświetlenie ulic i placów miasta od 1 stycznia 1935 r. Młyn ten miał dwie turbiny prądotwórcze. Na umowie podana jest informa-

cja o miejscu zamieszkania Maurycego Friedmana w Drohobyczu przy ul. Świętego Jana 33.

We wrześniu 1939 r. w obliczu agresji niemieckiej na Polskę Żydzi i Polacy, pozbawieni szans na zewnętrzną pomoc, znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Już 12 września 1939 r. Niemcy zajęli Lubaczów, a w nocy z 13 na 14 spalili obie synagogi. Zaczęły się prześladowania Żydów. Kolejny agresor – Związek Sowiecki – chwilowo ocalił Żydów na terytoriach wcielonych do ZSRS. Z zadowoleniem witali oni wojska sowieckie, które 26–27 września wkroczyły do Lubaczowa. Wkrótce jednak, podobnie jak Polacy, stali się ofiarami komunistycznego systemu. Podlegali laicyzacji, deportacjom i nacjonalizacji prywatnych przedsiębiorstw. Szczególnie dotkliwa była likwidacja prywatnego handlu.

Atak Wehrmachtu na ZSRS 22 czerwca 1941 r. postawił ludność żydowską przed nieuchronną zagładą. We wrześniu okupant przystąpił do ogradzania lubaczowskiego getta. Powołano radę żydowską, tzw. Judenrat, w celu wykonywania niemieckich rozkazów. Zadaniem rady była realizacja m.in. przymusu pracy, ściągania kontrybucji, organizacji przesiedleń do getta i pomocy dla biedoty oraz najbardziej tragiczne – wyznaczanie Żydów do transportu do obozów. Przewodniczącym Judenratu był adwokat Józef Osterman. Kierowana przez niego policja żydowska z całą bezwzględnością wykonywała polecenia faszystów. Wytypowane rodziny prowadzono na stację kolejową, skąd odchodziły transporty kolejowe do Bełżca i Sobiboru.

Wielu zapobiegliwych przystąpiło do przygotowywania podziemnych kryjówek na swoich posesjach, w domach czy też u znajomych Polaków. Eliasz Koenig, kupiec w branży żelaznej, kopał schron w szopie na węgiel, Jankiel Nadel – w domu pod podłogą, Józef Osterman – w piwnicy domu nr 10 przy rynku. Wielokrotnie Żydzi płacili złotem za odroczenie wyjazdu z getta w Lubaczowie. W dniu 1 grudnia 1942 r. zostało ono szczelnie zamknięte. Opuszczenie go groziło karą śmierci. Polaków zapoznawano z rozporządzeniem dowódcy SS

i policji gen. F. Krugera: „Kto Żydowi świadomie udziela schronienia, tzn. kto w szczególności umieszcza Żyda poza obrębem żydowskiej dzielnicy mieszkaniowej, żywi go lub ukrywa”, podlega karze śmierci wraz z całą rodziną.

W mroźny piątek 8 stycznia 1943 r. hitlerowcy przystąpili do likwidacji getta. Z Rawy Ruskiej do Lubaczowa przyjechał specjalny oddział likwidacyjny. Stanisław Młodziński, który mieszkał w szkole przy rynku, widział, jak formowały się grupy likwidacyjne w składzie: dwóch Niemców, jeden policjant ukraiński i jeden policjant żydowski. Policjanci żydowscy weszli do getta i wypędzali Żydów z domów na ulice. Do opornych i ukrywających się żandarmi strzelali na miejscu: „Mężczyzn, kobiety, starca, dziecko – bez litości, bez awantury. Spokojnie, na zimno” – zapisał w kronice naoczny świadek ks. Józef Mroczkowski. Podobne opisy zawiera kronika parafii w Lubaczowie: „Gęstym strzałem odpowiadają liczne zwłoki, leżące bez wyboru wszędzie. Rodzaj polowania na ludzi trwa przez cały piątek... w następnym dniu historia się powtarza”. Według dra Zygmunta Kubraka nie odpowiada prawdzie informacja w książce J. T. Grossa o masowych egzekucjach na terenie rynku:

[...] wymordowano Żydów w Lubaczowie w sposób następujący: z mieszkań spędzano wszystkich na rynek. Wyloty rynku zamknięto, a Żydów poganiano, by biegali po rynku, a do biegających zaś strzelano aż do ich wykończenia

(Strach, Kraków 2008, s. 25).

Zaprzeczają temu naoczni świadkowie tego wydarzenia. Według relacji Stanisława Młodzińskiego egzekucje Żydów w większej liczbie odbywały się pod żydowską łaźnią rytualną w okolicy rynku oraz na mniejszą skalę na posesjach obok domów.

Kolumny zmarzniętych ludzi pod eskortą około dwudziestu Niemców i ukraińskich policjantów popędzono ulicą Mickiewicza w kierunku Dachnowa, gdzie na tzw. Polu Plebańskim zostali za-

mordowani i strąceni do wykopów pod fundamenty sowieckich schronów bojowych Linii Mołotowa. Egzekucje odbywały się także na lubaczowskim kirkucie, gdzie też zwożono zwłoki pomordowanych z terenu całego miasta. Pogrzebano tam około 950 ciał. Jeszcze więcej trupów przewieziono na saniach na Pole Plebańskie. W lipcu 1958 r. wydobyto z tych dołów śmierci 1071 zwłok. W kolejnym pobliskim wykopie jesienią 1943 r. pogrzebano kilkuset Żydów przywiezionych transportem kolejowym do Lubaczowa. Lubaczowscy Żydzi zostali zgładzeni na Plebańskim Polu pod Dachnowem, ponieważ obóz zagłady w Bełżcu był już nieczynny.

Holokaust przetrwali tylko nieliczni, ukrywający się u Polaków, w grupach partyzanckich czy w innych niezwykłych okolicznościach. Po wojnie większość z nich opuściła rodzinne strony i Polskę. Kilka rodzin utrzymuje ze sobą bliskie kontakty. Co najmniej cztery z Lubaczowa i okolic zostały uhonorowane medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

W maju 2008 r. dzięki staraniom Naczelnego Rabina Galicji Edgara Glucka przy współpracy Muzeum Kresów, młodzieży Publicznego Gimnazjum nr 1 im. Przemysława Inglota i władz samorządowych odsłonięto na Plebańskim Polu pomnik upamiętniający bestialski mord na żydowskich mieszkańcach Lubaczowa.

Zenon Swatek

Zenon Swatek – kustosz Muzeum Kresów i nauczyciel historii w Publicznym Gimnazjum nr 1 im. Przemysława Inglota. Współpracował z rabinem Edgarem Gluckiem i wraz z gimnazjalistami brał udział w trzech edycjach konkursu „Przywróćmy Pamięć” organizowanego przez Fundację Ochrony Dziedzictwa Żydowskiego.

Ona uratowała jego, on uratował ją.
Ona była Żydówką, on był Polakiem.

Podjęcie decyzji

Ona – moja mama – wróciła z wojny zraniona, obolała i pełna smutku. Uznała jednak, że woli nie mówić o sprawach związanych z wojną.

Nie wiem również, jak potoczyło się jego życie po wojnie. Ślady po nim zniknęły. Imię jego otoczone było tajemnicą. Kim on jest? Dlaczego nie utrzymywali kontaktu? Czy mama wiedziała, co się z nim dzieje? Nie chciała o tym mówić.

Kilka razy wspomniała przelotnie jego imię, być może nawet z pewną nutą tęsknoty, kiedy opowiadała, jakby rzucając tytuły rozdziałów, że ich życie zostało uratowane cudem. Natychmiast jednak skrywała swoje uczucia i milkła. On pozostał dla mnie niewiadomą.

Tam, w nieznanym mi miasteczku, którego nazwa od czasu do czasu padała w moim domu w okresie dzieciństwa, rodzina mamy była jak drzewo o grubych korzeniach i bujnych gałęziach, które tkwiły głęboko w ziemi. Z czasem jednak gałęzie zostały ścięte, a korzenie wyrwane. Pozostała tylko jedna samotna gałąź, która przetrwała wszystkie zawieruchy.

Mama nigdy nie chciała wrócić „tam”, do rodzimych krajo-
brazów. Nie chciała rozmawiać, a już na pewno nie zamierzała
wybrać się w odwiedziny.

Na pozór zdawała się robić wrażenie, że całkowicie wykreśliła z pamięci zarówno ten okres, jak i członków rodziny. W rzeczywistości wspomnienia „stamtąd” powracały do niej. Wielki ciężar stanowił powrót do kręgów rodziny i bolesnej, przesiąkniętej krwią przeszłości, a szczególnie ciężko było powrócić do wspomnień o zdradzie. Mama postanowiła zachować milczenie. A ja w tej sytuacji nie potrafiłam zadawać pytań.

Bywało, że siedziałyśmy naprzeciw siebie, pijąc szklankę herbaty i obie milczałyśmy. Razem z nią stawiałam przegrodę między teraźniejszością i przeszłością. Przypatrywałam się mamie, zastanawiając się, gdzie teraz błądzą jej myśli. Nasze milczenie trwało. Czasami kończyło się jakimś objęciem lub wymianą spojrzeń bez słów.

Mama nigdy nie wybaczyła Polakom. Tam, na końcu świata, na kresach wschodniej Polski, za żelazną kurtyną pozostawiła swoją przeszłość i starała się nie spoglądać wstecz. Mimo wszystko od czasu do czasu wspomnienia powracały i nad jej życiem kłębiły się chmury.

Pamiętam, że w domu panowała atmosfera smutku i głębokiego bólu zmieszanego z gniewem wobec Polaków, szczególnie ze względu na nieoczekiwaną zdradę w stosunku do jej rodziny, która darzyła ich całkowitym zaufaniem.

Całe rozdziały życia pozostały tam, na wschodzie Polski, utrzymywane w tajemnicy. Nie przekazano ich następnym pokoleniom.

Mama unikała także wspomnień o życiu sprzed wojny. Z tego powodu nie zachowały się w mojej pamięci twarze członków rodziny, a część z nich pozostała bez imion. Byli anonimowymi, zagubionymi, pozbawionymi życia postaciami. Czasami zadawałam sobie pytanie: „Oni istnieli, czy nie?”

Pewnego zwykłego poranka w mojej głowie zrodził się pomysł, żeby pojechać tam, do małego miasteczka na skraju wschodniej

Galicji. Zaczęłam zastanawiać się nad tym pomysłem, który powstał wbrew woli i niepisanemu testamentowi mamy. Nie miałam szczególnego powodu do wyjazdu, nie miałam określonego celu oprócz chęci poczucia atmosfery otoczenia, w jakim wyrosła mama. Jej nieliczne krótkie opowieści zawierały w sobie zarówno coś abstrakcyjnego, jak i autentyzm. Wielokrotnie starałam się wyobrazić sobie szare, pozbawione światła miasteczko.

Również mój ojciec, pochodzący z miasta Rawa Ruska, żywił uczucie gniewu wobec Polaków. Postanowił nawet nie czytać więcej literatury polskiej, mimo że polski był jego językiem ojczystym. Ku mojemu zaskoczeniu wołał czytać książki po niemiecku.

Opowiadał, że podczas okupacji niemieckiej, a nawet krótko przed wybuchem wojny, zetknął się z okrucieństwem właśnie ze strony Polaków. Był to jego kolega Polak, był to sąsiad z domu obok, a także sąsiad z równoległej ulicy. Byli to studenci na Uniwersytecie Lwowskim, którzy zaatakowali go na korytarzu, a przechodzący obok wykładowcy w ogóle nie ustosunkowali się do tego incydentu.

To Polacy wydzielali Żydom oddzielne ławki w tylnych rzędach sal wykładowych. Polacy, którzy byli kiedyś przyjaciółmi, stali się w czasie wojny jego wrogami.

Polska, polskość, język polski odegrały w moim życiu ważną rolę, lecz nie potrafiłam się z nimi utożsamić.

Nie urodziłam się w Polsce, nie wyrosłam tam, lecz polski był pierwszym językiem, jakim mówiłam. Nie chciałam jednak, aby ktoś obcy usłyszał mnie mówiącą po polsku. Starałam się to ukryć. Pomimo moich starań zdarzyło się w jednej z niższych klas szkoły podstawowej, że nauczycielka literatury Szoszana – nigdy w życiu jej nie zapomnę – zwróciła mi po sprawdzeniu wypracowanie z uwagą na górze pierwszej strony napisaną czerwonym ołówkiem, dużymi wyraźnymi literami: „W tym, jak piszesz,

wyczuwa się, że myślisz po polsku”. Jej uwaga zraniła mnie do głębi duszy.

Starałam się także wyprzeć tego, że moi rodzice są „stamtąd”, z jakiejś wsi w Galicji. Nie potrafiłam wymówić nazwy miasteczka, nie znałam żadnych ludzi z tamtych okolic. Wiedziałam tylko, tak jak wszyscy, że miała tam miejsce zagłada, która przyczyniła się do wyniszczenia mojej rodziny. Wstydziłam się należeć do rodziny ofiar. Moi koledzy opowiadali z podziwem o bohaterskich czynach członków swoich rodzin. Oni byli dumnymi Izraelczykami, którzy zostali uhonorowani państwowymi odznaczeniami, czasami już po śmierci w walce o kraj.

My natomiast – drugie pokolenie ocalałych od zagłady – chodziliśmy z opuszczonymi głowami, przepełnieni uczuciem poniżenia i milczeliśmy. Czułam, że mam na sobie garb, którego nie udaje mi się ukryć. Tak bardzo chciałam upodobnić się do Izraelczyków.

Po jakimś czasie głos mamy zamilkł. Moja więź z przeszłością została odcięta, strony rodzinnej historii pozostały puste. Nie miałam już z kim rozmawiać o wspomnieniach z przeszłości, nie miałam z kim rozmawiać po polsku.

Ostatnio często łapię się na rozmyślaniach o wyjeździe do miasteczka na wschodzie Polski, lecz natychmiast pojawiają się myśli, że mama na pewno sprzeciwiałaby się temu pomysłowi i powinienam z niego zrezygnować, pozostawić przeszłość w jej posiadaniu.

A jeżeli postanowiłabym jednak pojechać, to dokąd? Przecież nie znam adresu ani żadnych szczegółów dotyczących rodziny. Nie myślałam wówczas o wizycie w Polsce, lecz o tamtym małym miasteczku, w którym urodziła się moja rodzina, gdzie została zamordowana.

Pełna wahania w związku z wyjazdem odwiedzam od czasu do czasu mieszkanie, w którym żyła mama. Przesiaduję sama go-

dzinami, przeglądałam pozostałe tam rzeczy, czuję, jak przeszłość przewija mi się między palcami. Właśnie tam, podczas spędzonych w samotności chwil wzrasta we mnie chęć wyjazdu, nawiązania kontaktu lub iluzji kontaktu z przeszłością.

Pewnego razu, kiedy oparta o stertę ubrań snuję jak zwykle wspomnienia, upada koło mnie skórzana torebka w jasnobrązowym kolorze. Jest zniszczona, złazi z niej skóra, pasek ma zerwany i tylko sprzączka nadal pozostaje zamknięta, strzegąc najbardziej osobistych rzeczy mamy przed wzrokiem obcych. Przywiozła ją „stamtąd”. Tylko ona знаła jej zawartość. Może są tam ukryte jakieś tajemnice, może jakieś niezbrane dokumenty...

Przypomniałam sobie, jak czasami mama siadała w kącie pokoju, starając się, by nikt jej nie widział i przeglądała papiery znajdujące się w torebce. Wyjmowała z niej jakiś wyblakły papier, długo mu się przyglądała, po czym z powrotem zamykała go w środku i kładła torebkę na jej stałe miejsce na dole szafy z ubraniami, pod rzeczami do prasowania.

Tam torebka pozostawała do następnego razu.

Bez wahania podniosłam ją z podłogi i nie otwierając, zabrałam do domu. Położyłam w szafie pod ubraniami przeznaczonymi do prasowania, tak jak u mamy.

Nigdy nie mówiła mi, co jest w środku, ale kiedyś dobiegło do moich uszu jak, zamykając ją, szepcze sama do siebie:

– Polacy byli jeszcze gorsi od Niemców. Niemcy zabijali na rozkaz, a Polacy robili to z własnej woli.

Pomimo swojego gniewu wobec Polaków mama wspominała nieraz, że czuje się związana z językiem polskim, a także z polską literaturą, że czytała wiele utworów Adama Mickiewicza i Juliana Tuwima. Bywało, że cytowała ich utwory.

Miała dużo do powiedzenia, lecz na ogół nie chciała mówić. Był to jej sposób, aby przetrwać. Życ naprawdę nie potrafiła.

Nieliczne jej opowieści stanowiły jakby puzzle, których nie można było zebrać w całość.

Innym razem, kiedy przebywałam w mieszkaniu mamy i ponownie zajmowałam się przeglądaniem jej rzeczy, znalazłam modlitewnik, z którym chodziła w święta do synagogi. Odchylona do tyłu na fotelu unoszę się na falach pamięci ku naszej wspólnej odległej przeszłości. Wewnątrz modlitewnika dostrzegam starą, wyprasowaną i złożoną chusteczkę, która służyła za zakładkę. Znajduje się ona na stronie z modlitwą *Izkor* poświęconą pamięci zmarłych. Odmawia się ją w synagodze cztery razy w roku. Mama nie opuściła jej ani razu, gdyż była to dla niej jedyna okazja, aby pomodlić się za członków swojej rodziny.

Moje pierwsze wspomnienie związane z modlitewnikiem dotyczy Jom Kippur, który obchodzono w naszym domu w atmosferze świętości – przywiązywano do niego większą wagę niż do dnia poświęconego pamięci ofiar zagłady. Tego dnia nie wykonywano u nas żadnych prac, podobnie jak to było w domu mamy. Oddawaliśmy się wspomnieniom o bliskich, których już nie ma z nami. Jednoczyliśmy się z nimi w myślach. Mama często wyrażała swój wielki smutek z powodu braku grobów, na których można by było złożyć kwiaty. Czuła się odcięta od przeszłości.

Kiedy na ulicy czuło się już atmosferę święta, mama nakrywała stół do uroczystej kolacji poprzedzającej Jom Kippur. Przed tym jak zasiadaliśmy do stołu, zapalała dwie świece, stojące zawsze w stałym miejscu na stoliku w kącie pokoju, na posrebrzanej tacce. Mama zakrywała rękami twarz i odmawiała modlitwę do Stwórcy Świata. Cienie płomieni świec jak gdyby tańczyły na suficie, co sprawiało wrażenie, że to duchy zmarłych wirują w pokoju.

Po zakończeniu przedświątecznej kolacji mama udawała się do synagogi w Ramat Gan na modlitwę *Kol nidre*, tak jak czy-

niła to zwykle razem z rodziną tam w miasteczku. Był to jedy-
ny raz w roku, kiedy odchodziła od stołu, pozostawiając na nim
wszystko, co stało. Mycie talerzy i porządek pozostawiała mnie
i ojcu. Kiedy wracała z synagogi, wszystko było na swoim miej-
scu. Wówczas siadała na fotelu w salonie i patrzyła przez okno na
wierzchołki drzew, pograżając się w bólu zmieszanym z tęskno-
tą do dzieciństwa. Bywało, że przysiadywałam się do niej i obie
błądziłyśmy w świecie wspomnień. Czasami nasze spojrzenia
stykały się, lecz nie padało żadne słowo. Po długim, uciążliwym
milczeniu na twarzy mamy pojawiał się lekki uśmiech, który
wprowadzał pewne rozprężenie. Ze wzruszeniem, barwną pol-
szczyzną opowiadała wtedy o krajobrazach z rodzinnych stron
i o znajomych zapachach z jej bożego pola.

Patrzyła na mnie swoimi brązowymi oczami i mówiła o ma-
łym domku stojącym na brzegu rzeki, która w zimie toczyła się
z wielką mocą, a latem słychać było jej delikatny szum. Wzdłuż
rzeki ciągnął się rząd drzew, prawie jak w lesie.

Mama milczała chwilę, po czym wspominała znajdujący się tuż
przy domu młyn i nie zapomniała opisać jego drewnianego koła
i turbiny poruszanej mocą wody z pobliskiej rzeki. Opis mamy
przypominał utwór artystyczny. Słuchałam jej uważnie i wyobra-
żałam sobie domek otoczony polem kwiatów i słoneczników. Sły-
szałam też pianie kogutów i odgłosy wzburzonej rzeki. W ten
sposób spędzałyśmy razem długie chwile na podwórku jej domu.

Zdarzało się, że opowiadała z dumą o swoim ojcu, który był
dzierżawcą młyna. Pracowało w nim wielu sąsiadów, którzy da-
rzyli naszą rodzinę dużym szacunkiem.

Tam, nad brzegiem rzeki, na peryferiach miasteczka toczyło
się życie mamy w otoczeniu kochającej, związanej ze sobą silny-
mi więzami rodziny. Dla mnie było to najważniejsze miejsce na
świecie, jedyne i niepodobne do żadnego innego.

Czułam, że mama miała jakiś szczególny stosunek do rzeki. Lubiła spacerować wzdłuż brzegu, wsłuchiwać się w szum drzew i ćwierkanie ptaków, cieszyć się widokiem kwitnących słoneczników. Wiedziałam, iż do niczego tak nie tęskni jak do tej płynącej w nieznane wody. Tęsknota ta jej nie opuszczała.

Poza tym pochłonięta była atmosferą panującą w rodzinie, szczególnie w święta. Pamiętam, jak ze czcią wspominała kiedyś Kabałat Szabat*, kiedy jej ojciec, człowiek o wszechstronnym wykształceniu, z białą jak śnieg brodą, ubierał czarny, długi chałat, wiązał na biodrach kapłański pas i zakładał na głowę futrzaną czapę, po czym udawał się do synagogi. Czasami z bratem, czasami z kimś innym z rodziny.

Mama pozostawała w domu. Wysmukła, ładna kobieta z czarnym warkoczem ułożonym wokół głowy modli się nad sobotnimi świecami stojącymi w srebrnych świecznikach oraz kładzie na tacy chałę, którą sama upiekała.

Chwile te szybko przeminęły, głos mamy umilkł. Obraz rodzinny z Kabałat Szabat pozostał jakby kwintesencją dzieciństwa. Dla mnie był to symbol dumy, który został wyryty głęboko w mojej pamięci.

Nadal siedziałyśmy przy oknie, lecz wspomnienia mamy stały się barierą między nami. Ona błdziła już w myślach o późniejszym życiu, swoim i swojej rodziny, pełnym bólu i gniewu. Ja natomiast nadal pozostawałam przy odświętnej sobotniej kolacji, a w moim umyśle przebłykiwały pomysły, aby tam pojechać. Po upływie kilku chwil zniknęły jednak z taką szybkością, z jaką się pojawiały.

W pewnym momencie przypomniałam sobie naszą rodzinną wycieczkę do Szwajcarii, do Berna.

* Kabałat Szabat – uroczystość powitania soboty (przyp. tłum.).

Kiedy przechodziliśmy przez most nad rzeką Aare, mama przystanęła i długo przypatrywała się płynącej w dole wzburzonej wodzie. Na jej twarzy pojawił się łagodny uśmiech wyrażający tęsknotę. Po chwili popatrzyła na nas wilgotnymi oczami i powiedziała:

– Widzicie te domy stojące nad rzeką? W takim właśnie domu nad brzegiem rzeki mieszkalam w dzieciństwie.

Wydawało się, że popłynęła rzeką, lecz przeciw jej nurtowi, ku znanym zapachom rodzinnego domu i podwórka.

Podobnie jak pisał Chaim Nachman Bialik w swoim opowiadaniu *Safiyach*^{*}, iż wystarczyło mu przymknąć oczy, by pojawiły się przed nim, jakby w świetle błyskawicy, wszystkie ścieżki jego życia – od początku do końca. Widział w swojej wyobraźni rodzinną wioskę w całym jej pięknie. Wyczuwał mały płomień ognia, który na chwilę przybierał kształt dłoni podającej mu eks-trakt dzieciństwa, dobra, jakie otrzymał w ciągu dni i lat, a później płomień znikał.

Kiedys ponownie siedziałam w mieszkaniu mamy i grzebałam się w rodzinnych wspomnieniach, próbując nadać im jakąś ciągłość, lecz nie udawało mi się. Jej nieliczne opowieści o rodzinie dotyczyły wyłącznie rodziców. Nigdy nie opowiadała o swoim bracie ani o siostrze, o której istnieniu właściwie nie wiedziałam – w domu nigdy nie padało jej imię. Fragmenty opowieści zbierałam teraz z dokładnością, z jaką mama wyszywała gobeliny. Zajęcie to bardzo ją uspokajało. Gobeliny zostały w końcu wyszyte i dotychczas – wprawdzie wypłowiałe – wiszą w moim pokoju. Twarze bliskich natomiast nadal są nieznane.

^{*} *Safiyach* (hebr.) – samosiew.

Czułam, że nie mam wyjścia, że powinnam jechać tam, na wschód Polski, aby z bliska przyjrzeć się przyrodzie i otoczeniu, w jakim żyła mama.

Sprawa w zasadzie nieskomplikowana, jeszcze jeden około czterogodzinny lot do określonego miejsca w Europie, dokąd codziennie latają wypełnione do ostatniego miejsca samoloty.

Ale to nie tak. Nie myślałam wówczas o wyjeździe do Polski, lecz chciałam dotrzeć do małego zakątka w przedwojennej Galicji, o którym wiedziałam niewiele. Chciałam zobaczyć rzekę i zanurzyć się w niej, dotknąć drzewa rosnącego na jej brzegu. Jednocześnie pamiętałam, iż tam dobiegła końca radość młodzińskich lat mamy, tam spotkał gorzki koniec całą jej rodzinę. Na podwórku ich domu.

Wyjazd do Polski będzie dla mnie podróżą w czasie w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Jak podróż archeologa niemającego oznaczeń na mapie.

Obawiałam się sprzeciwić woli mamy, urazić ją w tak ważnej dla niej sprawie. W jednej chwili przekonana byłam, że pojadę, ale zaraz potem ogarniały mnie wyrzuty sumienia. Te przeciwstawne uczucia dręczyły mnie nieustannie. W końcu jednak doszłam do wniosku, że mój wyjazd nie będzie zdradą wobec mamy, że muszę to zrobić. Aby nie pożałować podjętej decyzji i nie zrezygnować z zamierzonych planów wzięłam do ręki kartkę papieru i ołówek, chcąc nakreślić trasę podróży śladami życia mamy. Długo kartka pozostawała pusta. Nie wiedziałam, gdzie zacząć podróż i dokąd się udać. Jedno nie ulegało wątpliwości – muszę dotrzeć do miasteczka, stanąć na brzegu rzeki, wsłuchać się w szum toczącej się wody i razem z nią powędrować w nieznanne. Gdzieś tam znajduje się klucz od przeszłości mojej rodziny.

W trakcie rozmyślań przypominałam sobie, że zaraz po wojnie mama udała się do Krakowa, gdzie po raz pierwszy spotkała

uratowane od zagłady koleżanki ze swojego miasteczka. W związku z tym wybrałam Kraków jako pierwszy punkt mojej podróży. Tam mama rozpoczęła nowy etap życia.

Przypomniałam sobie również nazwę miejscowości wypoczynkowej Zakopane, znajdującej się u stóp Tatr, dokąd mama udawała się wraz z rodziną na narty. Lubiłam tę nazwę, gdyż była łatwa do wymówienia w porównaniu z wieloma innymi polskimi. Zakopane będzie więc następnym miejscem odwiedzin. Kiedyś mama wspomniała jeszcze jedną nazwę miejscowości wypoczynkowej w górach, do której rodzina czasami jeździła – Krynica, lecz ze względu na brak czasu postanowiłam ją ominąć.

Z Zakopanego pojadę bezpośrednio do rodzinnego miasteczka mamy – Lubaczowa. Tam odszukam rzekę i po jednodniowym pobycie udam się do Warszawy, a potem do domu.

Nie będę oglądać obozów koncentracyjnych ani obozów zagłady, gdzie zginęły miliony Żydów oraz ludzi innych narodowości. O nich zostało wiele powiedziane i napisane. Ich tragedie wyrły się głęboko w pamięci całego świata.

Ja udaję się w podróż szlakiem życia jednej i jedynej dla mnie kobiety – mojej mamy. Kobiety, która nie była w obozie koncentracyjnym i nie miała niebieskiego numeru wytatuowanego na przedramieniu.

Stanowiącą główny punkt mojej misji wizytę w Lubaczowie odłożyłam na koniec i przeznaczyłam na nią tylko jeden dzień. Zastanawiałam się nad tym, dlaczego tak zrobiłam. Bałam się zerknięcia z rzeczywistością, bałam się, iż moje marzenie prysnie. Przeszłość była pokryta tak gęstą mgłą...

Trasa podróży została zaplanowana. Znam też w przybliżeniu datę wyjazdu.

W moim umyśle pojawiło się nagle mnóstwo pytań: „Dlaczego właśnie teraz?”. Ogarnęły mnie jakieś złe przeczucia i wtedy

nawinęła mi się pod rękę książka Irvina D. Yaloma *Wzywam policję*. Wypowiada się w niej psychoanalityk Carlo Sternger:

Czytałem kiedyś, że pytanie, jakie powinniśmy sobie zadawać, ma nie brzmieć – Czy to my wybraliśmy taką czy inną ideę, lecz czy idea wybrała nas... Musi być jakaś przyczyna, dlaczego idee te wybrały nas właśnie na obecnym etapie naszego życia. Wydaje mi się, że po prostu, w przeszłości nie mogliśmy dokonać tego, co możemy obecnie...

Na to odpowiada Irvin Yalom:

Bardzo słusznie. Dokładnie to samo powiedział Baruch Spinoza – Każde wydarzenie ma swoją naturalną, racjonalną przyczynę. Nie istnieje wolna wola. My nie wybieramy wydarzeń, one wybierają nas...

Jadę więc do miasteczka na wschodzie Polski. Pod pachą trzymam pusty „bagaż”. Prawie nie ma w nim nazw, dat, zdjęć. Prawie nie zawiera opowieści, które mogą służyć powodem do tego, by rzucić się w objęcia wspomnieniom stamtąd, z odległości tysiąca mil od domu.

Mój „bagaż” jest wprawdzie pusty i mogłoby się wydawać, że lekki, lecz w rzeczywistości sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Brak zawartości w nim stanowi dla mnie wielkie obciążenie.

Dokonuję ostatnich poszukiwań w szafkach i w szufladach w nadziei znalezienia jakichś dowodów, na których można by się oprzeć. Szukam wśród nieuporządkowanych rzeczy na półce, zaglądam do wszystkich kątów w pokoju. Jednocześnie nadal próbuję przypomnieć sobie jakieś dodatkowe opowieści mogące rzucić światło na coś z przeszłości. Czuję się jak lunatyk poruszający się w ciemności.

Zrezygnowana stoję przy szafie i patrzę na niekończącą się stertę ubrań przeznaczonych do prasowania. Nagle dostrzegam zniszczoną skórzaną torebkę i nie wiem, co zrobić – otworzyć ją, czy nie.

Pewnie są tam jakieś papiery po polsku i nie będę mogła ich zrozumieć. Ogarnęło mnie uczucie niepewności, poczułam przyspieszone bicie serca i lekkie drżenie rąk. Torebka pozostawała zamknięta, podobnie jak zamknięte było serce mamy.

Może jednak ją otworzyć...

I znów pojawia się uczucie zdrady wobec mamy. I ponownie mam trudności z podjęciem decyzji. Już zamierzam zwrócić torebkę na miejsce, lecz po chwili otwieram ją, nie patrząc do wnętrza. Nie opuszcza mnie uczucie, że nie słucham głosu mamy, że się przeciw niej buntuję.

W torebce znajduję dużo poślizniętych papierów z niewyraźnym pismem w języku polskim. To, że ich dotykam, że dotykam papierów, które mama często przeglądała w samotności, sprawia mi złudne poczucie zbliżenia do niej. Przeglądam kartki, jakbym przerzucała strony pamiętnika. Tylko niektóre z nich wyjmuję z torebki i próbuję czytać, chociażby jakieś nazwiska piszących. Patrzę również na nagłówki stron, na umieszczone tam daty – 1942, 1944.

I wówczas, zupełnie niespodziewanie, natykam się na zdjęcia. Z przejęciem wyjmuję dwa z nich. Na jednym widać trzech młodych mężczyzn stojących obok drewnianego domu. Ubrani w białe garnitury, z jasnymi krawatami i kapeluszami na głowie. Ustawili się według wzrostu, młodzieniec z lewej strony był najniższy. Wszyscy trzymali lewą rękę w kieszeni, dwóch miało papierosa w drugiej. Ich wyraz twarzy był poważny. Nie wiem, kim są.

Na drugim, dosyć zamazanym zdjęciu widniała mama w objęciach młodego, ładnego mężczyzny. Oboje uśmiechnięci, sprawiali

wrażenie zakochanych. Po raz pierwszy widziałam jakieś zdjęcie mamy sprzed wojny. I znów zadaję sobie pytanie, jak to możliwe, że ich nie widziałam. Na odwrocie fotografii dostrzegam dedykację napisaną ręką mamy. Bez zastanowienia, ostrożnie wkładam oba zdjęcia do plastikowego woreczka. Co teraz?

Słyszałam kiedyś o pewnej znajomej mamy mieszkającej w Tel Awiwie. Szybko odnalazłam jej numer telefonu. Od razu zadzwoniłam, po czym udałam się do niej do domu.

– Aniu – zwróciłam się do niej po krótkim przywitaniu. – Znalazłam to w torebce mamy.

Podalam jej zdjęcia, pytając z napięciem:

– Czy znasz tych panów? Czy wiesz, z kim stoi mama?

Przypatrywała się trzem mężczyznom na zdjęciu, a później przeczytała słowa napisane przez mamę. Wyraz jej twarzy zmienił się, przeczytała ponownie i milczała. Po kilku minutach popatrzyła na mnie i spytała, czy naprawdę chcę wiedzieć, co tam jest napisane. Zrozumiałam, że ma mi do powiedzenia przykre rzeczy. Przytaknęłam. Anna milczała jeszcze chwilę, po czym powiedziała, że wie, kim oni są. Wujek, brat i przyjaciel mamy. Potem przeczytała na głos:

– Wszyscy jesteście mi drodzy, byliście najważniejszymi ludźmi w moim życiu. Wszystkich was nie ma już ze mną. Nie mam po co żyć i prawdą jest, że chciałabym się do was przyłączyć.

W pokoju zapanowało milczenie, Anna patrzyła na mnie, a ja przypatrywałam się zdjęciom.

– Twoja mama nigdy nie opowiadała mi o tym. Nie wiedziałam, co przeżywa. Teraz mogę ją lepiej zrozumieć – odezwała się.

Słowa utknęły mi w gardle, znów poczułam się winna, że nic nie wiem.

Anna zaczęła przyglądać się drugiemu zdjęciu z napisem „Lwów 1940”.



Matka Pepki

– A to jest chłopiec mamy ze Lwowa. Lekarz. Bardzo ładny i wyjątkowo sympatyczny. Poznałam go kiedyś, gdyż ja też miałam chłopca we Lwowie i razem jeździliśmy ich odwiedzać.

W pokoju zapanowało długie milczenie.

Odłożyłam zdjęcia z powrotem do plastikowego woreczka. Pożegnałam się z Anną i wróciłam do domu.

„Bagaż”, z którym wybieram się w drogę, wypełnił się smutkiem.

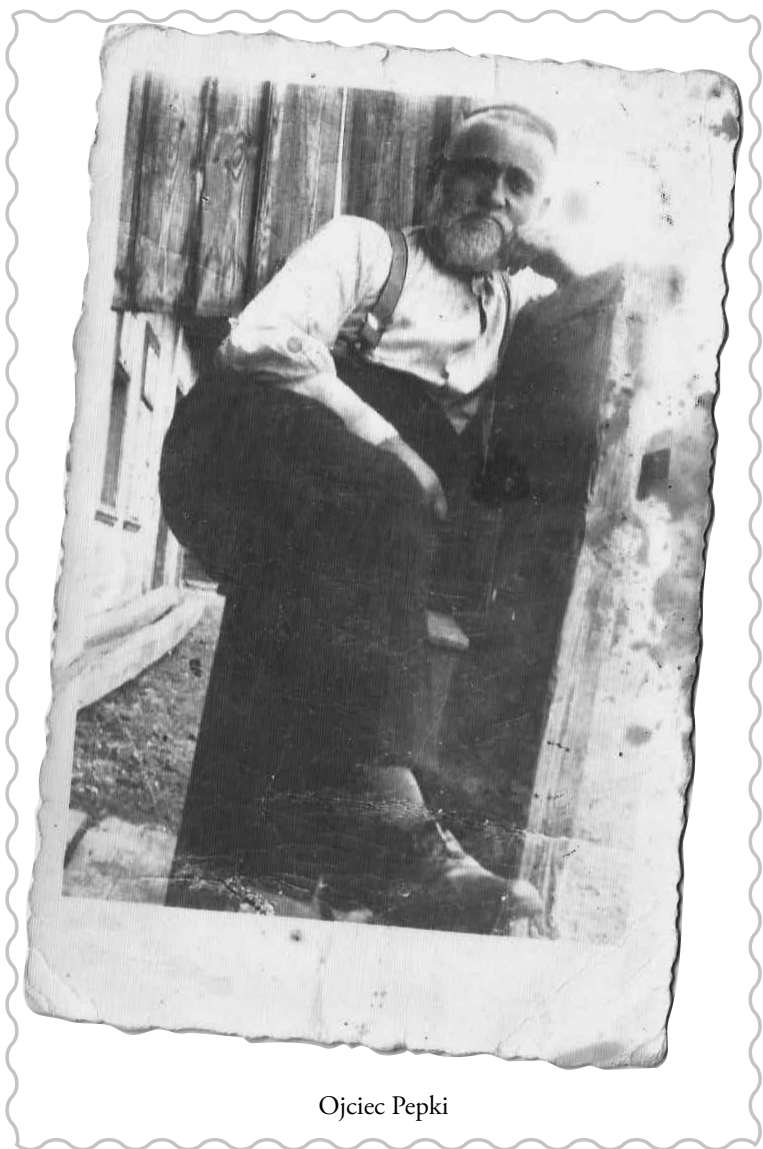
Od chwili, kiedy podjęłam decyzję, by jechać w poszukiwaniu przeszłości, moja codzienna rzeczywistość zmieniła się. Wyjazd ten miał być pierwszym, małym krokiem w kierunku poznania miejsca, z którego pochodziła mama.

Projekt nabiera rozmachu, zamawiam bilety na samolot dla siebie i dla Pierre’a, mojego męża. Jednocześnie zastanawiam się nad miejscem noclegu w miasteczku. Powątpiewam, że znajdę tam jakiś dom wypoczynkowy, gdyż w mojej wyobraźni współczesne życie nie dotarło do miasteczka. Widzę, jak gdyby stał jakiś mur między jego przedwojenną częścią a obecną. Jedynym radosnym obrazem z tamtej części, niczym z bajki dla dzieci, jest dla mnie szeroka rzeka płynąca burzliwie, szczególnie w zimowe dni. A na jej brzegu młyn.

Minęło około siedemdziesięciu lat, od kiedy mama opuściła miasteczko. Od siedemdziesięciu lat nie widziała rodziny, która została tam zamordowana. W ciągu siedemdziesięciu lat ich imiona i pamięć o nich powracały do niej rzadko, lecz przez cały czas postacie z rodzinnego domu wywierały wpływ na jej życie.

Czasami mówiła o sobie: „Ze wspomnieniami jak moje, życie nie jest więcej życiem, lecz tylko jego imitacją”.

Słowa mamy wypływały z głębi jej obolałej duszy. Na samym początku nowego życia, z dala od rodzinnego miasteczka.



Ojciec Pepki

Bez większych nadziei, że znajdę jakiś dom wypoczynkowy, zaczęłam przeglądać strony w internecie. Ku swojemu zdziwieniu znalazłam pensjonat o nazwie Feliks. Feliks? Nazwa tak łatwa do wymowy robi wrażenie niepolskiego słowa. Czy są tam goście? Może turyści? Czy miejsce tętni życiem? Nie pasuje to do wizerunku, jaki stworzyłam sobie w wyobraźni – mała wiejska miejscowość położona na skraju drogi, mieszkańcy której kładą się spać wraz z kurami i wstają nazajutrz rano, kiedy słyszą głos piejącego koguta.

Postanowiłam zadzwonić i zamówić pokój na jedną noc.

Później okazało się, że w pensjonacie nie ma turystów. Odbywają się tam głównie miejscowe imprezy oraz spotkania towarzyskie.

Podczas licznych nieprzespanych nocy poprzedzających wyjazd nadal grzebałam się we wspomnieniach i prowadziłam długie monologi, które jednak nie wniosły nic nowego do mojego „bagażu”.

Życie mamy przedzielone było na pół – życie w małym miasteczku przed wojną oraz po wojnie. Według niej nikt nie potrafił zrozumieć tego, co przeszła i wołała sama ciągnąć swój wypełniony cierpieniem wózek.

Rozmyślałam o tym, jak ważne znaczenie w życiu rodziców miały spotkania towarzyskie z kolegami i znajomymi „stamtąd”. Byli to głównie ludzie z rodzinnych stron ojca. Większość z nich stanowili uratowani od zagłady, którym udało się przetrwać wojnę po aryjskiej stronie w Warszawie i w innych miastach. Część z nich przebywała w ukryciu, podając się za Żydów, a część nie zdradzała swojego pochodzenia.

Spotkania odbywały się w sobotnie wieczory. Byli to ludzie do głębi zranieni, żyjący wyłącznie swoją przeszłością. Rozmowy między nimi odbywały się w języku polskim, który pozostał ich językiem ojczystym i władali nim swobodnie. Zdawało się, iż



Po lewej na krześle wujek Pepki, po prawej – jej brat Loniak

w myślach przechadzają się wśród drzew miasteczka i wspomnienia te stanowią wsparcie w ich nowym życiu. W nowym miejscu, gdzie byli pozbawieni korzeni i przynależności. Wielu z nich czuło się zmuszonymi do zmiany miejsca pobytu.

Kółko towarzyskie przez lata zachowywało swój charakter. W czasie rozmów powracali do nieznanego losu innych kolegów i sąsiadów, do losu rzeźnika i szewca. Nigdy jednak nie rozmawiali o swoich rodzinach, o swoich osobistych historiach. Być może obawiali się dotknąć tak bolesnego miejsca.

Nie pamiętam, żebym słyszała ich śmiejących się. Najwyżej drwili sobie z próby opowiadania przez kogoś dowcipów, na ogół po żydowsku.

Siedziałam w swoim pokoju i dochodziły mnie z salonu krótkie uwagi:

– Wanda z Drohobycza, udało się jej uciec, reszta rodziny została zesłana do getta i nie wróciła. Izio z Rawy Ruskiej uciekł do lasu, ale jego rodzinę wywieziono do obozu pracy i od tego czasu nie słyszano o nim. Misza, Galicjanin z Lubaczowa, ukrywał się z siostrą w piwnicy u sąsiadów. Oboje zostali złapani i wysłani do obozu koncentracyjnego.

Nazwy różnych miasteczek przewijały się w domu mojego dzieciństwa i towarzyszyły im uczucia tęsknoty do czegoś, co było kiedyś i czego nie ma teraz.

Rozmowy przeprowadzane były w telegraficznym skrócie, zawierały kody, które tylko oni sami mogli odgadnąć. Rozmawiali powściągliwie, bez przejawu uczuć, które być może kłębiły się w ich wnętrzu. Przyjęty był taki model zachowania – ukrywać smutek i ból.

Jednocześnie bardzo podkreślali miejsce swojego pochodzenia, nazwy miejscowości, a szczególnie przynależność do okolic wschodniej Galicji, co stanowiło ważną oznakę tego, iż w czasie

ucieczki z domu nie zabrali ze sobą niczego oprócz wizji miasteczka, które kiedyś dawało im poczucie bezpieczeństwa. Być „stamtąd” – z Galicji – oznaczało przynależność do miejsca i utożsamienie się z rodzinnym domem, a także z wielką stratą.

Starałam się przysłuchiwać w skupieniu rozmowom odbywającym się w salonie, lecz trudno mi było za nimi nadążać. Opowieści brzmiały jak tytuły rozdziałów, nie miały początku i końca, często je przerywano, po czym wśród zebranych zapadało długie milczenie. Przysłuchiwałam się także jemu. Ciężko im było znieść wspomnienia o osobistych przeżyciach.

Ja pozostałam z wieloma znakami zapytania. Mogłam się tylko domyślać odpowiedzi. Gdy czasami próbowałam uzyskać jakieś wyjaśnienia od mamy, odpowiadała mi z gniewem:

– Kto tam nie był, nigdy w życiu tego nie zrozumie. Naprawdę nie można zrozumieć tego, co się wydarzyło w naszych miasteczkach w Galicji.

Widocznie istotnie nie można tego zrozumieć. Kiedyś nawet mama powiedziała, że powracając we wspomnieniach do przeszłości, nie rozumie, jak jej samej udało się przeżyć wojnę. Pomiędzy wszystkich ciężkich tułaczek pozostał w niej specjalny stosunek do miasteczka, poczucie przynależności do niego. Nie ma dla niej innego miejsca.

Na spotkaniach panowała dosyć ciężka atmosfera. Na twarzach zebranych widniała maska żalu, nie byli w stanie wyrazić swoich uczuć słowami.

Dopiero później, w książce wydanej przez Związek Uchodźców z Rawy Ruskiej i Okolic (Tel Awiw 1973) mieszkańcy miasta opowiadają o swoich uczuciach miłości do miejsca, w którym się urodzili, do miasta będącego dla Żydów ważnym miejscem przez setki lat, miasta pełnego tajemniczego uroku i piękna. Do miasta, którego już dla nich nie ma.

Podczas gdy goście zajęci byli rozmową w salonie, mama udawała się do kuchni, skąd wracała z tacą smakołyków, aby nieco rozprężyć atmosferę w pokoju – drożdżowe ciasto i ciepłe rogaliki z czekoladą – prosto z pieca. Na tacy znajdował się także czajnik z herbatą oraz porcelanowe filiżanki w kwiatki na spodeczkach należących do kompletu. Były to serwisy firmy Rosenthal, przywiezione z Niemiec. Obok stała malutka miseczka z kostkami cukru przysłanego w paczkach z Ameryki.

Trudno powiązać ich opowiadania o szczęśliwym dzieciństwie z tym, co piszą w swoich utworach Szolem Alejchem (Szolem N. Rabinowicz), Szalom Asz, Icchak Lejb Perec oraz inni. Wszyscy oni opisują nędzę, fanatyzm religijny i brak nadziei ludzi zmagających się z przejawami antysemityzmu. Przedstawiają również wewnętrzne konflikty społeczne i panujące przekupstwo. Jednocześnie utożsamiają się z niedolą Żydów oraz chwalą ich wierność w życiu rodzinnym, a także oddanie przywódcom religijnym.

Pragnienie zobaczenia miasteczka mamy wzbudziło we mnie także ciekawość poznania życia Żydów w innych miejscowościach.

Tuż przed wybuchem wojny obraz miasteczek uległ całkowitej zmianie. Przedstawił to znakomicie poeta, polski Żyd, Mordechaj Gebirtig w swoim wierszu *Nasze miasteczko płonie*, napisanym w 1938 roku w jidysz pod wpływem pogromu Żydów w Przytyku.

Gore, bracia moi, gore!
 Nasze biedne miasto płonie!
 Pędzą wichry złe, szalone,
 wokół sięją spustoszenie,
 nowe niecąc wciąż płomienie.

Wy stoicie, spoglądacie
założywszy niemo dłonie,
wy stoicie, spoglądacie
gdy miasteczko nasze płonie*.

Z czasem wiersz ten stał się żydowskim hymnem okresu zagłady. Sam poeta został zamordowany podczas deportacji z krakowskiego getta w czerwcu 1942 roku.

Niewątpliwie jednak nostalgiczne wspomnienia domu, swojej przynależności do Galicji stanowiły dla uchodźców zakotwiczenie i pozwalają zachować wewnętrzną równowagę.

Z czasem opowieści uratowanych od zagłady – szczególnie tych z wyrytymi na przedramieniu niebieskimi numerami – używały rozgłos, współczucie oraz podziw tych, którzy sami nie byli w obozach koncentracyjnych i między innymi z tego powodu nie mówili o swojej przeszłości. Sądziło się, że historie ich życia bladły wobec zeznań uchodźców z obozów.

Opisy pociągów przeładowanych Żydami niemającymi pojęcia, dokąd ich wiozą, opisy kłębow dymu unoszącego się z komínów krematoryjnych oraz zdjęcia skurczonego, głodnego Żyda odcisnęły piętno na narodach świata.

Pamiętam książki zawierające pierwsze autentyczne opisy życia w obozach, które do głębi nami wstrząsnęły. Były to *Salamanca* i *Dom lalek* K. Tzetnika (pisarz złożył bardzo ważne zeznania w procesie Adolfa Eichmanna), książki uratowanego od zagłady Elie Wiesela, który został uhonorowany licznymi nagrodami – otrzymał między innymi pokojową Nagrodę Nobla (1986). Książki

* M. Gebirtig, *Nasze miasteczko płonie*, [w:] *Antologia poezji żydowskiej*, wybór i przekład Z. Szeps, Londyn 1980.

te stały się tematem rozmów w szerokich kręgach społecznych w kraju, a także osiągnęły rozgłos na świecie.

Uratowanych po aryjskiej stronie Warszawy nie słuchano, wołali oni wobec tego milczeć. Ich głos nie liczył się na tle wspomnień uratowanych z obozów. Opowieści o ich życiu nie wywoływały żadnego oddźwięku i uznania. Zostali dotknięci podwójnie i dźwigali podwójny ciężar. Z jednej strony walka o ocalenie życia w czasie wojny, a z drugiej wyrzeczenie się swojego losu i drogi przetrwania.

Obecnie – z perspektywy czasu i wraz ze zrozumieniem zachodzących wówczas procesów życiowych – jasne jest dla wszystkich, iż przetrwanie, ocalenie Żydów w Polsce w czasie okupacji nazistowskiej związane było z codzienną, ciągłą walką o istnienie, bez względu na to, czy znajdowali się oni w obozach, czy też poza nimi. Nie należy dokonywać porównań.

Członkowie kółka zbierającego się w domu moich rodziców czerpali siłę ze spotkań w swoim gronie. Rozmowa w zamkniętym kółku znajomych pochodzących „stamtąd” była dla nich podróżą w odległe, lecz bliskie strony.

Warto zwrócić uwagę, iż żydostwo Galicji stanowiło największą i najbardziej prosperującą gminę wśród żydowskich gmin środkowej Europy, a pierwsze wiadomości o jej istnieniu pochodzą już z XI wieku.

Warunki życia wymagały, aby uchodźcy z Galicji odcięli się od swojej przeszłości i przystosowali do nowych, obcych im norm. Nie było w kraju kogoś, kto wysłuchałby ich żalów i skarg. Musieli uczyć się nowego języka, poznać nowe kody postępowania, założyć rodzinę, znaleźć pracę, która niekoniecznie odpowiadała ich umiejętnościom i wykształceniu. Często musieli zmienić kwalifikacje zawodowe. I tylko słowa „Galicja” i „miasteczko” dawały im siłę żyć dalej.

Pierwsze spotkanie z Warszawą

Wyruszyliśmy w podróż w czasie. Czułam się, jak gdybym rozpoczynała pasjonującą akcję powrotu do miejsc, w których nigdy nie byłam, a których historia tak bardzo mnie dotyczy. Obawiałam się, że kiedy się tam znajdę, zrodzi się we mnie uczucie smutku, a może gniewu. Gniewu na kogo? Na siebie samą, za to, że tak późno stanęłam naprzeciw nieznannej mi przeszłości zawartej na kartach księgi rodzinnej historii.

Wczesnym rankiem ja oraz mój małżonek Pierre udaliśmy się na lotnisko Ben Gurion. Siedząc w taksówce, ponownie miotałam się z myślami, czy kontynuować drogę, czy może w ostatniej chwili zaniechać i tym samym zmienić wyrok na siebie. Właściwie zupełnie nie potrafiłam zdać sobie sprawy z przyczyn mego napięcia i lęku. Całą drogę na lotnisko prowadziłam dyskusję sama z sobą, lecz kiedy przybyliśmy na miejsce, zrozumiałam, że możliwość przeprowadzenia zmian w moich planach oddala się.

Wykonywałam wszystkie wymagane formalności, działając przy tym mechanicznie jak robot, bez żadnej radości z powodu wyjazdu. Ostatnim etapem była kontrola paszportów i wówczas stało się dla mnie jasne, że nie ma już możliwości powrotu.

I tak znalazłam się w samolocie podczas mojego pierwszego lotu do ojczystego kraju mamy. Głowę mam przepełnioną my-

ślami. Co to właściwie za ojczysty kraj? Miejsce, gdzie urodziła się i przeżyła dzieciństwo? Jakie prawdziwe znaczenie ma słowo „ojczyzna”, jeżeli nie chce się do niej wrócić? Czy nie czuje się tęsknoty do ojczyzny? Myśl ta od dawna mnie nie opuszcza.

Jak zwykle siedzę w fotelu koło przejścia. Miejsce obok mnie zajął młody mężczyzna i, zanim nastąpił start samolotu, założył czarną przepaskę na oczy, odchylił głowę do tyłu i zasnął. Obym potrafiła zrobić to, co on.

Przylecieliśmy do Warszawy nad ranem, kiedy miasto budzi się do nowego dnia.

Nie słuchając rad wielu naszych kolegów, postanowiliśmy skorzystać ze środków miejskiego transportu i w ten sposób zetknąć się z ludźmi na ulicy w ich codziennym życiu. Idziemy w kierunku pobliskiego przystanku, a stamtąd pojedziemy autobusem na Dworzec Centralny. Potem, zgodnie z planem, udamy się do Krakowa.

Po kilku pierwszych krokach na polskiej ziemi zatrzymuję się na chwilę i przysłuchuję dźwiękom rozbrzmiewającego wokół mnie języka. Uśmiecham się. Z ust przechodniów, młodych i starszych, słyszę język polski, dźwięk tak dobrze znany, przypominający odległe czasy.

Polski miał w sobie dla mnie coś intymnego, był językiem, jakim rozmawiałam w dzieciństwie z rodzicami oraz niektórymi z ich znajomych, którzy przeżyli wojnę. Odnosiłam wrażenie, że polski należy tylko do ludzi dorosłych, znajomych mojej rodziny. Był to jak gdyby język rodzinny, więc należał do przeszłości. Już od lat go nie słyszałam.

I oto tutaj, na ulicach Warszawy wszystko się odwróciło. Na wypełnionej ludźmi ulicy – dzieci, młodzież, dorośli – wszyscy mówią po polsku, a ja nikogo z nich nie znam. Wydawało mi się, że stoję na głowie i cały mój świat zawałił się na mnie.

Melodia języka brzmiała, jak gdyby przeniesiona była z mojego placu zabaw w dzieciństwie, lecz słowa były zupełnie niezrozumiałe. Słyszając rozmowy na ulicy, zaczęłam rozumieć, dlaczego mama podśmiewała się czasami z mojego akcentu, kiedy mówiłam po polsku.

Przepelniały mnie dziwne uczucia – z jednej strony bliskość, a z drugiej obcość. Znalazłam się nagle między dwoma odmiennymi światami. Jakbym była na kołyszącym się na falach statku – w jednej chwili czułam się dobrze w nowej, polskiej rzeczywistości, a w następnej uderzała mnie fala wspomnień i traciłam grunt pod nogami.

Nie miałam jednak czasu, aby analizować sytuację, w jakiej się znalazłam. Musieliśmy działać zgodnie z planem i dostać się do Krakowa przed wieczorem.

Zdawałam sobie sprawę, iż przydarzyło mi się coś dziwnego. Język, który w ciągu wielu lat stanowił jakby moją prywatną własność, wtargnął na ulice miasta i przekształcił w mienie ogółu.

Idziemy w stronę autobusu, a ja, jak gdybym przewracała strony historii, szukam wokół siebie znaków przeszłości. Patrzę na mijającą mnie młodzież i zastanawiam się, co oni wiedzą, co by mi opowiedzieli, gdybym zaczęła z nimi rozmawiać. Chętnie zapytałabym starszych przechodniów o ich przeszłość. Przecież to oni dźwigają na swych ramionach historię znaną zarówno im, jak i mnie. Życzenie to pozostaje jednak nie do spełnienia.

Przyspieszamy kroku. Na przystanku zaczęłam przyglądać się tablicy informacyjnej dla autobusu, który jedzie na dworzec kolejowy, ale nie mogłam się zorientować i doszłam do wniosku, że szybciej będzie, jeśli poproszę o pomoc którąś z otaczających osób. Aby wykonać takie zadanie, musiałam przebrnąć przez barierę języka.

Biorę głęboki oddech, chcę rozpocząć rozmowę po polsku, lecz żaden dźwięk nie wychodzi z moich ust. Ponownie oddy-

cham głęboko i tym razem nabieram odwagi, by zwrócić się do jednej ze stojących obok kobiet. Pytam ją, jaki autobus jedzie na dworzec kolejowy. Kobieta zwraca wzrok w moją stronę i odpowiada pytaniem:

– Czy państwo szukacie cmentarza żydowskiego?

Poczułam się niezręcznie. Tylko stanęłam na polskiej ziemi i po raz pierwszy próbuję mówić po polsku na ulicy, a tu od razu rozpoznają we mnie Żydówkę.

Nie zrozumiałam wymowy tego pytania, słowa utknęły mi w gardle. Spojrzałam na kobietę, zastanawiając się, dlaczego mnie „podejrzewa”. Dopiero co wylądowaliśmy na lotnisku i już z jakiegoś powodu wynika sprawa żydostwa. Dziwi mnie to bezpośrednie pytanie. Może rozpoznała język, jakim mówimy? Może wyglądamy na Żydów, mimo że nie ma żadnych zewnętrznych śladów w naszym wyglądzie? Może to moje kręcone ciemne włosy lub nos któregoś z nas albo obojga nas wydały.

– Nie – odpowiadam szybko, rozejrzawszy się naokoło.

W duchu myślę jednak, dlaczego właściwie nie? Wydaje mi się, że nawet jeśli cmentarz żydowski byłby docelowym miejscem mojego wyjazdu, również wtedy odpowiedziałabym na pytanie przecząco, bojąc się wyjawić swoją tożsamość. Równocześnie rozglądam się wokół, zastanawiając się, czy ktoś z czekających na autobus słyszał naszą rozmowę.

Kobieta kiwa głową i z wielką uprzejmością udziela mi informacji w sprawie autobusu. Jeszcze w trakcie jej wypowiedzi, nadjeżdża nr 175, który według niej jedzie do miasta. Wsiadamy z Pierre'em do autobusu i zajmujemy miejsca z przodu, aby lepiej widzieć budzące się, zalane porannym słońcem miasto.

Autobus rusza. W pewnym momencie z siedzenia przed nami odwraca do nas głowę kobieta, którą spotkaliśmy na przystanku i zadaje pytanie:

– Czy państwo mówicie po żydowsku?

Znowu zastanawiam się, dlaczego się nami interesuje.

– Tak... Jak pani rozpoznaje? – teraz ja pytam.

Znów rozglądam się podejrzliwie i nie rozumiem jej uporczywości. Nie wydawało mi się, żeby ona sama mówiła po hebrajsku lub była naszego pochodzenia. Kobieta nieoczekiwanie uniosła się ze swojego miejsca, stanęła przy mnie i zaczęła opowiadać:

– Słyszałam od mojej matki, która wyrosła tu, w Warszawie, że w jej sąsiedztwie mieszkała rodzina żydowska i była tam dziewczynka w jej wieku. Ojciec dziewczynki, znany lekarz, zawsze zachowywał się bardzo uprzejmie. – Przerwała na chwilę, po czym ponownie ciągnęła opowieść: – Moja matka czasami przychodziła do nich do domu i rozmawiała z dziewczynką. Po jakimś czasie zaprzyjaźniły się. Uczyły się w tej samej klasie, siedziały w jednej ławce, odrabiały razem lekcje, a po szkole bawiły się na podwórku. Moją matkę nie obchodziła religia koleżanki.

Nastawiałam ucha, przysłuchując się opowieści kobiety, nie rozumiejąc, dlaczego mi to wszystko opowiada, a ona dodała:

– Pewnego dnia, w czasie okupacji, rodzina żydowska zniknęła i bardzo długo moja matka nie wiedziała, jak się potoczył ich los. A rodzice nic jej nie opowiadali. Dopiero po zakończeniu wojny usłyszała, że zostali zamordowani przez Niemców, dlatego że byli Żydami. Matka bardzo ciężko przeżyła ich śmierć, przestała wtedy wierzyć w Boga i nigdy więcej nie chodziła do kościoła.

Byłam zupełnie wstrząśnięta, nie wiedziałam, co powiedzieć. Wyczuwałam w tonie kobiety, że utożsamia się z uczuciami swojej matki. Byłam zaskoczona, że tak otwarcie gotowa była

opowiadać o tych bolesnych przeżyciach w autobusie, podczas gdy otaczający nas pasażerowie przysłuchiwali się każdemu jej słowu.

Po chwili otrząsnęłam się i ostrożnie spytałam kobietę, na ile historia życia jej matki wpłynęła na jej własne. Bardzo chciałam kontynuować tę rozmowę, dowiedzieć się, czy ona również nie chodzi do kościoła, lecz autobus zaczął hamować na przystanku, a ona dała nam ręką znak, że przyjechała na miejsce. Pożyczyła nam dobrego dnia i wysiadła. I tak jak historia rozpoczęła się w sposób niespodziewany, tak samo nagle się skończyła.

Siedziałam na swoim miejscu i starałam się zrozumieć to przypadkowe spotkanie. Co spowodowało, że nieznajoma kobieta otwiera swoje serce przed nami, opowiada o wydarzeniach sprzed około siedemdziesięciu lat?

Możliwe, że idzie teraz swoją drogą i zapomniała już o krótkiej rozmowie z nami. Ja długo nie zapomnę tego spotkania. Dopiero co przyjechałam i od razu tak intensywne przeżycia w kontaktach z otoczeniem. Rozmawiając z Pierre'em o tym, co zaszło, nie zauważyłam przystanku koło dworca i dojechaliśmy do pętli, która – jak się okazało – znajdowała się w centrum miasta. Niestety musieliśmy opóźnić wyjazd do Krakowa o kilka godzin.

Był słoneczny, letni poranek. Przechadzaliśmy się po śródmieściu, oglądając z zainteresowaniem szerokie ulice przepelnione ludźmi. Wśród nich widać było dużo młodych.

Żadnych śladów po zniszczeniach wojennych.

Mijaliśmy wiele restauracji i kawiarni. Wydawało mi się, że wyczuwam znane z dzieciństwa zapachy. Przypominałam sobie nazwy różnych potraw.

Przechodząc koło restauracji Zapiecek na Nowym Świecie, z przejęciem zaczęłam przeglądać wywieszony na drzwiach wejściowych jadłospis. Pierogi, barszcz (często widniał zimą na stole w moim rodzinnym domu), kapuśniak, gołąbki i oczywiście ka-

sza, którą tak bardzo lubiłam. I jeszcze wiele innych pozycji. Nie wszystko było mi znane.

Potem, zgodnie ze wskazówkami kierowcy taksówki, skierowaliśmy się w stronę Starego Miasta. Po drodze wstąpiliśmy do kościoła Świętego Krzyża, gdzie zgodnie z testamentem Chopina zostało umieszczone w urnie jego serce, które sprowadzono z Paryża. Kościół ten został całkowicie zburzony w czasie wojny, ocalał tylko posąg Jezusa dźwigającego na plecach krzyż.

Szliśmy dalej. Zaczęliśmy odczuwać głód, a kuchenne zapachy nadal nęciły. Postanowiliśmy wejść do którejś z restauracji.

Czytając bogaty jadłospis, nie potrafiłam oprzeć się pokusie i zamówiłam urozmaicony posiłek zawierający wszystkiego po trochu – trochę słonego i trochę słodkiego. Prawdziwa uczta. Na deser wzięliśmy knedle ze śliwkami, jakie przygotowywano u mnie w domu przy szczególnie uroczystych okazjach.

Zabrakło mi słów. Tyle różnorodnych przeżyć za jednym razem. Mowa polska, polskie zapachy i smaki. Cofnęłam się wiele lat w przeszłość. I wszystko to dzieje się na polskiej ziemi, na ziemi, do której matka nie chciała przyjechać.

Patrzę przez okno kawiarni na przechodzących w pośpiechu ludzi i staram się powrócić do opowieści mojej mamy, do wspomnień z zupełnie innego miasta.

Chwilami widzę przed sobą jej cień, kiedy jedzie warszawskim tramwajem i nagle dostrzega zagrożenie dla swojego życia. W tramwaju pojawia się żołnierz niemiecki lub jakiś chuligan, czy szmalcownik. Wówczas matka natychmiast wysiada, rozgląda się czujnie we wszystkich kierunkach, błyskawicznie ocenia sytuację i decyduje, czy uciekać w boczną ulicę lub do jakiegoś ciemnego zaułka, tak aby przechodnie nie zwrócili na nią uwagi. A może wsiądzie do następnego tramwaju, lecz przedtem musi upewnić się, że w wagonie nie kryje się żadne niebezpieczeństwo.

Jeżeli zauważyła, że ktoś rzuca w jej stronę podejrzliwe spojrzenie, odwraca głowę, odmawia w sercu modlitwę, a na następnym przystanku wysiada i energicznymi krokami oddala się, nie oglądając się za siebie. A potem znowu tramwaj i znowu ucieczka. I nigdy nie ma pewnego miejsca, by się schronić. Ani dom, ani łono rodziny. Tylko konieczność ciągłej czujności i szybki refleks. Najmniejsza zwłoka mogła spowodować niebezpieczeństwo.

Spoglądałam na ulicę i rozmyślałam o tym, czy matka przechodziła gdzieś tu w okolicy. Niestety nie miałam żadnych informacji o miejscach jej pobytu. Wojenne czasy nauczyły ją utrzymywać wszystko w tajemnicy. Nie wolno jej było narażać siebie, ani rodziny, która dała jej schronienie.

Po raz pierwszy ogarnęło mnie dziwne uczucie, że znajduję się niezwykle blisko niej, lecz jednocześnie bardzo daleko. Zmagałam się z różnymi fantazjami i pragnęłam, by chociaż część z nich mogła się spełnić.

Pierre spoglądał na zegarek, chcąc wyruszyć w dalszą drogę. Musieliśmy trzymać się naszych początkowych planów. Wróciłam pomału do rzeczywistości.

Wsiedliśmy do tramwaju, aby udać się na dworzec. Wtedy spotkał mnie nieprzyjemny incydent. Do tramwaju weszło dwóch kontrolerów o ponurych twarzach. Od razu ogarnął mnie lęk i poczułam pewne zagrożenie. Nie potrafiłam odciąć się od świata mamy. Wczuwałam się w jej sytuację, wydawało mi się, że to ją proszą o przedstawienie dokumentów i że nie ma dokąd uciec. Rozejrzałam się wśród pasażerów. Wszyscy byli spokojni i pomału wyjmowali bilety z portfeli. Dla mnie było to surrealistyczne przeżycie znalezienia się w warunkach, w jakich matka żyła na co dzień.

W pewnej chwili jeden z kontrolerów zwrócił się do mnie. Razem z biletem wyjęłam na wszelki wypadek paszport. I tu wyniknął

problem. Mieliśmy wprowadzić bilety, lecz nie znając tutejszego systemu, nie skasowaliśmy ich. Twarz konduktora spochmurniała jeszcze bardziej. Jakbym nie mówiła po polsku, próbowałam rozmawiać z nim po angielsku, lecz on nie znał tego języka. Były to nieprzyjemne chwile, aczkolwiek niewątpliwie nie zawierały żadnego zagrożenia. Ja jednak w niektórych momentach czułam się w niebezpieczeństwie.

Późnym popołudniem wyruszyliśmy w drogę do Krakowa.

Stacja Kraków

Po trzygodzinnej podróży dotarliśmy późnym popołudniem do hotelu w Krakowie. Przy wejściu widniał ogromny kolorowy plakat z nazwą pobliskiej miejscowości Oświęcim, który proponował krótką, dwugodzinną lub dłuższą, czterogodzinną wycieczkę do tego znajdującego się w okolicy miasteczka.

Zatrzymałam się przy plakacie, szukając wśród wydrukowanych napisów i fotografii jakiejś oznaki odnoszącej się do losu Żydów, czy do obozów pracy, lecz nie znalazłam ani słowa. Była to propozycja jeszcze jednej wycieczki w okolice Krakowa.

W zasadzie nie miałam zamiaru odwiedzać obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdyż przyjechałam do Krakowa wyłącznie z powodu odnalezienia śladów życia mojej mamy, która w czasie wojny przybrała postać dziewczyny wyznania katolickiego, a w Krakowie znalazła się już po wojnie. Było to jedyne miejsce w Polsce, które matka wspominała z uśmiechem i z wielkim podziwem mówiła o różnych stylach architektury – o renesansie, gotyku.

Następnego ranka w drodze na śniadanie ponownie przechodziłam koło plakatu i jakoś przyszło mi do głowy, by pojechać do Oświęcimia. Uznałam, że właściwie należy to do części protokołu pobytu w Krakowie. Znajdować się tak blisko i nie być

tam? Wszystkiego godzina jazdy. W końcu Oświęcim to dla nas symbol zagłady. W przyszłości mogą mnie ogarnąć wyrzuty sumienia.

Wyszliśmy z hotelu. Widać było autokary z różnymi numerami oraz mnóstwo turystów w barwnych trykotowych koszulkach i krótkich spodenkach. Każdy szukał autokaru przeznaczonego dla swojej grupy.

Czuliśmy się nieswojo w tej turystycznej atmosferze i postanowiliśmy pojechać taksówką. Na prywatną wycieczkę. W czasie jazdy kierowca opowiadał nam historię obozu:

– Niemcy zmobilizowali Polaków, aby pracowali dla nich, a ci, którzy odmówili wykonania rozkazu, jak na przykład mój brat, mieszkający z rodziną w Oświęcimiu, zostali zesłani do obozu i do dziś nie wiemy, co się z nimi stało. Obóz przeznaczony był dla polskich jeńców, dla których nie starczyło miejsca w więzieniu. Później, w 1941 roku, przysłano tutaj jeńców sowieckich pojmanych w czasie operacji Barbarossa. No i bardzo wielu Żydów...

Słuchałam jego słów i tłumaczyłam Pierre'owi, który nic nie rozumiał. Kierowca ciągnął dalej i opowiadał o cierpieniach swoich oraz swojego narodu. Każdy z nas pogrążony był we własnym świecie.

Parking należący do muzeum wypełniony był prywatnymi autami, a przede wszystkim autokarami turystycznymi. Wśród turystów było dużo młodzieży w zmiętych ubraniach, Japończycy z aparatami fotograficznymi i Amerykanie w kolorowych spodniach w kratkę. Mnóstwo ludzi z całego świata skupiało się wokół przewodnika z parasolką o jaskrawej barwie. Wszyscy kroczyli za nim w kierunku obozu. My także przyłączyliśmy się do nich i wkrótce zniknęliśmy w tłumie tłoczącym się przy wejściu do muzeum. Rozglądałam się wokół, zdumiona ilością osób, któ-

re zainteresowane były odwiedzeniem miejsca stanowiącego coś w rodzaju fabryki śmierci, do której bezpowrotnie weszło kiedyś ponad milion ludzi. Obóz zagłady – tak ważna część w historii narodów żydowskiego, polskiego, Cyganów i całej ludzkości.

Przy bramie obozu pod szyldem „*Arbeit macht frei*” wszyscy zamilkli. Panująca wokół przejmująca cisza jakby otuliła ogólny lęk przed ujrzeniem strasznej zbrodni, którą popełniono tu, na terenie obozu. Dla mnie było to pierwsze spotkanie ze zbrodnią, której nie spotkała kara.

Szliśmy czystymi alejkami, wzdłuż których umieszczone były sztyldy kierujące do poszczególnych baraków. Na pierwszy rzut oka teren nie sprawiał wrażenia miejsca, gdzie dokonano tak wielu okrucieństw. Doskonały porządek i czystość, jak gdyby sugerowały panującą tu kiedyś hierarchię: silni, którzy wydają rozkazy i słabi, będący ofiarami.

Zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie dokonywano wyroków śmierci na więźniach. Małe, czyste podwórko. Muszę przyznać, iż nie wywołało ono we mnie szczególnego wzruszenia. Może dlatego, że było to zwykłe, puste podwórko, niewywołujące żadnego poczucia zagrożenia. Nie potrafiłam wyobrazić sobie wywożonych stąd transportów zabitych więźniów. Stałam naprzeciw wstrząsającej przeszłości i nie odczuwałam ścisku w gardle z powodu tragicznych wydarzeń, jakie miały tu miejsce.

Potem udaliśmy się do baraków. W jednym z nich zebrane były sterty porwanych butów, połamanych okularów, zniszczonych walizek, które ludzie zabrali ze sobą, wierząc, że będą jeszcze używać znajdujących się w nich rzeczy. Wszystko to rzucone poza szybami – bez nazwisk i adresów właścicieli.

W Oświęcimiu pogrzebana została historia ludzkości, przeszłość pełna deprawacji i uwięzionego w ludziach zła, które nagle wyzwała się i nie można się przed nim obronić.

Na pewnym etapie zwiedzania baraków przybliżyłam się do polskiej grupy i w napięciu przysłuchiwałam się objaśnieniom przewodnika:

– Muzeum powstało w 1947 roku na mocy decyzji polskiego rządu. Armia Czerwona chciała zniszczyć szczątki obozu, lecz grupa ocalałych Polaków nie dopuściła do zlikwidowania będących dowodem zbrodni komór gazowych.

Po słowach wstępu powiedział, że obóz został zbudowany w 1940 roku i miał stanowić miejsce pracy dla Polaków, którzy nie zgadzali się współpracować z Niemcami, dla polskich intelektualistów przeciwstawiających się procesowi germanizacji wśród inteligencji na zajętych terenach. Później zaczęli napływać Żydzi, z czasem ich ilość coraz bardziej wzrastała. Przewodnik opowiadał również o porwanych do Niemiec polskich dzieciach, którym zmieniano imiona i nazwiska, zmuszano je do całkowitego wyrzeczenia się autentycznej tożsamości, nie pozwalano mówić po polsku. Starsze dzieci wciągane były do młodzieżowych nazistowskich organizacji typu Hitlerjugend, a te spośród nich, które nie kwalifikowali się do przejścia procesu germanizacji, trafiały do Oświęcimia.

Z wielką uwagą słuchałam słów przewodnika. Nie potrafiłam ogarnąć okrucieństwa nazistów zarówno wobec żydowskich, jak i nieżydowskich dzieci.

W drodze powrotnej do hotelu spytałam kierowcę, czy może nas zabrać następnego dnia do Lubaczowa. Nazwa miejsca nic mu nie mówiła. Obiecał, że poszuka na mapie i zawiadomi mnie.

Pod wieczór wyszliśmy na spacer po mieście. Przez cały czas pamiętałam, że Kraków jest miejscem, z którym matka wiązała przyjemne wspomnienia, gdzie przebywała już pod prawdziwym nazwiskiem i nie musiała obawiać się ludzi na ulicy. Jest miastem, które nie było związane z jej rodzinną przeszłością. W nim pró-

bowiała stawiać pierwsze kroki po wojnie, rozpoczynała nowe życie. Tu po raz pierwszy spotkała swoje koleżanki z miasteczka – Anię i jej siostry, Julię z rodziną oraz inne dziewczęta.

Później, po powrocie z Polski, udało mi się odnaleźć Julię. Wcześniej nie było mi dane jej poznać, ale kilkakrotnie słyszałam to imię.

Spotkałyśmy się w telawiwskiej kawiarni. Interesowało mnie, w jaki sposób ocalała. Julia ściszyła głos i poprosiła, abym ja również mówiła po cichu. Rozejrzała się przy tym po kawiarni, czy nikt nie słyszy naszej rozmowy:

– Miałam sfalszowane papiery. Wolę o tym nie mówić, drażliwa sprawa... nie daje to powodu do dumy. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała: – Byłam w czasie wojny w Krakowie. Mnie łatwiej było się uratować niż twojej mamie, bo jestem blondynką i mam niebieskie oczy, więc wyglądałam jak aryjka. Poza tym w Warszawie wszystkim groziło więcej niebezpieczeństw, no i ja byłam razem ze swoją rodziną, a twoja mama zupełnie sama.

Julia również nigdy nie wróciła do miasteczka. Wspominała jedynie, jak brat mojej mamy zabierał wszystkie jej koleżanki na łódki po rzece.

Doszliśmy do Rynku, który w przeciwieństwie do warszawskiego nie został zniszczony w czasie wojny, którego piękno tak bardzo utkwiło w pamięci mamy. W odchodzących od niego ulicach stały zaprzężone w konie dorożki i rozlegały się odgłosy stukania kopyt.

Kręciliśmy się po rynku, słuchając dźwięków żydowskiej – chasydzkiej muzyki, która dobiegała z jakiegoś pobliskiego zaułka. Udał się w tym kierunku i ku wielkiemu zdziwieniu ujraliśmy trzech młodych muzyków, Polaków, grających na instrumentach dętych jak klezmerzy. Wokół nich zebrało się dużo

ludzi. Słuchali z zaciekawieniem, niektórzy wydawali radosne okrzyki. Po skończonym występie muzycy sprzedawali płyty ze swoimi nagraniami.

Było to dla nas niezwykle przeżycie słyszeć żydowską muzykę na ulicy Krakowa. W podniesionym nastroju kontynuowaliśmy wycieczkę po mieście, kierując się w stronę Kazimierza. Weszliśmy do synagogi. Była akurat godzina modlitwy, ale w środku nie było wiele osób. Może kworum modlitewne, a może trochę więcej. Większość obecnych stanowiły uczennice szkolne.

W pobliżu synagogi znajdowała się restauracja, w której zjedliśmy kolację w tradycyjnym polsko-żydowskim stylu. Następnego dnia, w sobotę, ponownie udaliśmy się na rynek, by jeszcze raz przed wyjazdem z Krakowa rozejrzeć się po mieście. We wschodniej części rynku stała prowizoryczna scena udekorowana kwiatami, a na niej mały stół i dwa krzesła po bokach. Na jednym z nich siedział człowiek z białą brodą, być może jakiś duchowny, może pisarz lub poeta. Na drugim kobieta o dosyć prowokacyjnym wyglądzie. Jej mocny makijaż i odzież w krzykliwych kolorach przyciągały uwagę zebranej wokół publiczności – młodych i starszych. Aktorzy czytali z przejęciem fragmenty prozy i poezji. Nie zrozumiałam treści tekstów, ale samo słuchanie sprawiało mi dużą przyjemność.

Naszą następną stacją było Zakopane – miasto, którego nazwę pisze się i wymawia tak samo, co mnie jako cudzoziemce wydaje się rzadkie w języku polskim. Po opuszczeniu Krakowa, jadąc na południe, odczułam, że teraz rozpoczyna się właściwa droga śladami mamy. W Zakopanem spędzała z rodziną czas jeszcze przed wojną, był to więc okres, o którym niewiele mówiła. Mój nastrój uległ pewnej zmianie, zdawałam sobie sprawę, że czynię pierwszy ważny krok na moim osobistym szlaku. Pierwszy krok w kierunku Lubaczowa.

Kiedy przyjechaliśmy do Zakopanego, był gorący, wilgotny dzień. Matka natomiast wspominała miasto pokryte śniegiem.

Następnego dnia przyłączyliśmy się do pieszej, około siedmiogodzinnej wycieczki, pod koniec której dotarliśmy do małego jeziora wśród gór o nazwie Morskie Oko. Drogę powrotną odbyliśmy dorożką. Byliśmy bardzo zadowoleni z wycieczki i postanowiliśmy przedłużyć nieco pobyt w Zakopanem. Być może podświadomie chciałam też odłożyć wyjazd do Lubaczowa.

Wieczór poprzedzający naszą dalszą podróż spędziłam na wyjaśnianiu, jak można dotrzeć do miasteczka. W pensjonacie, w którym przebywaliśmy, nikt nie znał takiego miejsca.

Udaliśmy się na postój taksówek, lecz tam – ku mojemu zdziwieniu – również nie słyszano o Lubaczowie. W tym momencie zrodziło się we mnie uczucie, że podążamy do jakiegoś abstrakcyjnego miejsca, jak gdybyśmy znajdowali się w filmie fantastycznym i nie mamy szansy dotrzeć do niego.

Dopiero urzędniczka w biurze informacyjnym na dworcu autobusowym dostarczyła nam potrzebnych wskazówek. Mieliśmy wsiąść do mikrobusu jadącego do miejscowości Rzeszów, tam przesiąść się w minibus do Jarosławia, a stamtąd już bezpośrednio do Lubaczowa. Wyglądało to jak podróż na koniec świata.

Z samego rana, zaopatrzeni w kanapki, opuszczamy pensjonat i udajemy się na stację autobusową. Miasto jeszcze zaspane, tylko ludzie śpieszą do pracy, a sprzątacze przygotowują ulice do nowego dnia.

Na stacji okazuje się, że mikrobus jest częściowo zapelniony i kierowca czeka na dodatkowych pasażerów, którzy z góry zamówili miejsca. Staliśmy rozczarowani z boku, zastanawiając się, co robić dalej. Nagle rozległ się głos kierowcy:

– Proszę pani, jest miejsce.

Załadowaliśmy walizki i szybko usiedliśmy, żeby kierowca nie zmienił zdania.

Byłam pełna napięcia. Oto jednak, przybliżamy się do wyznaczonego celu. Mijamy zielone lasy na rozległych równinach, małe miasteczka, w których wznoszą się w górę wieże kościelne.

Jedziemy do pierwszej stacji na drodze do Lubaczowa, do miasta o nazwie Rzeszów. Podczas jazdy rozmawiałam trochę z młodym kierowcą, który chętnie opowiadał o mijanych po drodze wsiach.

Widzieliśmy wszędzie mnóstwo zieleni. Od czasu do czasu pojawiały się skupiska małych domków, a po bokach kościoły. Po około pięciogodzinnej jeździe dotarliśmy do Rzeszowa. Nazwa bardzo trudna do wymówienia.

Na stacji rozglądałam się za mikrobusem do Jarosławia (jeszcze jedna trudna nazwa). Obecnie czułam, że mój fantastyczny film dobiegł końca, że jesteśmy w realnym życiu.

Dodatkowe dwie godziny jazdy w ciasnym mikrobusie bez klimatyzacji przy temperaturze 37°C. Zajęliśmy miejsca z przodu, chciałam dobrze widzieć drogę, którą kiedyś codziennie przemierzała moja matka. Nie wierzyłam, że znajdę się tutaj. Mijaliśmy teraz gęste lasy – dęby i sosny, złote pola pszenicy, owsa i kukurydzy. Było coś pastoralnego w tej drodze, gdzie odległość między miejscowościami wynosiła dziesiątki kilometrów.

Znaleźliśmy się w Jarosławiu. Była to nasza przedostatnia stacja. Rozglądałam się wokół. Moje wzruszenie rośnie.

Po kilkuminutowym bieganiu między dziesiątkami mikrobusów wyrывa mi się okrzyk „Lubaczów!”. Po raz pierwszy widzę wyraźnie wydrukowane litery i trudno mi uwierzyć, że to prawda. Pełna zachwytu proszę kierowcę, aby ofiarował mi tabliczkę z napisem „Lubaczów”. Nieco zdziwiony spełnił moją prośbę. I w tym momencie, kiedy trzymam ją przed sobą, nastąpiła we mnie zmiana, której nie potrafię opisać słowami.

Jadąc, wędruję myślami w swojej wyobraźni. Widzę matkę, jak będąc młodą dziewczyną, dźwiga walizki z odzieżą i narty, wra-

cając z wczasów w Zakopanem. Prawdę mówiąc, ciężko mi sobie wyobrazić matkę używając pojęć „wypoczynek” i „przyjemność”. Kojarzy mi się tylko „strach” i „napiecie”.

Nie zwracałam uwagi na małe stacje, na których zatrzymywał się mikrobus. Na jednej z nich wsiadła modnie ubrana kobieta:

– „Lubaczów” – zwróciła się do kierowcy.

Słyszając te słowa, natychmiast rozbudziłam się ze swoich sennych marzeń. Z zaciekawieniem zaczęłam się przyglądać nowej pasażerce.

Później do mikrobusu wsiadło kilku młodzieńców. Śmiali się i żartowali. Nigdy nie widziałam tak rozbawionych Polaków. Wszystko to było w zupełnej sprzeczności z myślami, jakie krążyły mi w głowie. Co ci młodzi tu robią?

Z przeszłości ponownie przeniosłam się w rzeczywistość.

Jedziemy przepełnionym mikrobusem. Jest gorąco i czuje się dużą wilgotność w powietrzu. Nagle, przy drodze pojawia się tablica „Lubaczów”. Natychmiast zwracam się do kierowcy i pytam, gdzie mamy wysiąść. Odpowiada mi, że na centralnej stacji i że poinformuje nas. Z jego odpowiedzi wnioskuję, iż Lubaczów musi być jednak dużym miastem, skoro ma centralną stację. Szybko tłumaczę słowa kierowcy Pierre'owi.

W przejeździe patrzę przez okno, nie chcąc przeoczyć żadnego szczegółu. Wyteżam wzrok, ale prawdę mówiąc, nic nie widzę.

Jest parę minut po drugiej. Znajdujemy się na centralnej stacji w Lubaczowie. Nagle dzwoni telefon. To mój przyjaciel z Izraela, z którym od dłuższego czasu nie rozmawiałam. Donoszę mu krótko, gdzie się w tej chwili znajduję, po czym proszę, by zatelefonował do Anny, koleżanki mamy. A nuż pamięta ona jej adres w Lubaczowie.

Lubaczów, lipiec 2007

Na ulicy nie widać nikogo. Uczucie niezbyt przyjemne. Słońce piecze, a nam spływa po twarzy pot. Stoimy, nie wiedząc, co robić. Cisza. Żadnego znaku życia. Żadnego straganu czy kiosku, gdzie można by kupić butelkę wody.

Mikrobus odjechał. W pewnym momencie pomyślałam, że chętnie wróciłabym z powrotem, ale nie było jak. Zastanawiamy się, w którym kierunku iść. Nagle dostrzegam po drugiej stronie szosy zniszczoną tablicę wskazującą starą stację kolejową, co na chwilę cofa mnie myślą ku peronom, które kiedyś wchłonęły w siebie ważne rozdziały historii Żydów.

I to wszystko. Siedzimy na walizkach, głodni i spragnieni. Wymieniamy między sobą spojrzenia. Jak dostać się do hotelu Feliks?

W pewnej odległości za nami widać mały budynek sprawiający wrażenie jakiegoś magazynu, a przy nim stoją duże, szare worki. W pewnej chwili wychodzi z niego młodzieniec, którego widok turystów zdaje się wprowadzać w wielkie zaskoczenie.

Ujrzenie pierwszej oznaki życia sprawiło mi pewną ulgę. Natychmiast podeszłam do niego i spytałam o hotel. Młody człowiek wskazał na centralną stację autobusową i powiedział, że stamtąd mamy wziąć mikrobus. Patrząc w stronę stacji i nie widząc tam żadnego mikrobusu ani żadnych ludzi. Wówczas młodzieniec poradził

udać się na postój taksówek. Nie było tam jednak ani taksówek, ani czekających.

Zaczęłam żałować, że nie posłuchaliśmy rad kolegów i postanowiliśmy podróżować posługując się komunikacją publiczną. Młody człowiek, wyraźnie zaniepokojony naszą sytuacją, proponuje zatelefonować do jednego z dwóch taksówkarzy w mieście. Dzwoni w naszym imieniu, aby zamówić taksówkę, lecz okazuje się, że jest ona zajęta, obwozi kogoś poza miastem. No tak. Teraz poczuliśmy się bezradni. Wtedy, nieznajomy występuje z nieoczekiwaną propozycją, a mianowicie wyraża gotowość podwiezienia nas do Feliksa. Po raz pierwszy pojawia się na naszych twarzach uśmiech, uśmiech wdzięczności.

Czekając aż wróci ze swoim autem, by nas zabrać, zaczęliśmy myśleć o tym, że on nawet nie wie, skąd przyjechaliśmy. Byliśmy pełni podziwu dla jego chęci okazania pomocy obcym ludziom.

Wkrótce przyjechał i załadowaliśmy nasze walizki do bagażnika. Podczas jazdy Pierre namawia mnie, abym spytała młodzieńca, czy mógłby nas obwieźć po obiektach kultury żydowskiej w mieście, a może też pokazać młyn, który był dla mnie czymś zupełnie abstrakcyjnym. Czuję się nieco zażenowana zadać mu takie pytanie, lecz w końcu przy wyjmowaniu bagażu obok hotelu decyduję się spytać, czy mógłby wieczorem pokazać nam miasto, gdyż następnego dnia wyjeżdżamy z Lubaczowa. Młodzieniec namyśla się chwilę, po czym mówi z uśmiechem, że zadzwoni do nas pod wieczór, kiedy skończy pracę, i da odpowiedź.

Pierwsze kroki w hotelu skierowaliśmy do restauracji. Dobiegały z niej nieznane mi zapachy, niezbyt nęcące. Restauracja była pusta. Gdybym miała jakąś inną możliwość, wyszłabym z niej. Głód jednak bardzo dokuczał.

Kelner podał nam jadłospis po polsku, lecz z powodu silnego zmęczenia nie udało mi się zrozumieć nazw wszystkich po-

traw. Zamówiłam dla nas grochówkę oraz kurę z dodatkami, no i przede wszystkim butelkę wody.

Czułam się w miasteczku bardzo nieswojo i właściwie chciałam stąd jak najszybciej wyjechać. Podczas gdy kelner podawał nam jedzenie, spytałam go, czy zna ulicę Młyńską. Taką nazwę podała mi telefonicznie Anna. Kelner odpowiedział, że w Lubaczowie nie ma takiej ulicy. Zaczęłam się obawiać, że wyjadę z tym, z czym przyjechałam. Postanowiłam jednak ponownie spróbować szczęścia i bardzo niepewnie zapytałam o młyn, który tu się znajdował przed wojną, na brzegu rzeki. Kelner pokiwał głową i stwierdził, że do tej pory stoi w miasteczku budynek służący kiedyś za młyn i elektrownię.

Opuścił nas na chwilę, po czym wrócił z mapą miasta w ręku. Rozłożył ją na stole, a my pochyleni nad nią obserwowaliśmy, jak pewnymi ruchami wskazuje miejsce, gdzie stoi młyn.

Informacja, że obiekt istnieje, podnosi mnie na duchu, niepokoi tylko inna nazwa ulicy. W sumie sytuacja wygląda tak: młyn został odnaleziony, aczkolwiek adres się nie zgadza. Nie mamy auta, aby tam pojechać. Rozmyślam, jak tu wynająć jakiś środek lokomocji, lecz w miasteczku nie ma żadnej wypożyczalni. Nadchodził wieczór, czułam się coraz bardziej bezradna. Zdawałam sobie sprawę, że podróż odbyłam na próżno. Do rzeki już nie dotrę, pozostaje tylko czekać następnego dnia.

Weszliśmy do kawiarni znajdującej się na terenie ogrodu należącego do hotelu. Siedząc w oczekiwaniu na dalszy przebieg wydarzeń, Pierre postanawia przejrzeć spis nazwisk w książce telefonicznej. Już na samym początku natyka się na nazwisko Abramowicz, które sprawia wrażenie mającego żydowskie pochodzenie. Bez chwili zastanowienia Pierre wykręca numer.

– Halo – słysząc głęboki basowy głos.

– Halo, przyjechaliśmy z wizytą z Izraela i chciałem zapytać, czy może wie pan, gdzie w miasteczku znajduje się synagoga – mówi Pierre po angielsku.

– Co takiego?! – Człowiek przy telefonie wydał się zaskoczony i krzyknął do słuchawki.

Przeraziła nas jego reakcja i na tym skończyła się rozmowa oraz poszukiwanie oznak żydostwa w miasteczku.

Rozglądaliśmy się wokół w nadziei, że nadejdzie jakaś pomoc. Na placu zabaw znajdującym się koło hotelu bawiły się dzieci, śmiały się i krzyczały. Po raz pierwszy miałam styczność z językiem polskim, którym posługiwały się maluchy. Było to dla mnie intrygujące i zabawne przeżycie. Na ulicy przechodzili ludzie z zakupami w ręku, przejeżdżały samochody. Życie w mieście toczyło się zwykłym trybem.

Od czasu do czasu spoglądałam na zegarek, wydawało mi się, że czas nie rusza się z miejsca. Pamiętam o tym, że jutro wyjeżdżamy i że każda minuta jest cenna.

Na razie siedzimy jednak beczynnienie w hotelowej kawiarni, ja popijam dietetyczną kolę, a Pierre polskie piwo. I oto widzę, że na pobliskim postoju wychodzi z samochodu dwóch młodzieńców, a jeden z nich to nasz znajomy.

Młodzi ludzie przysiedli się do nas do stołu. Jeden z nich miał na imię Krzysztof, a drugi Paweł. Po tym, jak już wyczerpałam cały swój zasób polskich słów, aby wyrazić nasze podziękowanie Krzysztofowi za uprzednią pomoc, opowiedziałam im trochę o nas. Zaczęłam od tego, że przyjechaliśmy z Izraela i tylko na jeden dzień, aby zobaczyć miejsce nad rzeką, gdzie stał młyn oraz dom, w którym mieszkała kiedyś moja rodzina. Obserwowałam wyraz ich twarzy i czułam, że z uwagą przysłuchują się moim słowom i gotowi są wyruszyć z nami na poszukiwania.

Pozwoliłam sobie też spytać, czy mogliby nas zabrać na cmentarz żydowski. Natychmiast zgodzili się, a także wyrazili chęć pokazania nam innych obiektów związanych z żydostwem miasteczka. Wsiadając do samochodu, Krzysztof zaproponował, abyśmy pojechali również na cmentarz żydowski w miejscowości Oleszyce, znajdującej się w odległości około dwudziestu kilometrów od Lubaczowa. Uprzedził nas tylko, że nekropolia jest bardzo zaniedbana. Byłam bardzo zaskoczona niezwykle uprzejmością młodzieńców, podzieliłam się z Pierre'em treścią ich propozycji.

Humor znacznie mi się poprawił. Odniosłam wrażenie, że ich chęci są szczerze. Podczas jazdy Paweł opowiedział, że w czasie wojny jego dziadek ukrywał w swoim domu Żydów, ale tylko przez kilka dni, gdyż groziło za to wielkie niebezpieczeństwo całej jego rodzinie.

Poczułam ulgę. Przyjechałam tutaj z bagażem negatywnych uczuć, z wielką obawą przed ujawnieniem mojego pochodzenia. Tymczasem pierwsza znajomość zaprzeczyła wszystkiemu, czego się spodziewałam.

W samochodzie panowała przyjemna atmosfera. Rozmowa z młodymi ludźmi była ciekawa i toczyła się płynnie, aczkolwiek powoli, ze względu na to, że zrozumienie tego, co mówią, a także wypowiedzenie się zabierało mi trochę czasu. Poza tym zajęta byłam tłumaczeniem wszystkiego Pierre'owi.

Pierwszym celem naszej przejażdżki jest młyn, będący najcieplejszym kącikiem w sercu mojej mamy. Po drodze mijamy jednopiętrowe drewniane domki zbudowane jeszcze przed wojną, a obok nich nowoczesne budynki z cegły. Z jednej strony wzrastają moje oczekiwania co do tego, co zobaczymy, a z drugiej rośnie obawa, by nie zaznać rozczarowania. Przed południem czułam się jeszcze daleka od celu, a teraz wszystko stało się zupełnie bliskie. Zastanawiałam się, czy to nie sen.

Po kilkuminutowej jeździe, która wydawała się wiecznością, znaleźliśmy się na piaszczystej drodze pełnej dołów z wodą i małych kamieni. Krzysztof zwalnia, wskazuje na dwupiętrowy budynek na brzegu rzeki i opowiada:

– Tutaj znajdował się młyn, który też dostarczał miasteczku elektryczności, zarówno w okresie okupacji niemieckiej, jak i rosyjskiej. Jego górne piętro spaliło się w 1945 roku, lecz podczas wojny nie został zniszczony i do 1948 roku służył jako elektrownia. A z tej strony – pokazuje w kierunku rzeki – było koło młyńskie. Łozysko rzeki później zmieniono, ale wtedy woda dochodziła do koła i je napędzała. Ulica ta nazywała się kiedyś Młyńska, lecz po wojnie Rosjanie zmienili nazwę na Partyzantów.

Trudno mi było uwierzyć w to, co zobaczyłam. Czy to jest młyn, z którym związane było dzieciństwo mojej mamy? Czułam się oszołomiona. Stoję w miejscu, do którego pragnęłam dotrzeć. Saul Czernichowski napisał o tym w jednym ze swoich wierszy: „Człowiek nosi w sobie horyzonty swojej ojczyzny”.

Ogarnęło mnie mieszane uczucia radości i smutku. Przecież tu właśnie odcięte zostały nasze korzenie.

Fotografowaliśmy wszystko, ze wszystkich możliwych stron, aby upamiętnić historię rodziny. Opowiedziałam młodzieńcom pewne dodatkowe szczegóły dotyczące mojego związku z tym miejscem, będącym jedynym punktem łączącym mnie z przeszłością rodziny. Obawiałam się nieco, że zaczną mi zadawać jakieś kłopotliwe pytania, lecz oni tylko słuchali z zaciekawieniem. Stali z boku, nie pośpieszali mnie. Widać było, że chcą mi umożliwić, abym spokojnie wszystko obejrzała.

Przechadzałam się koło młyna, patrzyłam na rzekę. Do tego miejsca tęskniła moja matka, ale tutaj pozostawiła swoją rodzinę i uciekła do Warszawy.



Młyn w Lubaczowie. Na zdjęciu autorka we wnętrzu młyna

Nadal robię zdjęcia i prowadzę rozmowę sama z sobą. Dopinguję Pierre'a, by on również kontynuował fotografowanie, żeby nie przepuścił żadnego szczegółu. Przecież jutro opuszczamy Lubaczów i nie wiadomo kiedy przyjedziemy tu po raz drugi.

Miotają mną sprzeczne uczucia – z jednej strony przynależność do miejsca, z drugiej wyobcowanie. Najbardziej ze wszystkiego poczucie życia i śmierci.

W pewnym momencie dostrzegam, że w pobliżu młyna stoi nowy, dwupiętrowy dom. Nie należał do wspomnień z dzieciństwa mojej mamy. Dla mnie po prostu nie należał do tego miejsca.

Wiem teraz na pewno, że w Lubaczowie jest rzeka. Zobaczyłam ją i tym samym zrealizowałam swoje marzenie. Mam zdjęcia. Można już wracać do domu.

Trudno było przekształcić legendę w rzeczywistość. Znalazłam się przy wejściu do młyna, lecz nie miałam kluczy.

Dałam znak chłopcom, że jestem gotowa, by udać się w dalszą drogę. I wówczas – wstrzymuję oddech – z domu obok młyna wychodzi do nas mężczyzna z wąsami, ubrany w krótkie spodnie. Patrzy na nas, jak gdyby pytając: „Co takiego? Szukacie czegoś?”

Poczułam napięcie, nie wiedząc, jak zareaguje, kiedy się dowie, że jesteśmy z Izraela. W mojej wyobraźni pojawiła się postać człowieka, który rzuca obraźliwe słowa w kierunku Żyda odwiedzającego miejsce swojego pochodzenia i chce go stąd wyrzucić. Chciałam uniknąć wszelkich konfliktowych sytuacji z obecnymi sąsiadami. Chciałam w spokoju opuścić to miejsce.

Nasi przewodnicy podeszli do mężczyzny i zaczęli z nim rozmawiać. Pozostawiłam im trochę czasu na wyjaśnienie mu, dlaczego tu przyjechaliśmy, a potem ja również podeszłam i przyłączyłam się do rozmowy. Nie pamiętam jej całego przebiegu, ale przypominam sobie, że z góry zajęłam pozycję obronną. Swoją

łamaną polszczyzną i za pomocą rąk, starałam mu się wytłumażyć, że znajdujemy się tu wyłącznie po to, aby zapamiętać to miejsce. Towarzyszący nam młodzieńcy zapoznali mężczyznę z naszymi dalszymi planami na wieczór, a ja przypatrywałam się jego spojrzeniu i wyrazowi twarzy, przygotowując się na każdą reakcję. Serce biło mi mocno, nie chciałam zostać stąd wyrzucana, poczuć się dotknięta.

Mężczyzna przedstawił się nam, miał na imię Zygmunt. Rozmowa potoczyła się w przyjemnej atmosferze. Opowiedziałam mu o małym domku mamy, który znajdował się koło młyna. Zygmunt słuchał mnie z życzliwością, nie przejawiał żadnych złowrogich uczuć, a potem powiedział:

– Tak, koło młyna był kiedyś mały domek, stał on na tym miejscu jeszcze jakieś dwadzieścia lat temu.

Nie został zatem zburzony w czasie wojny, tak jak myślałam. Dom był, tylko że mnie nie było tam, aby go zobaczyć. Przegapiłam. Zygmunt ciągnął dalej, a ja i towarzyszący nam młodzieńcy słuchaliśmy uważnie:

– Po wojnie dom został przejęty przez władze radzieckie. Przeznaczili go dla rodzin, które nie miały gdzie mieszkać, na określony okres czasu, dopóki nie znajdą sobie jakiegoś stałego mieszkania. Nikt o niego nie dbał i z czasem ludzie, którzy zaczęli się budować w okolicy, zabierali różne jego fragmenty, na przykład dachówkę, cegły, aż w końcu zupełnie go rozwalili. Na jego ruinach ja zbudowałam po wojnie swój dom. Kupiłam plac zgodnie z prawem, wszystko jest zapisane i uregulowane. Zewnętrznie mój dom jest podobny do domu pani rodziny.

Ucieszył mnie jego życzliwy stosunek. Poczułam, jak gdybym spotkała człowieka zaprzyjaźnionego z moją rodziną. Zamieniliśmy jeszcze kilka słów, dorzuciłam parę informacji o sobie, a przede wszystkim o mamie.

Ku wielkiemu zaskoczeniu, usłyszałam od Zygmunta, że w pobliżu jego domu, po drugiej stronie ulicy, mieszka staruszek, który ma na imię Staszek. Żył tam jeszcze przed wojną i chętnie opowiada o minionych czasach. Zygmunt zaproponował mi, abyśmy poszli go odwiedzić.

Sytuacja wydała mi się niebywała. Czyżby w miasteczku był jeszcze ktoś, kto ma związek z przeszłością mojej rodziny? Kto chodził tymi samymi ścieżkami, którymi chodziła matka? Trudno mi było uwierzyć, że takie spotkanie jest możliwe, lecz od razu przyjął propozycję i wyraziłam gotowość udania się do Staszka.

Zygmunt powiedział, że dopiero co widział go jadącego na rowerze po chleb. Był to rodzaj codziennego lub może cotygodniowego rytuału. Chciałam dowiedzieć się o adres Staszka, lecz nasi przewodnicy powiedzieli, że wiedzą, gdzie mieszka i obiecali zabrać nas do niego.

Zdałam sobie sprawę, że zupełnie niespodziewanie pojawiła się jednorazowa okazja spotkania kogoś stąd, z tamtych czasów. Przecież byłam przekonana, że nikt już nie pozostał przy życiu. Po chwili ogarnęła mnie jednak obawa przed takim spotkaniem, obawa, że rozczaruję się, że moje oczekiwania powrotu do przeszłości są nierealne.

Mimo wszystko pozostawiłam Zygmuntowi swój numer telefonu na wypadek, gdyby ponownie zobaczył sąsiada i tamten zgodziłby się ze mną spotkać. Dowiedziałam się od niego, że budynek, w którym mieścił się młyn, nabył już dawno temu jakiś nieznany mu człowiek. Miał on zamiar zbudować na górze pensjonat, a na dole, nad brzegiem rzeki, restaurację. Pojawiły się jednak trudności ze zrealizowaniem tego planu, ponieważ dom został przejęty pod ochronę Urzędu Miejskiego.

Po zakończeniu rozmowy udaliśmy się w dalszą drogę. Ja byłam dosyć rozkojarzona, lecz na szczęście Krzysztof i Paweł wzięli

sprawę w swoje ręce. Udaliśmy się w kierunku następnego obiektu. Był nim cmentarz żydowski w pobliskiej miejscowości Oleszyce.

Po około dwudziestominutowej jeździe obsadzoną po obu stronach drzewami drogą dotarliśmy do Oleszyc. W pobliżu cmentarza znajdowały się małe domki, a wokół nich pełne zieleni, zadbane ogródki. Brama na cmentarz była wyłamana, a sam teren zarośnięty chwastami. Weszliśmy do środka, torując sobie drogę między kolczastymi krzakami. Tu i ówdzie widniały nagrobki. Część została wyrwana z ziemi, część rozbita, lecz zachowały się na nich wyrzeźbione hebrajskie litery. Byliśmy wstrząśnięci widokiem nekropolii i szybko ją opuściliśmy.

Potem pojechaliśmy na cmentarz w Lubaczowie. Prowadziła do niego duża żelazna brama. Stanęliśmy wewnątrz na szerokiej ścieżce. Po jej lewej stronie znajdował się zadbane i pełen kolorowych kwiatów cmentarz katolicki, a po prawej żydowski. Tutaj, podobnie jak w Oleszycach, teren był zarośnięty wysokimi chwastami, a duża część nagrobków rozbita. Widziałam, że Paweł czuje się zażenowany z powodu wyglądu cmentarza.

Zapadał zmierzch, a my zgodnie z planem zakończyliśmy naszą wędrówkę. Wówczas niespodziewanie odezwał się Krzysztof:

– Teraz pojedziemy do Staszka.

Byłam zdumiona, że o nim nie zapomniał. Z podziwem patrzyłam na młodzieńców, którzy nadal przejawiali gotowość, by nam towarzyszyć. W końcu zrobili już z nami kawałek drogi.

Od chwili, kiedy spotkanie stawało się coraz bliższe, uczucia coraz bardziej się we mnie potęgowały. Z jednej strony obawiałam się, że opowieści Staszka mogą zburzyć wizję życia mamy, jaką sobie do tej pory stworzyłam, a z drugiej – a nuż uda mi się zappełnić pustą „bagaż”, z którym tu przyjechałam. Mieszanie nadziei i możliwości rozczerowania.

Jak mam przedstawić się Staszкови? Kim jestem? Córką Pepki? O czym będziemy rozmawiać? Przecież dom już nie istnieje.

W drodze modliłam się, żeby Staszek był w domu i żeby zgodził się ze mną porozmawiać. Jazda trwała krótko, lecz mnie wydawała się wiecznością. Czyżby teraz, na tym podwórku pojawiła się okazja poznania prawdy o mojej rodzinie?

Weszliśmy przez bramę. Koło domu, na betonowym murku siedział starszy pan w krótkich spodniach oraz do połowy rozpiętej z powodu gorąca koszuli. Spojrzeniem błędził gdzieś w przestrzeni. Jak się później okazało, nic nie wiedział o naszym przybyciu.

Stanęliśmy naprzeciw Staszka. Popatrzył na nas podejrzliwie, nie rozumiejąc, skąd na jego podwórku pojawiły się cztery nieznanym osobom. Nasi przewodnicy zbliżyli się do niego i coś mu powiedzieli. Nie słyszałam ich słów, lecz widziałam, że gospodarz dalej siedzi spokojnie, nie zmieniając pozycji ani wyrazu twarzy.

Nadal nie byłam w stanie uwierzyć, że stoi przede mną człowiek, który znał moją rodzinę, ale nie mogę zaprzepaścić okazji, by spróbować dowiedzieć się czegoś od niego.

Nie potrafiąc opanować wzruszenia, bez żadnych wstępów, bez grzecznościowych fraz zwracam się do niego i wskazuję ręką w kierunku młyna. Pytam, czy pamięta, kto tam mieszkał przed wojną. W napięciu czekam, żeby coś powiedział, żeby jakieś słowo wypłynęło z jego ust. A on odpowiada bez chwili wahania:

– Aha... tam, przy młynie... pewnie, że pamiętam. Mieszkała tam rodzina żydowska, rodzina Friedmanów.

Nie wierzę swoim uszom. Zupełnie, jakbym dostała po głowie. Czuję drżenie w kolanach. Po raz pierwszy, z obcych ust usłyszałam nazwisko mojej rodziny. Mam nadzieję, że nikt oprócz Pierre'a nie dostrzegł, co się ze mną dzieje.

Biorę głęboki oddech i dalej przysłuchuję się jego słowom, a on jak doświadczony marynarz odpłynął w minione czasy:



U góry: macewy na cmentarzu w Lubaczowie.

Na dole: ulica w Lubaczowie

– Mieszkał tam Friedman z żoną. Była też Hilda, krawcowa, siostra żony Friedmana, która mieszkała z nimi (o jej istnieniu nic nie wiedziałam) i troje ich dzieci. Friedman dzierżawił młyn, a mój ojciec i dziadek pracowali u niego. Właściwie wielu sąsiadów pracowało w młynie.

Do tej pory wszystko zgadzało się z tym, co wiedziałam. Byłam zdumiona, z jaką dokładnością wyliczał członków mojej rodziny. Napięcie we mnie rosło. Czy wspomni również matkę?

Staszek spokojnie kontynuuje opowieść i wymienia imiona dzieci:

– Syn nazywał się Loniek, a córka Minka.

O jej istnieniu trochę słyszałam, lecz nie wiedziałam, jak się nazywa. Serce biło mi mocno. Teraz... co powie teraz?

– Była jeszcze jedna córka, nazywała się Pepka – Staszek zamyslił się przez chwilę. – Pepka nie wiadomo dlaczego zostawiła dom i wyjechała do Warszawy. Była bardzo ładna. Taka młodziutka...

Moment, w którym padło imię mamy oraz kiedy usłyszałam, iż we wczesnej młodości zostawiła rodzinny dom, stanowił dla mnie punkt kulminacyjny przyjazdu do miasteczka i od razu poczułam związek z pojęciami „wtedy” i „tam”. Staszek był naoczny świadkiem istnienia mojej rodziny.

Patrzę na niego oszołomiona, szczęśliwa.

– Tak, tak... Pepka to moja matka – wtrącam cicho. – I ona uciekała do Warszawy, kiedy miała siedemnaście lat.

Staszek nie słuchał mnie i ponownie powtarzał w zadumie, że taka młoda dziewczyna opuściła dom. Jak to możliwe, że sama wyjechała do dużego miasta...

– To prawda – przytakuję. – Była wprawdzie bardzo młoda, ale musiała uciekać pod fałszywą tożsamością, na aryjskich papierach. Tu pozostawiła całą rodzinę...

Staszek nadal nie słuchał tego, co mówiłam i nadal opowiadał z żalem, że taka młodziutka panienska pojechała daleko do Warszawy, aby opiekować się dzieckiem sąsiada, który nazywał się Sikorski... Dlaczego to zrobiła?

Widziałam, że nie ma między nami kontaktu i każde z nas opowiada swoją wersję tej samej historii. Ja w skrócie starałam się przedstawić okoliczności, które wpłynęły na ucieczkę mamy, a on z uporem powtarzał, że nie rozumie jej postępuku. Mowa była o historii, która wydarzyła się jakieś siedemdziesiąt lat temu, a jego głos wciąż miał delikatne brzmienie, kiedy wspominał młodziutką Pepkę. A ja ponownie poczułam, że zdradzam swoją matkę, opowiadając o jej potajemnej ucieczce na aryjskich papierach.

Nagle oczy Staszka zabłysnęły, coś jeszcze sobie przypomniął:

– Wiosną wypiekali w domu Friedmana taki specjalny chleb, który bardzo lubiły wszystkie dzieci w okolicy. Był płaski, o kształcie kwadratu, z dziurkami. Rodzina Friedmanów rozdawała ten chleb okolicznym dzieciom, które czekały na niego cały rok.

Taka miła sąsiedzka tradycja – pomyślałam o opowieści Staszka o rozdawaniu „chleba”. W kącikach jego ust pojawił się lekki uśmiech.

Na moje pytanie, co się stało z rodziną w czasie wojny, powiedział:

– Podczas jednej z akcji przeciw Żydom syn Friedmana został ranny i ociekając krwią, przyczołgał się do domu pewnych starszych ludzi, którzy mieszkali w okolicy. Ludzie ci udzielili mu pierwszej pomocy, ale nie udało się go uratować. Wtedy położyli ciało u wejścia do domu, co według polskiej tradycji oznaczało oddanie czci umierającemu człowiekowi.

Przypomniłam sobie też, że małej Mince przemarzły nogi z powodu silnego mrozu, jaki wówczas panował, a jej krzyki bólu

wydobywające się z kryjówki pod stosem snopów w stodole usłyszeli Niemcy i od razu ją zastrzelili. Tak, zima 1942–1943 była bardzo ostra. Reszta rodziny ukrywała się w dole wykopanym na podwórku sąsiadów. Pewnego dnia dzieci bawiły się w chowanego i któreś z nich do niego wpadło. Z wewnątrz rozległy się przerażone głosy i w ten sposób kryjówka została odkryta.

Przebieg wydarzeń nie był dla mnie zupełnie jasny. Odniosłam wrażenie, że także Staszek nie wiedział, co dokładnie tam zaszło. On jednak z dużym przekonaniem opowiadał dalej:

– Po wojnie Pepka przyjechała do Lubaczowa, ale coś na krótko. Zobaczyła, że nie ma co robić w miasteczku i wyjechała do Ameryki. A Romek pozostał w domu dziadka. Z Ameryki przysyłała mu paczki z ubraniami i zabawkami. Po jakimś czasie dziadek Sikorski zmarł. Romek wyjechał do Ameryki i tam w młodym wieku zmarł na atak serca.

Próbowałam powiedzieć, że matka nie była w Ameryce, tylko w Izraelu, lecz on nie słuchał i twierdził, że dzięki paczkom od Pepki Romek zawsze był bardzo ładnie ubrany.

Zrobiło się ciemno i w obawie przed pojawieniem się komarów Staszek postanowił wejść do domu. Zaproponowaliśmy mu, by spotkać się jutro, lecz on oznajmił, że wyjeżdża z miasta na trzy dni.

Opuściliśmy w milczeniu podwórze i wsiedliśmy do samochodu. W drodze powrotnej dziękuję naszym przewodnikom za to, że towarzyszyli nam w tak ważnym dla mnie spotkaniu. Byłam zaskoczona ich reakcją. Stwierdzili mianowicie, że wszystko ich bardzo ciekawi, że jest to dla nich rozdział miejscowej historii i wiedzą teraz, kto zarządzał młynem. Ponadto Krzysztof zaproponował, by jego ojciec towarzyszył nam nazajutrz w zwiedzaniu miasteczka i okolic.

Wróciliśmy do hotelu pełni wrażeń. Trzeba było iść spać, lecz nie mogłam zasnąć. Wydarzenia pierwszego dnia w Lubaczowie

wydawały się wzięte z jakiegoś fantastycznego filmu. Kręciłam się w łóżku i rozmyślałam. Dręczyła mnie potrzeba podzielenia się nieoczekiwanym przebiegiem wydarzeń z rodziną.

Nie mogę się powstrzymać i późno w nocy telefonuję do domu, by donieść dzieciom, że byłam na brzegu rzeki, koło młyna.

Wyjazd do Bełzca

Poranek. Obudziłam się z uczuciem zamętu w głowie, konsternacji, zadumy, ale może też z jakąś radością. Szczytem odwiedzin w miasteczku było dla mnie usłyszenie imion każdego z członków rodziny, co stanowiło potwierdzenie ich istnienia.

Na śniadanie w hotelu podano kilka rodzajów kielbasy, lecz ja zadowolłam się kromką chleba z masłem i dżemem. Poprosiłam też o kawę. Pijąc powoli, łyk po łyku, odtwarzałam w pamięci wydarzenia poprzedniego dnia, najdłuższego w moim życiu i przepełnionego niespodziankami. Zdaję sobie sprawę, że znacznie przekroczyłam ramy zaplanowanego wyjazdu.

Z moich rozmyślań nad nową sytuacją wyrwał mnie urzędnik, który oznajmił, że ojciec Krzysztofa zgadza się, by nas oprowadzić po miasteczku i po okolicy. W związku z tą wiadomością przedłużyliśmy pobyt w Lubaczowie o jeszcze jeden dzień.

Czekaliśmy na niego przed hotelem. Po upływie kilku minut zobaczyliśmy mały samochód zbliżający się do parkingu. Wyszedł z niego człowiek o miłym wyglądzie i rzucił spojrzenie w kierunku hotelu. Nikogo oprócz nas tam nie było, więc nie miał problemu z rozpoznaniem i od razu podszedł. Zamieniliśmy kilka słów i wiedząc, że zna on cel naszej podróży, poprosiłam, abyśmy rozpoczęły drogę od pobytu na brzegu rzeki.

Ojciec Krzysztofa przystał na moją prośbę i zaproponował, żeby później udać się do obozu zagłady, który znajduje się w pobliżu.

Stałam nad rzeką, długo przyglądałam się, jak płynie w nieznaną. Jej przezroczysta woda oraz lekki powiew wiatru stanowiły miłe powitanie na dzień dobry. Nie można już oddzielić przeszłości od teraźniejszości, działają one na zasadzie naczyń połączonych.

Zdjęcia rzeki o zachodzie słońca już mam. Teraz powracam do fotografowania o wschodzie. Tym razem potrzebny jest inny kąt ujęcia, inne światło.

Kiedy tak szukam odpowiedniego miejsca do zrobienia zdjęcia, z domu obok wychodzi Zygmunt i przyłącza się do nas na przechadzkę wzdłuż rzeki. Po upływie pół godziny rozstajemy się z nim po przyjacielsku, zdając sobie sprawę, że już tu nie wrócimy. Jutro z samego rana opuszczamy Lubaczów i wracamy do Warszawy.

Teraz ruszamy w drogę do obozu w Bełżcu, podobno jakaś godzina jazdy stąd. Po kwadransie nasz kierowca wskazuje na rozległy teren po prawej stronie szosy. Zarośnięty jest dziką roślinnością i młodymi drzewami. Na pozór niczym nie różni się od pól, które mijaliśmy poprzednio.

– Nic tu teraz nie widać – opowiada ojciec Krzysztofa – ale do tego miejsca, w odległości kilku kilometrów od Lubaczowa, hitlerowcy prowadzili lubaczowskich Żydów i tych z okolicznych miejscowości. Przed tym, jak wyruszyli w ostatnią drogę, oczywiście nie wiedząc o tym, zmuszano ich, by ładowali na wozy ludzi, często swoją rodzinę lub przyjaciół. I w ten sposób, ciągnąc wozy, szli otoczeni strażą uzbrojonych w karabiny żołnierzy, aby nie mogli uciec. Wszyscy, którzy przebyli tę ciężką drogę, zostali w końcu zamordowani tu, na tym zarośniętym polu.

Oto mam przed sobą dolinę śmierci, bratnią mogiłę Żydów Lubaczowa i jego okolic. Spokój, jaki tam panował, lekki szum gałęzi drzew poruszanych wiatrem nie sugerują, że tu – pod powierzchnią ziemi przepojonej krwią, której nie widać, wśród krzyków, które umilkły i przy dźwiękach strzałów, których już nie słyszać – znajduje się pole zamordowanych.

Czytałam i słyszałam o dolinie śmierci, ale co innego jest zobaczyć miejsce na własne oczy. Właściwie nie widać tu nic i chyba to jest najbardziej wstrząsające. Kawałek jak gdyby niewinnej ziemi, który wydaje płody, nie pamiętając o znajdującej się w głębi bratniej mogile.

W samochodzie zapanowała cisza. Myślę o tym, co powiedział nasz przewodnik i dręczy mnie pytanie, czy znalazł się tam ktoś z mojej rodziny.

Dzień wyjątkowo gorący, samochód mały, bez klimatyzacji. Występuje mi pot na czole, lecz nie mamy ze sobą nawet jednej butelki wody.

Droga się ciągnie, wydaje się bezkresna. Przejeżdżamy koło małych wiosek. W każdej wznosi się wieża kościelna i od czasu do czasu rozlegają się dźwięki dzwonów. Wydaje mi się, że jechaliśmy ponad godzinę, by dotrzeć do Bełżca, który leży na linii kolejowej między Lwowem a Lublinem. Mijamy małą stację.

– Tu, wokół stacji – informuje nas kierowca – mieszkali gestapowcy zarządzający pobliskim obozem zagłady. Na stacji przedstawiano na boczne tory pociąg przybywający ze wschodu, stąd jechał jeszcze kilometr i docierał prosto do obozu śmierci.

My także przejechaliśmy jeszcze jeden kilometr, po czym przybyliśmy na teren wielkiego obiektu upamiętniającego zagładę, położonego na szczycie wzgórza.

Parking był pusty.

Po upływie kilku minut znaleźliśmy się naprzeciw pomnika. Wryto na nim – po hebrajsku, po angielsku i po polsku – fragment wiersza żydowskiego poety Dana Pagisa pt. *Napisane ołówkiem w zaplombowanym wagonie towarowym*:

Tu w tym transporcie
ja, Ewa,
z synem moim Ablem.
Jeśli zobaczycie mojego starszego
– syna człowieczego, Kaina,
to mu powiedzcie, że ja

Pomnik zbudowany na ruinach obozu został odsłonięty w 2004 roku. Po tym jak w latach dziewięćdziesiątych po upadku Związku Radzieckiego rząd polski zajął się badaniem terenu i na podstawie przeprowadzonych prac odkryto między innymi tory kolejowe, którymi przywożeni byli skazani na śmierć.

Teraz nikogo oprócz nas tam nie było. Pustka ta przydawała powagi miejscu i jego ofiarom, a śmiertelna cisza wzmacniała atmosferę lęku, przywołując w pamięci tragiczne wydarzenia z przeszłości.

Cały obszar pokryty czarnymi, błyszczącymi kamieniami bazaltu, wnoszącymi uczucie mocy i budzącymi jakieś wewnętrzne napięcie. Kamienie wyglądają jak żarzące się na spalonej ziemi węgle, które przy chodzeniu nadal palą w stopy.

Między dwiema częściami rozpalonej ziemi prowadzi ścieżka stanowiąca jak gdyby przejście w grocie czasu. Dochodząc do końca ścieżki, docieramy do dużych kamiennych tablic, na których widnieją nazwy miejscowości i gmin w Galicji, których mieszkańcy zostali tutaj zamordowani. Zatrzymałam się naprzeciw dwóch tablic. Na jednej z nich wryta jest nazwa Lubaczów, a na drugiej Rawa Ruska. Poczułam silne bicie serca.

Obóz w Bełżcu powstał w ramach akcji Reinharda Heydricha rozpoczętej w marcu 1942 roku, podobnie jak obozy w Sobiborze i Treblince we wschodniej części kraju, na zalesionych terenach o niewielkim zaludnieniu, co utrudniało ucieczkę.

Tutaj przybywały transporty Żydów zarówno ze wschodniej, jak i zachodniej Galicji, w przepełnionych wagonach dla bydła. W każdym z nich znajdował się uzbrojony żołnierz. Podróż trwała kilka dni w ciasnocie i nieludzkich warunkach. Część z wiezionych umierała przed dotarciem na miejsce przeznaczenia.

W obozie transporty odbierali ludzie z SS. Czynili to z wielkim okrucieństwem, bili i przeklinali. Kazali ludziom wyskakiwać z wagonów przez drzwi znajdujące się metr ponad ziemią. Wszyscy ci, którzy nie byli w stanie tego wykonać – chorzy, starcy i małe dzieci – byli ładowani na nosze i od razu transportowani na teren wielkich dołów. Tam strzelano do nich i wrzucano do środka. Pozostałym oznajmiono, że najpierw muszą się umyć, a potem zostaną wysłani do pracy. Brzmi to zaskakująco, ale ich nastrój ulegał poprawie. Wierzyli, że znaleźli się w obozie pracy i odbywają drogę do pracy, a nie na śmierć.

Rzeczywistość wyglądała inaczej. Jeszcze tego samego lub następnego dnia, po nocy spędzonej w wagonie, wszyscy trafili do komór gazowych, wierząc, że idą myć się pod prysznicami.

Z każdego transportu wybierano pojedynczych mężczyzn, których zatrudniano jako zawodowych robotników do nieodzownych prac w obozie. Co jakiś czas byli oni poddawani standartowym badaniom przeprowadzanym przez miejscowego lekarza, który miał rozpoznawać tych, którzy opadli z sił i tego względu nie nadają się już do wykonywania przydzielonych im funkcji. Stanowiło to właściwie wydanie na nich wyroku.

Był pewien Żyd, któremu udało się uciec z takiej grupy wybranych do pracy. Nazywał się Rudolf Reder. Po czteromiesięcznym

pobycie w obozie został on wysłany pod strażą SS do wykonania jakiegoś zadania we Lwowie, mieście jego pochodzenia. Po spełnieniu polecenia więzień wszedł do samochodu i tam zastał śpiącego na siedzeniu esesmana. I tak mu się poszczęściło.

Ponad pół miliona ludzi zostało zamordowanych w Bełżcu. Większość z nich to Żydzi, było też kilka tysięcy Cyganów. W grudniu 1942 roku zaprzestano nagle akcji zagłady. Podobnie jak w innych obozach, tu także Niemcy próbowali wszystko zburzyć, aby zlikwidować ślady i dowody popełnionych zbrodni. Z tego powodu ciała zabitych, którzy zostali pochowani w bratniej mogile, wyjęto i spalono, a ziemię zaorano i posadzono na niej drzewa. Jedynie mały, okrążony płotem kawałek niezaoranej ziemi z dziką roślinnością świadczy o tym, że kiedyś istniał tu obóz.

W drodze powrotnej udaliśmy się do pobliskiego muzeum. Przy wejściu siedział pracownik, na stole leżały informatory zawierające różne teksty i zdjęcia. Wyglądał na dosyć znużonego. Na nasze pytanie, dlaczego w muzeum nie ma żadnych odwiedzających, wyraził przypuszczenie, że odległe położenie na granicy z Ukrainą zniechęca ludzi do przyjazdu.

Południe. Wyruszamy w drogę do Lubaczowa.

Wkrótce po opuszczeniu Bełżca, skręcamy nieco z głównej szosy i nasz przewodnik zatrzymuje się koło lasku. Wsiadamy z samochodu i prowadzi nas do grobu cadyka, który niewątpliwie świadczy o istnieniu żydostwa w okolicy.

Przybycie cadyka do miasteczka sprawiało wielką radość Żydom, panowała w tym dniu niezwykle podniosła atmosfera. Wszyscy zbierali się wokół niego, po czym na rękach niesli go do synagogi. Cadyk był podobno znany z tego, że czyni cuda. W całym miasteczku czuło się radosny nastrój wśród Żydów.

I wówczas ojciec Krzysztofa wskazuje ścieżkę z kamieni prowadzącą do pobliskiego kościoła. Wyjaśnia, iż zbudowano ją z kamieni pochodzących z nagrobka cadyka, którego część została zburzona.

Wizyta w Muzeum Kresów

Wróciliśmy do Lubaczowa i udaliśmy się do budynku poczty zbudowanego na ruinach Wielkiej Synagogi, która spłonęła w nocy 12 września 1939 roku wraz z wtargnięciem do miasteczka hitlerowców. Zastanawialiśmy się, gdzie może być jakiś pamiątkowy kopiec, świadczący o historii tego miejsca, ale nie znaleźliśmy go.

Na zakończenie podróży śladami miejscowego żydostwa udaliśmy się do domu jednego ze starych mieszkańców miasteczka, pana Eugeniusza Szajowskiego. Żył on tu zarówno przed powstaniem getta, jak i po jego likwidacji. Zaprosił nas do małej kuchenki, w której prawdopodobnie nie uczyniono żadnych zmian w ciągu dziesięcioleci.

Ucieszył się, słysząc, że jesteśmy Żydami. Przyglądał nam się uważnie, starając się powrócić myślami w przeszłość. Po chwili zaczął opowiadać:

– Pomimo że minęło już wiele lat, pamiętam dużo nazwisk Żydów, przecież żyliśmy razem. Pamiętam pierwsze skrzypce, które otrzymałem od Blumberga. Karnisz do franki, którą mam do dzisiaj, zamówiliśmy u Hertzberga. Rower kupiłem u Zimermana, a pan Flajser szył mi garnitur do ślubu. U Leibowicza kupowaliśmy produkty żywnościowe, a on zapisywał rachunki w zeszycie, bo nie mieliśmy pieniędzy, żeby zapłacić.

Przypomniałam sobie nasz sklep spożywczy w Izraelu, w którym my również kupowaliśmy na kredyt i wszystko ręcznie zapisywano w notesie, a na początku każdego miesiąca spłacaliśmy dług.

– Pamiętam wszystkie twarze... – kontynuował Eugeniusz po chwili zadumy. – Tu, w tej kuchni siedziałem kiedyś ze swoją rodziną, kiedy żołnierz niemiecki rozpoznał kobietę Żydówkę z córką, którym udało się uciec podczas likwidacji getta i ukrywały się tu, za płotem podwórka przy naszym domu. Żołnierz wystrzelił serię pocisków w ich kierunku i zabił je na miejscu, na oczach przechodniów. Jedna z kul przebiła ścianę kuchni, w której siedzieliśmy i przeleciała nad głową mojej mamy.

Gospodarz opisywał przerażenie i obawę, że ich zabiorą. Jak gdyby to się stało wczoraj. Wyszedł na chwilę do sąsiedniego pokoju, po czym wrócił z teczką w ręku. Na jego twarzy pojawił się smutek. Podszedł do mnie i powiedział cicho:

– Gdyby Żydzi wiedzieli, jak bardzo Polacy starali się im pomóc, na pewno by nas nie osądzali za antysemityzm. Bardzo współczuliśmy Żydom, ale prawda jest taka, że często nie mogliśmy wam pomóc uratować się przed strasznym losem.

W tym momencie przerwał i z dumą wyciągnął z teczki odpis świadectwa Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, nadanego w 1993 roku jego siostrze oraz szwagrowi Marianowi i Rozalii Kocielskim przez instytut Yad Vashem za ofiarowanie schronienia Szlomowi Szwarcowi – młodemu Żydowi, który uciekł z getta. Ukrywał się u nich na podwórku. Znajdował się tam mały drewniany barak, służący im do przechowywania narzędzi do pracy, w którym wstawiono specjalną ściankę z drewna, aby Szlomo mógł się ukryć i tam przebywał przez wiele miesięcy, dużo dłużej niż kilka dni, jak planował.

Eugeniusz dodał, że on sam, jako młody wówczas mężczyzna, również czuł wielką chęć udzielania pomocy. Młodzi inaczej niż

dorośli odnoszą się do sprawy niebezpieczeństwa. Widział w tym rodzaj wyzwania czy przygody.

– Dlatego – ciągnął dalej – kiedy poproszono mnie, abym poszedł do getta i zaniósł coś Szlomowi z innego, już pustego mieszkania w getcie, należącego do kogoś, kto został skazany na karę śmierci, od razu zgodziłem się to zrobić.

Z perspektywy czasu, zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie wziął na siebie, na swoją żonę i na pięcioletniego synka.

Eugeniusz podkreślił, że w Lubaczowie było wielu Polaków pomagających Żydom w czasie niemieckiej okupacji na krótki czas, ze względu na groźbę zamordowania całej rodziny. Zależało mu bardzo, aby mnie przekonać, że Polacy nie byli źli, jak myślą Żydzi. Powiedziałam mu, że wierzę jego słowom i rozumiem sytuację.

Później dowiedziałam się, że na początku września 1942 roku hitlerowcy zaczęli gromadzić Żydów w getcie w centrum miasta, w mieszkaniach, które na ich rozkaz opuścili poprzedni mieszkańcy. Getto zostało otoczone drewnianym płotem i zasiekami z drutu kolczastego, zgrupowano w nim tysiące Żydów z Lubaczowa i okolic. W ciągu dnia chodzili do pracy pod niemiecką strażą, gdyż na Polakach okupanci nie polegali. Praca polegała między innymi na ładowaniu i ciągnięciu wozów zamiast koni, a strażnicy poganiali, bijąc pałkami. Z czasem Żydzi zaczęli cierpieć z powodu głodu i chorób. Z rozpacz. Co nocy ktoś próbował przedostać się pod murem na zewnątrz, żeby zdobyć trochę jedzenia dla siebie i dla dzieci. Ci, których złapano, byli zabijani na miejscu, na ulicach walało się wiele trupów.

Wśród mieszkańców miasta byli też tacy, którzy upatrzyli sobie pozostawiony przez idących do getta Żydów dobytek, a później

włamywali się do ich domów i rabowali. Byli tacy, którzy zdradzali Niemcom, gdzie Żydzi się ukrywali.

Przypomniałam sobie, jak matka wspomniała kiedyś, że jej rodzinę spotkała zdrada ze strony sąsiadów, ale nie mówiła o tym więcej. Czy wiedziała, kto na nią doniósł? Czy skradziono jej dobytek? Tego nie powiedziała.

Likwidacja getta nastąpiła podczas akcji masowego rozstrzelania na cmentarzu żydowskim, która rozpoczęła się w dniach 6–8 stycznia 1943 roku i trwała do 15 stycznia. Wielu z tych, którzy próbowali uciec, zostało rozstrzelanych na ulicach miasta. Żydzi, którym udało się pozostać przy życiu, zbierali później ciała zabitych, ładowali je na wozy i ciągnęli do bratniej mogiły na przedmieściach Dachnowa.

Po spotkaniu z panem Eugeniuszem udaliśmy się do hotelu. W samochodzie panowała cisza. Każdy pogrążony był w swoich myślach.

Niespodziewanie zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu widniał miejscowy numer. Zdziwiło mnie, że dzwoni do mnie ktoś z Polski. Słyszę po drugiej stronie głosy, ale nie kojarzę, w jakim języku.

– Halo, halo – odpowiadam i po chwili rozpoznaję, że ktoś mówi po polsku. Uznałam, iż jest to pomyłka i przerwałam połączenie.

Po kilku minutach ponownie rozlega się dzwonek i znowu widnieje nieznany, miejscowy numer. Nadal nie rozumiem słów, ale na pytanie, kto mówi, ze zdziwieniem słyszę w odpowiedzi imię naszego znajomego Zygmunta. Staram się skupić na jego słowach. Zygmunt donosi mi, że rano łowił w rzece, którą przyjechałam zobaczyć i zaprasza nas na kolację, na grillowane ryby.

Nie mogłam wydobyć z siebie słowa. Byłam zupełnie zaskoczona i trochę zażenowana sytuacją, ale przyjąłam zaproszenie. Znów ogarnęło mnie mieszane uczucie radości i smutku. Nad brzegiem rzeki istnieje życie.

Przyjechałam do miasteczka pełna obaw wobec oczekującej mnie rzeczywistości, lecz ujrzałam inną. Czy to wszystko, co usłyszałam, było prawdziwe i szczere? Czułam, że potrzebuję czasu, by przemyśleć i zrozumieć ostatnie wydarzenia.

Poprosiłam ojca Krzysztofa o zmianę kierunku. Zdawało mi się, że znajduję się kulminacyjnym punkcie filmu, którego scenariusza nie potrafiłam przewidzieć.

Kiedy przybliżyliśmy się do domu Zygmunta, od razu uderzył nas zapach ryb z rusztu.

Siedzieliśmy pod daszkiem, rozmowa toczyła się w przyjacielskiej atmosferze. Ryby oraz wódka rozlewana do kieliszków przez cały wieczór dobrze smakowały. Tylko ja byłam nieco oderwana od rzeczywistości, w mojej wyobraźni krążyły obrazy z okrutnej przeszłości.

Przy pożegnaniu spotkała mnie wzruszająca niespodzianka. Teresa, żona Zygmunta, zadbała, żeby koniec spotkania był dobry, jak to się dzieje w bajkach dla dzieci – podała mi słoiczek marynowanych grzybów dla mojej mamy, żeby przypomniała sobie smaki z Polski. Podziękowałam jej serdecznie, lecz nie miałam odwagi powiedzieć, iż matka, niestety, już ich nie skosztuje.

Przed rozstaniem Teresa zaproponowała, że jutro rano wpadnie z nami do miejscowego muzeum i zaprowadzi nas do kierownika.

Mieliśmy niezapomniany wieczór i czekał nas jeszcze jeden dzień w Lubaczowie. Ostatni dzień, potem jedziemy z powrotem do Warszawy.

Z samego rana zjawiliśmy się razem z Teresą w Muzeum Kresów. Ściany pomalowane na zielono, sala z ciężkimi drewnianymi

meblami. Panował lekki mrok, tylko bladawy promień słońca przenikał przez okno.

Spotkaliśmy się z kierownikiem muzeum Stanisławem Makarą oraz historykiem Zenonem Swatkiem. Po tym, jak zapoznałam ich z celem mojej wizyty, potoczyła się rozmowa na temat historii Lubaczowa, a szczególnie Żydów. Dowiedziałam się, że pierwsi nieliczni Żydzi przybyli do miasteczka w końcu XV wieku. Nie istnieją dokumenty określające ich prawa i zakazy z tamtego okresu. W XVI wieku liczba żydowskich osadników nieco się zwiększyła, przyjeżdżali na ogół z Hiszpanii i Niemiec. Wtedy powstał oddzielny dom modlitwy dla Żydów z Lubaczowa, do którego przyłączyli się także mieszkańcy pobliskich Oleszyc.

Tamtejsze społeczeństwo żydowskie – podobnie jak w innych gminach we wschodniej Galicji – egzystowało między dwiema społecznościami – Ukraińcami, którzy stanowili większość na wsi, oraz Polakami będącymi mniejszością. Było również trochę Białorusinów. Wszystkie społeczności miały swoje domy modlitwy, Polacy – kościół katolicki, Ukraińcy – cerkiew greckokatolicką, a Żydzi – synagogi.

W momencie wybuchu wojny miasteczko liczyło około siedmiu tysięcy mieszkańców, z czego około jedną trzecią stanowili Żydzi. Tak jak w innych miejscowościach, w Lubaczowie znajdowały się religijne i oświatowe instytucje żydowskie – mykwa i cheder*.

W miasteczku istniały obok siebie trzy różne kultury, które zgodnie współżyły ze sobą aż do wkroczenia Niemców. Można było też zaobserwować pewną zależność między nimi. Polakowi potrzebny był Żyd do handlu, Żyd potrzebował Polaka do spraw administracyjnych, a Ukraińcy mieszkający na kresach miastecz-

* Cheder – klasa dla małych dzieci, które nie zostały jeszcze włączone do ogólnego systemu nauczania.

ka przywozili wozami zaprzężonymi w konie produkty rolne do sprzedaży. Pod koniec targu wszyscy razem pili. Łączyła ich pewna niepisana umowa o wspólnocie.

Większość Żydów mieszkała na rynku i głównie tam toczyło się ich życie. Rynek... Wiedziałam już, że jest to centralne miejsce w mieście, a kiedyś było również w miasteczku. We frontowych częściach domów należących na ogół do Żydów znajdowały się sklepy. W poniedziałki na głównym placu odbywał się targ, na którym robili zakupy mieszkańcy, a Ukraińcy zaopatrywali się w potrzebne im towary w sklepach.

Przypomniałam sobie, że matka wspominała kiedyś, iż w tamtym okresie ani ona, ani jej rodzina nie odczuwali na co dzień antysemityzmu. Czasami mogło się zdarzyć w szkole, że nauczycielka powiedziała do kogoś „ty Żydzie”, ale jednocześnie zdarzało się, że kiedy w soboty i w święta Żydzi, zamiast do szkoły, szli modlić się do synagogi, dzieci mieszkające w sąsiedztwie przynosiły im przerobione w klasie materiały oraz zadane lekcje.

W muzeum nie zachowało się zbyt wiele zdjęć miasteczka z okresu przedwojennego, zwłaszcza jego żydowskich mieszkańców. Nie pozostały też żadne spisy miejscowych Żydów. Szczególnie zainteresowała mnie fotografia pochodząca z archiwum Pentagonu. Zdjęcie wykonane przez Luftwaffe w 1944 roku przedstawia pola uprawne przed Dachnowem, około trzech-czterech kilometrów na północ od Lubaczowa. Kustosz Zenon Swatek przyniósł ją nam pokazać. Widać rów przeciwczołgowy oraz wiele wykopów pod fundamenty bunkrów. W dwóch takich potężnych wykopach Niemcy zasypali pomordowanych w styczniu 1943 roku Żydów z lubaczowskiego getta.

Badania mające na celu odnalezienie dokładnego miejsca, gdzie znajduje się grób zamordowanych, przeprowadzone zostały przez grupę specjalistów pod kierownictwem rabina Etgara Glucka.

Specjaliści posługiwali się w nich między innymi zdjęciem wykonanym przez Luftwaffe. Cenne okazały się relacje świadków, do których dotarła młodzież gimnazjalna z ich nauczycielem i zarazem kustoszem Zenonem Swatkiem.

Rozmowa w muzeum toczyła się także o tym, że hitlerowcy po raz pierwszy wkroczyli do Lubaczowa 12 września 1939 roku, po czym wycofali się w wyniku zawarcia paktu Ribbentrop-Mołotow. Wówczas, 26 września, do miasteczka wkroczyło wojsko sowieckie. Zostali oni życzliwie przyjęci przez Żydów, wśród których znaleźli się nawet tacy, którzy powiewali na ich cześć czerwonymi flagami. 22 czerwca 1941 roku Niemcy złamali pakt i w ramach operacji Barbarossa ponownie wkroczyli do Lubaczowa.

Stanisław Makara wyszukał dla nas różne rysunki, między innymi młyna, a także synagogi, która spaliła się podczas pierwszej inwazji hitlerowców i dopiero w 1947 roku zostały wywiezione jej ruiny. Na obu rysunkach widniał podpis malarza Mariana Kopfa.

– Czy on jeszcze żyje? – spytałam.

– Tak, mieszka w Krakowie. Pojechał tam na studia i został.

Jego rysunki, zawierające motywy żydowskie, stanowiły jeden z nielicznych dowodów na istnienie żydostwa w miasteczku. Wyraziłam żal z powodu braku zachowania pamięci o Żydach i spytałam, czy mogę spotkać się z malarzem. W odpowiedzi usłyszałam, że muzeum zamierza upamiętnić istnienie wielkiej synagogi, umieszczając oświetlony sztyl nad budynkiem poczty, który został zbudowany na jej miejscu. Przede wszystkim zaś, w przyszłym roku planowane jest odsłonięcie pomnika pamięci miejscowych Żydów i będę oczywiście zaproszona na tę uroczystość.

Jeżeli chodzi o możliwość spotkania się z malarzem, otrzymałam odpowiedź negatywną, ponieważ ze względu na podeszły wiek nie jest gotów spotykać się z ludźmi. Zaproponowałam, że nawiążę z nim kontakt za pośrednictwem muzeum, lecz odmówiono mi.

W miasteczku natomiast – podczas przypadkowych rozmów z mieszkańcami – stykałam się z pozytywnym ustosunkowaniem się do sprawy wspólnego życia z Żydami. Kiedy powiedziałam urzędnicze w Urzędzie Miejskim, że przyjechałam z Izraela, uśmiechnęła się do mnie:

– Mój ojciec uczył się krawiectwa u Żyda, który nazywał się Rabinowicz. Był on naszym sąsiadem i wspaniale szył.

W muzeum mówiliśmy jeszcze o tym, że po wybuchu wojny Żydzi nie mieli właściwie możliwości wyjazdu do innych krajów, ani do Ziemi Izraela. Sprawa opuszczenia Polski stała się dla nich nierealna. Zdawali sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa i bardzo obawiali się o swoją przyszłość w Polsce. Stracili jednak nadzieję na wydostanie się.

Przed rozstaniem kierownik muzeum ponownie obiecał, że przyśle mi zaproszenie na uroczystość odsłonięcia pomnika na Plebańskim Polu w maju 2008.

Przypomniałam sobie dolinę śmierci na skraju miejscowości Dachnów, którą mijaliśmy w drodze do Bełżca i zapytałam, czy właśnie tam zostanie zbudowany pomnik. Poinformowano mnie, że tak i że postanowienie zapadło po tym, jak grupa specjalistów pod kierownictwem Zenona Swatka i z pomocą Muzeum Kresów w Lubaczowie ukończyła badania mające na celu odnalezienie dokładnego miejsca, gdzie znajduje się grób zamordowanych. W poszukiwaniach specjaliści posługiwali się między innymi zdjęciem wykonanym przez Luftwaffe.

Opuściłam muzeum z dodatkową porcją wrażeń, a także z nowym zadaniem – odnaleźć malarza Mariana Kopfa.

Po wyjściu Teresa zaproponowała, aby odwiedzić jeszcze innych starych mieszkańców miasteczka, którzy mogą opowiedzieć o minionych czasach. Chętnie skorzystałam z jej propozycji, prosiłam ją tylko, żeby sprawdziła, o której godzinie odjeżdża

ostatni autobus do Warszawy, ponieważ następnego dnia rano odlatujemy z powrotem do Izraela.

Pierwszym, którego odwiedziliśmy, był Roman Zukowicz. Udał się do jego sklepu na rynku, który według słów Teresy należał w przeszłości do Żydów, a obecnie prowadzi go córka Romana. Nie zastaliśmy właściciela, więc zostawiliśmy córce wiadomość, że będziemy na niego czekać w południe w hotelu Feliks.

Następnie poszliśmy do fabryki, by porozmawiać z kierownikiem, Stanisławem Młodzińskim. Spotkaliśmy go w wejściu. Był to energiczny człowiek w podeszłym wieku, miał na sobie robocze ubranie. Wysłuchał wyjaśnień Teresy na temat celu naszej wizyty, po czym poprosił, żebyśmy mu dali trochę czasu na zmianę ubrania.

Po kilku minutach pojawił się ubrany elegancko i zaofiarował się opowiedzieć wszystko, co mu wiadomo. Jego gesty świadczyły o tym, że jest przejęty otrzymanym zadaniem. Pomimo że zjawiliśmy się bez żadnego uprzedzenia, w środku dnia jego pracy, wczuł się w sytuację i zaczął odtwarzać wydarzenia, jak gdyby miały one miejsce wczoraj.

Władysław opowiedział o swoim ojcu, który był nauczycielem, w związku z czym cała rodzina mieszkała na rynku, w budynku szkoły znajdującym się koło synagogi. Później przekształcono go w niemiecki sztab wojskowy.

Władysław miał wielu kolegów wśród Żydów, czasami przyłączał się do nich w sobotę i razem szli do synagogi. Nieraz przynosił koledze zadane lekcje do domu, a jego ojciec częstował go cukierkami.

Potem opowiedział nam z przejęciem, że widywał przez okno swojego mieszkania, jak jedni Żydzi zmuszani są ładować na wozy innych. Pomimo zakazu próbował podać szklankę wody ludziom stłoczonym na wozie.

Jego rodzice mieli kolegów Żydów, ale ze względu na strach o los swojej rodziny nie udzielali im długofalowej pomocy. W głosie Władysława wyczuwało się pewną nutę przeprosin.

Tragiczne wydarzenie, które szczególnie zapamiętał, miało miejsce w jakąś niedzielę. Jego rodzina jak zwykle zebrała się do obiadu, tylko ojciec wrócił później z kościoła. Spytany o przyczynę spóźnienia powiedział, że w drodze powrotnej widział, jak hitlerowcy złapali jego kolegę Żyda i prowadzili go po jezdni z rękami założonymi za głowę. Z tyłu siedł niemiecki żołnierz z wycelowanym w niego karabinem. Po kilku minutach Niemiec strzelił i ojciec widział, jak kolega umiera.

Władysław wspomniał także Żyda, który był dzierżawcą młyna w miasteczku. Nazywał się Friedman. Podobno został on wywieziony razem z kilkudziesięcioma innymi Żydami do doliny śmierci, kilka kilometrów za miasteczkiem i tam oddano do nich serię strzałów. Potem zostawiono zabitych na miejscu, aż przyjdą ich pochować.

Ktoś z miasteczka poszedł na miejsce mordu, żeby zabrać z ciał martwych rzeczy, które przedstawiały jakąś wartość: złote zęby, ubrania, biżuterię. I wtedy, kiedy chciał zdjąć z Friedmana jego buty, rozległ się krzyk rannego, że będzie ich jeszcze potrzebował, jak wróci do domu. Przestraszony rabuś podobno pobiegł do miasteczka i opowiedział, że na polu jest jeszcze jeden żywy Żyd. Dopiero wracając autobusem do Warszawy, zdałam sobie sprawę, że mowa była o ojcu mojej mamy. Byłam tak przejęta samym wydarzeniem, że nie zwróciłam uwagi na wymienione nazwisko.

Powróciliśmy do hotelu w nadziei, że odwiedzi nas właściciel sklepu z rynku. Około dziewięćdziesięcioletni mężczyzna, czekał już na nas w hotelowej restauracji. Teresa ponownie przedstawiła nas w kilku słowach, a on chętnie zaczął opowiadać o lubaczowskich Żydach przed wybuchem wojny:

– Uczyliśmy się w tych samych klasach. Tylko na lekcje religii dzieliliśmy się na grupy. Polacy szli do kościoła, Żydzi do synagogi, a Ukraińcy do cerkwi.

Jego słowa potwierdzały to, co matka kiedyś wspomniała – wszyscy uczniowie mówili po polsku i kolegowali się.

Kiedy spytałam go, czy mówi mu coś nazwisko Friedman, uśmiechnął się i powiedział, że nie znał osobiście Friedmana, gdyż był on dzierżawcą młyna, należał do wyższej klasy społecznej i mieszkał poza miasteczkiem, na brzegu rzeki koło młyna.

– Rodzina zamożna i bardzo poważana – pokiwał głową.

Potem ponownie uśmiechnął się i dodał, że wśród mieszkańców krążyła anegdota, że kiedy w miasteczku jest przerwa w dostawie prądu, to widocznie Friedman zajęty jest amorami z Friedmanową. Ja też się uśmiechnęłam.

Tutaj, niestety, dobiegła końca nasza niezwykła podróż w przeszłość.

Rozstaliśmy się z Teresą, z którą nawiązaliśmy przyjacielskie stosunki i obiecaliśmy sobie pozostać w kontakcie. Na pożegnanie powiedziała ze wzruszeniem, iż dzięki temu, że spotkaliśmy się i opowiedziałam o historii miejsca, na którym stoi jej mały dom, nabrał on dla niej nowego znaczenia. Poza ścianami i ziemią wyczuwa w nim teraz dusze żyjących tam kiedyś ludzi.

Spotkań w miasteczku było wiele, czas minął szybko. Podjęliśmy decyzję, że wrócimy tu następnego roku na uroczystość odsłonięcia pomnika.

Udaliśmy się na centralną stację. Tym razem stał na niej autobus i czekali podróżni.

I znów odbyliśmy dziewięciogodzinną drogę, stając w różnych miejscowościach i wsiach, które sprawiały wrażenie, że czas się w nich zatrzymał.

W Izraelu

Po upływie dwóch miesięcy od powrotu z Lubaczowa otrzymałam list, a na kopercie widniał lubaczowski adres zwrotny. Ostrożnie go otworzyłam i zaskoczona ujrzałam wewnątrz zdjęcie domu mojej mamy zrobione w 1965 roku przez jego tymczasowych mieszkańców. Teresie udało się ich odnaleźć i zdobyć od nich fotografię.

Ze wzruszeniem oglądałam dom na zdjęciu, przypominał on bardzo dom znajdujący się tam obecnie. Poza tym pojawiły się myśli: „Czyżbym naprawdę zawarła nową przyjaźń?”

Rozmawiałam z Teresą przez telefon w związku z nadchodzącymi świętami Bożego Narodzenia, by złożyć życzenia jej oraz całej rodzinie. I znów mnie zaskoczyła:

– Wie pani... – powiedziała – 1 listopada obchodzimy w Polsce Święto Zmarłych. Tym razem, po raz pierwszy, zapaliłam świeczkę ku pamięci pani rodziny.

Zamilkłam. Zabrakło mi słów.

Odwiedziny w Lubaczowie wpłynęły na powstanie pewnej wąskiej szczeliny między mną i ojczystym krajem mojej mamy, przez którą ukazał mi się zatarty szlak jej życia i dzięki której mogłam także zajrzeć w życie utraconych członków rodziny. Miałam możliwość zobaczyć sprawy ukrywane przez mamę, a także nadać nieco bardziej realny obraz abstrakcyjnym dotychczas postaciom mojej

rodziny. Trzy dni, które spędziliśmy tam, przypadkowe spotkania ze starymi mieszkańcami miasteczka dodały barw ich twarzom.

Wiele się w moim życiu zmieniło. Od czasu do czasu spoglądam w małe okienko, które się przede mną niespodziewanie otworzyło i poprzez opowieści spotkanych ludzi staram się złożyć mozaikę odtwarzającą życie mojej zaginionej rodziny. Teraz nie są już jedną z zamordowanych rodzin, teraz są moją rodziną, której przeszłość została urwana, kiedy byli młodzi. Jesienią 1939 roku w życie mamy wdarła się wojna i wówczas dobiegła końca jej młodość. Jak gdyby zapadła kurtyna nad szczęśliwym okresem tam, nad brzegiem rzeki. I pozostało jej tylko poczucie winy, że opuściła rodzinę w miasteczku, że jedynie ona przeżyła wojnę.

Rozmyślając o swoim pobycie w Lubaczowie i o tym, czy otrzymam zaproszenie na uroczystość odsłonięcia pomnika, przypomniałam sobie malarza, o którym rozmawialiśmy w muzeum. Zaczęłam zastanawiać się, w jaki sposób go odnaleźć. Jedyne, co wiedziałam, to że mieszka obecnie w Krakowie.

Pewnego ranka wykonałam pierwszy krok w kierunku odnalezienia Mariana Kopfa. Zaczęłam telefonować do różnych galerii, pragnąc dowiedzieć się, gdzie wystawia swoje obrazy. Po kilku telefonach trafiłam do takiej. Odetchnęłam z ulgą. Dotarłam po nitce do kłębka. Zwracam się z prośbą, by podano mi namiary malarza.

– Kto prosi? – usłyszałam z drugiej strony linii.

– Mówię z Izraela – wzięłam oddech i kontynuowałam łamaną polszczyzną. – Widziałam jego rysunki poświęcone miasteczku, z którego pochodzi moja matka i chciałabym się z nim spotkać.

– Nie mogę podać pani kontaktu do malarza bez jego zezwolenia – odpowiedziała moja rozmówczyni. – Jesteśmy obecnie bardzo zajęci organizowaniem nowej wystawy, ale spróbuję z nim porozmawiać. Proszę przedzwonić za kilka dni.

Już po skończonej rozmowie zdałam sobie sprawę, że zapomniałam spytać, z kim rozmawiałam. Byłam jednak zadowolona z pokonania pierwszej przeszkody na drodze do nawiązania kontaktu z malarzem. Nie robiłam sobie wielkich nadziei na spotkanie, ale wiedziałam, że nie zrezygnuję z podjęcia dalszych kroków.

Życie zdawało się powrócić do codziennej rutyny, ale łapałam się na myślach o odsłonięciu pomnika w Lubaczowie i liczyłam na otrzymanie obiecanego zaproszenia.

Ponownie zadzwoniłam do galerii w Krakowie. Trafiłam na tę samą kobietę, z którą rozmawiałam poprzednio.

– Przykro mi, proszę pani, lecz ze względu na ilość pracy nie zdążyłam spytać malarza, czy mogę przekazać pani numer jego telefonu.

Zamilkłam. Zrozumiałam, że sprawa odwleka się, że będę musiała jeszcze poczekać. W tym momencie usłyszałam jednak w słuchawce:

– Proszę pani, mogę podać pani numer telefonu malarza, ale proszę mu nie mówić, że to ode mnie...

Zapiera mi dech, szybko chwytam długopis i kawałek papieru.

– Oczywiście, że mu słowa nie powiem – obiecuję radosnym głosem.

Zapisuję numer telefonu i od razu zaczynam planować dalsze kroki. Jak rozmawiać z malarzem, aby go zainteresować moją sprawą, aby nie położył słuchawki, słysząc mój polski. Tym razem nie mogę sobie pomóc gestykulacją.

Miotam się z myślami, jak mu się przedstawić, jak pokierować rozmową. Jednocześnie wykręcam numer telefonu. Czynię to bardzo powoli, robię przerwę między cyframi, aż w końcu dochodzę do ostatniej, po czym słyszę w słuchawce kobiecy głos: „Dzień dobry”. Proszę ją o rozmowę z panem Marianem Kopfm, a ona proponuje, abym zadzwoniła o 15.00.

O wyznaczonej godzinie dzwonię ponownie i wówczas odpowiada mi męski głos.

– Dzień dobry panu. Mówię z Izraela. Nazywam się Ora Regev. Moja matka pochodziła z Lubaczowa i słyszałam, że pan również jest stamtąd. Widziałam pana rysunki w muzeum w Lubaczowie. Na jednym z nich widnieje młyn, który dzierżawił mój dziadek. Na innych przedstawia pan tradycje życia miejscowych Żydów. Zrobiły one na mnie duże wrażenie i bardzo bym chciała spotkać się z panem, porozmawiać o życiu w miasteczku przed wojną...

Zanim skończyłam zdanie, malarz przerwał mi i spytał:

– Aha... pani matka jest Żydówką? – a po chwili kontynuował:
– Miałem wielu sąsiadów i kolegów Żydów. Z przyjemnością spotkam się z panią. Kiedy przyjeżdża pani do Krakowa?

Zupełna niespodzianka. Po takich przygotowaniach i obawach stykam się z niezwykle ciepłym przyjęciem. W ten sposób pokonałam pierwszą przeszkodę i obiecałam, że przyjadę jak najszybciej. Właśnie chciałam mu podziękować za rozmowę i pożegnać się, lecz przerwał mi i spytał, czy mogłabym mu przywieźć album z twórczością izraelskich malarzy.

– Oczywiście, bardzo chętnie. Czy woli pan album z malarstwem współczesnym, czy klasycznym?

– Poproszę i taki, i taki – odpowiedział po chwili zawahania.

Otwieram kalendarzyk, zapisuję adres malarza i postanawiam połączyć wizytę w Krakowie z udziałem w ceremonii odsłonięcia pomnika. Mam nadzieję, że razem odwiedzimy Lubaczów.

Odsłonięcie pomnika

Jest maj 2008 roku. Wybieramy się na uroczystość odsłonięcia pomnika na Plebańskim Polu. Tym razem jedziemy z podwójną misją – duchowego połączenia się z rodziną, a także oddania czci tym wszystkim, których głos umilkł tam w sztetlu* we wschodniej Galicji.

Obecnie mogę wymienić imię każdego z członków rodziny: Mojsze, Fejge, Minka, Loniak, Hilda. Wraz ze zbliżającym się terminem wyjazdu atmosfera w domu stawała się coraz bardziej gorączkowa.

Byłam mile zaskoczona, gdy dzieci wyraziły chęć przyłączenia się do nas. Przede wszystkim chciały one zobaczyć z bliska młyn na brzegu rzeki, który stanowił tak ważne miejsce dla mojej mamy, a więc również dla całej rodziny.

I tak całkowicie pochłonięta sprawą wyjazdu nabieram odwagi i telefonuję do Mariana Kopfa, aby umówić się z nim na spotkanie. Malarz natychmiast rozpoznaje mój głos po dziwnej wymowie i mówi, że czeka, by się ze mną spotkać. Uzgodniliśmy, że umówimy się w maju, po uroczystości odsłonięcia pomnika.

* Sztetl – prowincjonalne miasteczko na terenach dawnej Rzeczypospolitej, w którym przynajmniej jedną trzecią mieszkańców stanowili Żydzi.

Ponownie poprosił, abym zatelefonowała dzień przedtem i przyjechała do niego w godzinach południowych. Bardzo się ucieszyłam.

Razem z nami miała jechać nasza córka Maja, która po raz pierwszy zdecydowała się pozostawić swojego półrocznego synka Omriego z mężem, oraz syn Rafi, który zamierzał dołączyć do nas w Warszawie, dokąd planował dotrzeć pociągiem z Berlina. Syn Nati niestety nie mógł jechać.

Przybyliśmy we trójkę do Warszawy, a dwie godziny po nas przyjechał Rafi. Rodzinne spotkanie w sercu stolicy Polski miało wyjątkowy charakter. Po obfitym posiłku w restauracji oraz wymianie wrażeń wynajęliśmy samochód i ruszyliśmy w drogę do Lubaczowa.

Trudne do uwierzenia, czteroosobowa rodzina udaje się śladami mamy. Ciekawe, co ona by o tym pomyślała.

Zupełnie nie spodziewałam się, że w tak krótkim czasie ponownie znajdę się w Lubaczowie.

Podczas jazdy kierowaliśmy się wskazówkami GPS-u, a jednak niejednokrotnie zbaczaliśmy z właściwej drogi. W pewnym momencie pojechaliśmy szosą, która poprowadziła nas w głąb puszczy. Pięknie położone miejsce, ale musieliśmy się stamtąd wydostać. Po półgodzinnej jeździe trafiliśmy jakby do oazy na pustyni. Tam znajdował się mały parterowy budynek, przypominający chatę. Na jego podwórku stało kilka metalowych stolików, a przy nich składane krzesła, także z metalu. Zatrzymaliśmy samochód.

Na rogu siedział rolnik, palił papierosa i pił piwo. Weszliśmy do środka. Miejsce sprawiało wrażenie, że czas zatrzymał się tu od dawna.

Wyglądaliśmy jak jakaś oficjalna delegacja udająca się na ważne spotkanie. Zajęliśmy miejsca przy stole, pomieszczenie było dosyć pełne. Otoczyła nas mieszanka nieznajomych zapachów,

a w otwartej kuchni widać było właścicielkę stojącą przy jednym z garnków. Kobieta ubrana była w sukienkę w kwiatki, na której miała przewiązany kolorowy fartuch, a na głowie chustkę. Przypominała matrioszkę. W rękę trzymała drewnianą łyżkę i mieszała nią w garnku, a unosząca się para uderzała ją w twarz. Garnki były trochę większe niż w domowej kuchni, szerniały i przepalone. Wzdłuż ściany wisiały drewniane szafki bez drzwi-czek, a w nich stały rzędy filiżanek. Część z nich miała zbite uszka. Moją uwagę szczególnie przyciągał duży, ciężki czajnik z drewnianą rączką, której pierwotny kolor trudny był do rozpoznania.

Zapadł zmierzch. Wycieraczki przesuwają z boku na bok krople deszczu na szybach. A my kontynuujemy po ciemku drogę przez las, obawiając się dzikich zwierząt, które mogą wyskoczyć na szosę. Z niepokojem patrzymy przed siebie, wyczekując krańca. Dopiero po przebyciu długiego odcinka leśnej drogi ujrzelismy w dali połyskujące światła miasta. Zbliżaliśmy się na miejsce.

Od razu wjechaliśmy na podwórze naszych lubaczowskich przyjaciół. Wyszli nam na spotkanie i powitali serdecznie.

Zanim weszliśmy do domu, poszłam pokazać dzieciom miejsce, gdzie znajdował się młyn. Milcząc, rozglądaliśmy się po okolicy. Każdy zajęty był swoimi myślami. Nigdy nie czuliśmy się tak bliscy mamy, jak tu nad brzegiem rzeki, lecz zdawaliśmy sobie sprawę, że ostatnimi, którzy kroczyli ścieżkami jej dzieciństwa, byli żołnierze SS i tutejsza ziemia nasączona jest krwią naszej rodziny.

Oglądaliśmy budynek ze wszystkich stron, szukaliśmy nawet jakiejś oznaki mezuzy przy wejściowych drzwiach, lecz nie znaleźliśmy.

Stojąc tu, przy młynie, przypomniałam sobie, że matka opowiadała kiedyś o dniu, gdy hitlerowcy po raz drugi wkroczyli do Lubaczowa. Pewnego jesiennego wieczoru na ulicy rozległ się

silny warkot. Matka wyrzała przez okno i zobaczyła sznur motocykli, a na nich niemieckich żołnierzy ze swastykami na mundurach. Ogarnął ją wielki strach i zaczęła wołać rodzinę. Wszyscy zeszli do piwnicy i tam czekali na wiadomości.

Znajdując się teraz w miasteczku, potrafiłam sobie doskonale wyobrazić ich przerażenie, przecież nie było dokąd uciekać.

Weszliśmy do domu Zygmunta i Teresy. Zasiedliśmy do stołu, na którym była już przekąska – śledzie oraz wódka domowego wyrobu. Po raz pierwszy poczułam, że znajduję się w domu mojej mamy, w twierdzy jej dzieciństwa, gdzie tylko żydowskie przedmioty kultu religijnego zamienione zostały obrazem Jezusa i jego matki Marii.

Nazajutrz podczas śniadania u Zygmunta wyraziłam chęć, by umówić się ze Staszkiem na dalszą rozmowę, lecz on zaproponował, abyśmy poszli do jego siostry Teresy Szyszkiewicz, starszej od niego o kilka lat, więc na pewno pamiętającej więcej niż on. Żałowałam, że go nie zobaczymy.

W towarzystwie Zygmunta udaliśmy się z Rafim przez most nad rzeką do małego, ogrodzonego płotem domku na skraju miasteczka, w którym mieszkała Teresa Szyszkiewicz. Na podwórku stała kobieta po osiemdziesiątce, ubrana w kolorową spódnicę i czerwoną kamizelkę, na głowie miała zawiązaną chustkę. Sypała ziarno gdaczącym kurom i gęsiom kręcącym się koło domu. Słysząc też było głośnie szczekanie psa pilnującego jej małego gospodarstwa.

Pomachaliśmy kobiecie na powitanie, prosząc, by do nas podeszła. W pierwszej chwili rzuciła w naszym kierunku obojętne spojrzenie. Jacyś nieznajomi ludzie, wyglądający jakby byli z innego świata, pojawiają się z rana koło wejścia do jej domu, kiedy ona o tej porze zwykła karmić gęsi i kury. Przybliżyła się do nas niepewnymi krokami. Nasz przyjaciel Zygmunt upewnił się, że to

istotnie Teresa Szyszkiewicz i oznajmił jej, iż przysłał nas tutaj jej brat Staszek.

I co dalej? Po co przyszedłam? Zygmunt nie bardzo wiedział, co powiedzieć, a ja też wahałam się, od czego zacząć. W końcu, spoglądając na nią, przedstawiam się krótko jako córka Pepki, która przed wojną mieszkała razem z rodziną w pobliżu młyna. Odczułam, że cała ta sytuacja jest żenująca i niepotrzebna, że nie powinnam była tu przychodzić. Właściwie chciałam już ją przeprosić za najście, powiedzieć, że zaszła pomyłka i odejść. Tymczasem kobieta utkwiała we mnie przenikliwe spojrzenie, którego zupełnie nie potrafiłam odgadnąć. Zamilkłam, przygotowana na każdą reakcję. Twarz jej przybrała poważny wyraz i zdawało mi się, że za chwilę wydarzy się coś nieoczekiwanego. Nagle chwyciła mnie za prawe ramię i przysunęła się blisko, a jej wzrok przeszywał mnie na wylot.

– Pepka? – spytała jednym tchem. – Ta, która mieszkała na brzegu rzeki? Której ojciec był dzierżawcą młyna? U którego mój ojciec pracował?

Stałam jak wryta, zupełnie zdumiona tym, co słyszałam. W kącikach oczu kobiety pojawiły się łzy i widać było, że przeniosła się wspomnieniami w odległą przeszłość. W jej spojrzeniu smutek przeplatał się z przebłyсками radości. Kiwnęłam potakująco głową.

Stałyśmy w zadumie, nasze spojrzenia spotykały się ze sobą, lecz milczałyśmy. Nagle z jej ust wyrwał się potok słów:

– Zawsze myślałam o tym, że chciałabym spotkać kogoś z rodziny Pepki, ale nie wierzyłam, że to możliwe.

Ponownie zapadło milczenie. Powitanie zaskakujące. Zastanawiałam się nad tym, kogo ona mogła chcieć spotkać. Przecież nikt z rodziny nie pozostał przy życiu. Czyżby zrodziła się tu prawdziwa przyjaźń? Czy istniały bliskie stosunki, które wryły się głęboko w jej pamięć?

Przybyłam do niej bez uprzedzenia, a przyjęła mnie tak naturalnie, tak spontanicznie, bez jakichkolwiek obaw. Wyglądało na to, jakby czekała na nas siedemdziesiąt lat. Zupełnie nie spodziewałam się tak wzruszającego spotkania, zanim padły jakiegokolwiek słowa.

Nagle Pani Teresa wskazała na naszego syna Rafiego i spytała:

– Czy to jest wnuk Pepki? – Na jej twarzy pojawił się uśmiech i odniosłam wrażenie, że jej wielkie marzenie spełniło się.

W tej sytuacji nie musiałam już opowiadać, kim jestem. Kobieta przyglądała się chwilę mnie i Rafiemu, po czym zalała mnie potokiem wspomnień. Pozostało mi tylko słuchać.

Pani Teresa była wówczas młodą dziewczyną, rówieśnicą mamy.

– Pani matka – zaczęła swoją opowieść – była smukła, miała duże, czarne oczy i czarne włosy. Była bardzo ładna. Bawiłyśmy się razem lalkami, tu na podwórku koło młyna. Mieszkała z nimi w domu także ciocia, krawcowa, więc Pepka przynosiła kawałki ładnych materiałów na sukienki dla lalek.

Był to zwykły, naiwny opis dzieciństwa. Opis codziennego życia mamy – zabawy dziewczynek na podwórku. Bardzo chciałam o tym usłyszeć.

– U ojca Pepki w młynie pracowało większość sąsiadów, także mój ojciec – ciągnęła dalej pani Szyszkiewicz. – W miasteczku bardzo szanowano całą rodzinę. W sobotę wieczorem pani matka rozdawała nam biały chleb w postaci warkocza, który sama piekła. W domu Pepki zbierało się wielu dostojnych gości ubranych w garnitury i krawaty. Na głowach mieli kapelusze. W ich wyglądzie było coś niezwykłego, różnili się od innych, dlatego dobrze sobie zapamiętałam. Pamiętam też, jakby to było wczoraj, że zimą matka dzieliła między dzieci pracowników specjalne ciasteczka w kształcie trójkąta z powidłami w środku.

Miałam przed sobą obraz rodziny lubianej i poważanej przez otoczenie.

Pani Teresa ponownie powróciła w przeszłość i jak gdyby namalowała portret siostry mamy, Minki, podkreślając, że miała sięgające do kolan czarne warkocze, że była zawsze uśmiechnięta, radosna i trochę rozrabiaka.

Jej twarz spochmurniała, chwyciła mnie za rękę.

– Zima 1942–1943 była szczególnie groźna – kontynuowała drżącym głosem. – Wszystko pokryło się lodem. Biedna Minka ukrywała się przed Niemcami w dole wykopanym w ziemi i nogi zamarzyły jej z mrozu. Wydostała się jakoś z ukrycia, ale nie mogła stać na nogach. Czołgała się na czworakach, płacząc i krzycząc z bólu. Wtedy Niemcy zobaczyli ją i zastrzelili. Tam, na podwórku jej domu, w pobliżu młyna.

Słyszałam już opowieść o śmierci Minki. Stałam jednak przejęta, wyobrażając sobie dwunastoletnią cierpiącą dziewczynkę, która błagała o ratunek. Nie byłam w stanie pytać panią Teresę o dodatkowe szczegóły.

Po krótkiej przerwie zaczęła opowiadać o Łonku:

– Łoniek, brat Pepki, był wspaniałym, niezwykle zdolnym chłopcem. Uczył się w gimnazjum, taki mądry chłopiec... Nie rozumiem, dlaczego nie przyłączył się do partyzantów, którzy ukrywali się w lasach. Niemcy złapali go, kiedy zrywał gruszki na podwórku przy młynie i strzelili do niego. Ranny doczołgał się do domu sąsiadów, ale nie udało im się go uratować.

O śmierci Łonka też już słyszałam.

Pani Teresa nie pamiętała, co to byli za sąsiedzi. Otrzymałam jednak świadectwo tego, że brat i siostra mojej mamy zmarli w tragicznych okolicznościach. Pani Teresa opowiadała o tym z wielkim przejęciem i bólem. Dodała też, jak bardzo niebezpieczne dla Polaków było ukrywanie żydowskich rodzin.

Spotkanie z Teresą Szyszkiewicz na chodniku koło jej domu, przy gdaczących kurach i szczekającym psie, zdawało się być sceną zaczerpniętą z jakiegoś filmu.

Na moje pytanie, czy ma zdjęcia z tamtego okresu, odpowiedziała, że ani jej, ani innym Polakom z okolicy nie pozostały żadne fotografie. Opowiedziała mi, że kiedy do Lubaczowa wkroczyli Rosjanie, wprowadzili wielkie zmiany w życiu Polaków, pozmięniiali nawet nazwy ulic. Duża część mieszkańców opuszczała swoje domy i gospodarstwa, uciekała na zachód, bo bała się Ukraińców. Niemcy nawet podstawili na stacji kolejowej w Lubaczowie pociąg, aby umożliwić Polakom ucieczkę za San. Ona i jej rodzina także uciekli – do Jarosławia, miasta na zachód od Sanu, gdzie znajdowali się Niemcy.

Ukraińcy, którzy zostali w miasteczku, włamywali się do ich domów, rabowali dobytek, a resztę niszczyli. Dlatego kiedy później Polacy wraz z powrotem Niemców wrócili do swoich domów, zobaczyli, że wszystko, co posiadali, już nie istnieje, nawet pamiątki i zdjęcia.

Staliśmy długo, słuchając z uwagą jej opowieści.

Nagle, ponownie wbiła we mnie przenikliwe spojrzenie i powiedziała:

– Po zakończeniu wojny, nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, Pepka wróciła do Lubaczowa w towarzystwie polskiego policjanta. Szła z trudnością, głowę miała opuszczoną, była smutna i widziałam, że coś jej bardzo dokucza. Weszli razem na podwórko i zaczęła czegoś szukać. Nie wiem czego i nie wiem, czy Pepka to znalazła. Widać było, że opadła z sił, że jest zupełnie wykończona i przybita. To już nie ta radosna dziewczyna co kiedyś.

Jeszcze jeden strzępek informacji dający powód do zastanowienia, czego matka szukała tam na podwórku i z kim przyjechała. Pojawiły się również inne znaki zapytania. Czułam w głowie zamęt od słuchania o tych ciężkich wydarzeniach.

Głos pani Teresy wyrażał wielką życzliwość i współczucie dla cierpienia mojej rodziny. Zaprosiłam ją do nas do hotelu, by tam kontynuować rozmowę, lecz odmówiła, tłumacząc, że musi dostarczyć napoje dla drużyny piłkarskiej miasteczka, która gra dzisiaj mecz na boisku po drugiej stronie szosy. Istotnie, widać było z daleka grupujących się zawodników w kostiumach Lubaczowa, którzy rzucali w naszym kierunku pytające spojrzenia.

Powiedziałam pani Teresie, że przyjechalismy na jutrzejszą uroczystość odsłonięcia pomnika poświęconego pamięci zamordowanych w czasie wojny Żydów. Pomyślała chwilę, po czym uchwyciła mnie za ramię i powiedziała:

– Bardzo bym chciała być na tej uroczystości. Chciałabym oddać szacunek rodzinie Friedmanów. Nie zapominam o nich.

Obiecalismy, że zabierzemy ją jutro rano. Tymczasem rozstalismy się, Pani Teresa wróciła karmić gęsi.

Widząc jej szczerość, łzy radości i bólu, trudno mi było pogodzić obecną sytuację z tym, co słyszałam w domu o złych Polakach. Mój wewnętrzny konflikt dotyczący stosunku do nich tylko pogłębił się.

Wieczorem, zgodnie z naszym codziennym zwyczajem, zebrałismy się w hotelowej restauracji przy stoliku w pobliżu kuchni, aby podsumować wrażenia z całego dnia. Nasze narady przebiegały w dosyć burzliwej atmosferze.

Jednocześnie z przyjemnością jedliśmy różne smakołyki polskiej kuchni, jak na przykład pierogi. Wszystko ciepłe, prosto z kuchni.

Tamtego wieczoru zastanawialismy się, kto towarzyszył mamie podczas jej powrotu do domu po zakończeniu wojny. Czego szukała? Później dowiedziałam się, że wielu Żydów ukrywało swój majątek pod ziemią w strachu przed grabieżą ze strony Niemców i Ukraińców. Żydzi wkładali do pudełek posiadane

kosztowności – pieniądze i klejnoty – i chowali je w ziemi. Nikt oprócz członków rodziny nie znał miejsca ukrycia.

Ponieważ po zakończeniu wojny grabieże i kradzieże nadal miały miejsce, matka być może otrzymała ochronę ze strony policji na wypadek, gdyby spotkało ją zagrożenie w przypadku odnalezienia jakichś dóbr.

Nazajutrz w słoneczny dzień udaliśmy się z Zygmuntem na przejażdżkę wzdłuż granicy z Ukrainą. Przyjechaliśmy do Przemysła leżącego nad Sanem. Jechaliśmy brzegiem rzeki, podziwiając tamtejsze piękne krajobrazy.

W mieście znajdują się różne historyczne zabytki z okresu austro-węgierskiego panowania. Zamek otoczony wspaniałymi ogrodami, stare kościoły. Żydzi stanowili tu około jednej trzeciej części ludności, w związku z czym w mieście były żydowskie instytucje religijne, kulturalne, socjalne, a także związki syjonistyczne.

Miejscowa społeczność żydowska została stracona podczas wojny i pozostały tylko zarośnięte dziką roślinnością groby, trudne do zauważenia. Podobnie jak w innych miasteczkach Galicji tutejszy cmentarz żydowski również nie był przez nikogo chroniony.

Okazała synagoga, bogata w przedmioty kultu religijnego, przekształcona została w miejską bibliotekę i obecnie nie ma tu żadnych znaków świadczących o poprzednim przeznaczeniu budynku.

Z Przemysła pojechaliśmy do miasteczka Krasieczyn, gdzie znajduje się zamek będący jednym z najpiękniejszych zabytków okresu renesansu w Polsce. Teraz mieści się w nim hotel.

Wieczorem jedliśmy kolację z Zygmuntem i jego żoną Teresą w typowej wiejskiej restauracyjce w okolicy. Było bardzo przyjemnie i smacznie.

Rano zaczęliśmy szykować się na uroczystość odsłonięcia pomnika ku czci zamordowanych Żydów, którzy żyli w miasteczku i okolicy w ciągu setek lat.

Zanim udaliśmy się na plac, weszliśmy do Urzędu Miejskiego, by spróbować odszukać jakąś dokumentację i zapis w księdze ewidencji ludności. A nuż uda mi się otrzymać oficjalne poświadczenie, że moja rodzina pochodzi z Lubaczowa.

Na twarzy urzędniczki, którą powiadomiono, że przyjechałam z Izraela, by wziąć udział w uroczystości odsłonięcia pomnika, pojawił się zyczliwy uśmiech. Po chwili zwróciła się do mnie:

– Wie pani, nie słyszałam o takiej uroczystości. Kiedy to się odbędzie? Gdzie?

Udzieliłam jej informacji, po czym powiedziałam, że przyjechałam, by odszukać członków mojej rodziny.

Urzędniczka zniknęła na kilka minut w przyległym pokoju, po czym wróciła do nas z grubymi teczkami. Patrzyliśmy na nią z ciekawością, przez chwilę zapomnieliśmy, że chodzi o wpisy z początku ubiegłego stulecia, sprzed epoki komputerów. Otworzyła jedną z teczek. Widniały w niej ręcznie zapisane małżeństwa zawarte w miasteczku od początku stulecia. Była to specjalnateczka do rejestracji małżeństw zawartych wyłącznie wśród społeczności żydowskiej. Przy każdej parze figurowały nazwiska rodziców, data i miejsce ceremonii oraz nazwisko rabina, który udzielił ślubu. Podobna teczka istniała dla urodzonych w mieście, tam obok daty urodzenia wpisane było nazwisko mohela*.

Niestety w żadnej z teczek nie znaleźliśmy nazwisk mojej rodziny. Urzędniczka stwierdziła, że w zamożnych żydowskich rodzinach kobiety zwykle były udawać się na poród do większych

* Mohel – osoba dokonująca obrzezania.

miejsowości jak Drohobycz czy Lwów, gdzie opieka lekarska uważana była za lepszą. Istnieje więc możliwość, że moja matka uczyniła tak samo, a ponieważ miejsca te należą obecnie do Ukrainy, nie ma możliwości dotarcia do źródeł.

Wobec tego nie mam żadnych danych, by szukać rodzinnych korzeni, nie znam miejsca urodzenia członków mojej rodziny. Nie pozostało mi nic innego, jak zadowolić się opowieściami i ustnymi relacjami.

Z Urzędu Miejskiego udaliśmy się na plac znajdujący się poza Lubaczowem, gdzie miała odbyć się ceremonia. Pierwszym miejscem, w którym zatrzymaliśmy się po drodze, był dom Teresy Szyszkiewicz, gdyż obiecaliśmy zabrać ją z nami na ceremonię.

Stukam do drzwi. Tym razem naprzeciw nas staje kobieta ubrana w elegancki kostium w szarym kolorze i dopasowane do niego pantofle. Nie była to wieśniaczka karmiąca gęsi na podwórku, którą spotkaliliśmy poprzednio.

Przybyliśmy na plac, gdzie znajdowała się bratnia mogiła. Zrobiło się nieco pochmurno i powiewał lekki wiatr, od czasu do czasu spoza chmur wychodziło słońce.

Ponownie powracam pamięcią do chwil, gdy Żydzi kopali tu doły śmierci dla siebie, a także innych Żydów i potem zwozili ich do tego miejsca. A teraz na tej skrwawionej ziemi rosną drzewa o grubych korzeniach i pokrywa ją dzika roślinność, spod której nie widać tego, co się tu kiedyś wydarzyło.

Na placu zebrała się niewielka liczba ludzi. Wśród zebranych dostrzegłam młodą kobietę z córką i matką. Zdziwiło mnie, że znalazły się tutaj trzy pokolenia razem.

Ceremonię rozpoczęła honorowa defilada. Odsłonięto tablicę na pomniku, na której wyryte były hebrajskie litery, po czym zostały wygłoszone przemówienia, a na zakończenie wystąpiła grupa uczniów miejscowej szkoły przedstawiających scenki z życia

Żydów w miasteczku przed wojną. Czułam się dumna, że mogę uczestniczyć w tak ważnym wydarzeniu.

Po południu udałam się na przechadzkę w okolicy hotelu, żeby trochę złagodzić poranne napięcie. Kręciłam się po okolicznych ulicach z jakimś uczuciem smutku. Wiedziałam, że więcej tu nie przyjadę, pomimo że w jakimś stopniu miejsce to stało się mi bliskie. Tylko tu mogę spotkać koleżanki mamy z dzieciństwa, tylko tu mogę usłyszeć o dziejach rodziny i o ich uczestnictwie w życiu miasteczka.

Kręcąc się tak bez żadnego konkretnego celu, natknęłam się na mały drewniany domek. Zajrzałam do środka i zobaczyłam na ścianach ikony, obrazy Marii oraz wianki kwiatów. Pomału zaczęły się tam schodzić kobiety. Podeszłam do jednej z nich, aby spytać, co to za miejsce i dlaczego się tam zbierają. Dowiedziałam się, że modlą się tutaj każdego wieczoru zamiast iść do kościoła, który znajduje się dalej.

Podczas rozmowy z jedną z kobiet, dostrzegam, że jakaś inna przygląda mi się z boku, po czym podchodzi do mnie i mówi z przejęciem:

– Dzisiaj, w lokalnej telewizji była transmisja z Dachnowa. Na tle zdjęcia młyna widziałam kobietę bardzo podobną do pani, z takimi kręconymi, puszystymi włosami. Ja, proszę pani, mieszkam właśnie koło młyna.

Przez chwilę byłam zaskoczona.

– To byłam ja, na uroczystości ku czci tutejszych Żydów – odpowiedziałam. – Moja matka mieszkała z rodziną koło młyna. Dziadek dzierżawił go wtedy.

– Słyszałam, jak pani opowiadała o tym w telewizji. Mój ojciec pracował w młynie – padła odpowiedź.

Spojrzałam na nią i spytałam, czy zechciałaby porozmawiać ze mną o przeszłości. Natychmiast zgodziła się, po czym umówiłyśmy

się u mnie w hotelu po skończonej modlitwie. Po upływie pół godziny ujrzałam ją idącą w jego kierunku w towarzystwie koleżanki. Ubrana była w spódnicę w kolorową kratkę i w czerwoną kamizelkę. Na głowie obie kobiety miały jaskrawe chustki.

Wysłałam jej na spotkanie i zanim zdążyłam coś powiedzieć, zaczęła opowiadać o minionych czasach. Dowiedziałam się, że przez wszystkie lata żyła w tym samym miejscu. W domu, w którym dorastała, wychowało się też jej czworo dzieci. Opowiadała o przeszłości zupełnie inaczej niż robiła to Teresa Szyszkiewicz. Nie czułam żadnego zaangażowania uczuciowego z jej strony, jak gdyby czytała tekst z podręcznika historii:

– Byłam w pierwszej klasie i wszystko widziałam.

Wspomniała Łońka, który czasami zabierał dzieci na swoją łódkę, a także ciocię Hildę, krawcową. Powiedziała, że przechowywanie Żydów groziło wielkim niebezpieczeństwem, dlatego jej rodzice nie zgodzili się na udzielenie im kryjówki.

Jej najsilniejsze wspomnienia związane były podobno z moją mamą. Nadal mówiła jednak oziębłym głosem i żaden mięsień na jej twarzy nie drgnął. Widziała mamę kroczącą z pochyloną głową i rękami na karku, a za nią hitlerowca z bronią, krzyczącego, aby szła szybciej, bo inaczej będzie do niej strzelał. Mama spoglądała w kierunku sąsiadów, którzy wyglądali zza firanki lub pracowali na swoich podwórkach. Zdążyła im jeszcze powiedzieć, że widzą ją po raz ostatni.

„Może jej spojrzenie wyrażało również błaganie o pomoc?” – pomyślałam sobie.

A kobieta spytała nagle zdumiona:

– Hitler zabił tutaj całą rodzinę, osiem osób, trzy pokolenia, i dopiero teraz postawiono nagrobek?

Zacząłam jej coś tłumaczyć, lecz ona nie słuchała mnie i dalej ciągnęła:

– Sąsiad Sikorski z domu obok Friedmanów wywiózł jedną z dziewcząt do swojego syna w Warszawie. I ta dziewczyna pojechała później po wojnie do Ameryki. – Kobieta lekko uśmiechnęła się i zaczęła opowiadać o paczkach z ubraniami, które tamta przysyłała Romkowi. Historia o paczkach stała się widocznie jakąś legendą w okolicy.

Kobieta, jakby przełamała wewnętrzną barierę i z większą swobodą, aczkolwiek nadal bez żadnego zaangażowania uczuciowego, kontynuowała swoją opowieść:

– Moja matka zawsze mówiła o rodzinie Pepki, że to porządni Żydzi i nie skarżyła się na nich.

W jakimś momencie spytałam ją, jak się nazywa, lecz ona pokręciła przecząco głową i oznajmiła:

– Nie mogę pani powiedzieć, jak się nazywam. Mam czworo dzieci, muszę się o nie troszczyć i chronić je przed wszelkimi niebezpieczeństwami. – Po chwili dodała: – Ja wszystko wiem o tym, co było i jak było, ale nie mogę się z panią podzielić.

Powiedziała mi „dobranoc”, odwróciła się i odeszła. Stałam trochę zaskoczona.

Wieczorny program w lokalnej telewizji, w którym przeprowadzano ze mną wywiad, wzbudził duże zainteresowanie i wielu mieszkańców przybyło do nas do hotelu, wyrażając gotowość opowiedzenia swoich wspomnień z okresu wojny, opowiedzenia o sąsiadach i przyjaciółach Żydach. Byłam bardzo przejęta tymi spontanicznymi wizytami, z trudnością mogłam się skupić na rozmowie z wieloma osobami jednocześnie.

Między innymi przyszła młoda kobieta, którą widziałam rano podczas uroczystości w Dachnowie z córeczką i matką. Na jej prośbę rozmawiałyśmy na osobności. Miała na imię Kasia. Opowiedziała mi o swojej babci, która widziała, jak prowadzą na śmierć jej koleżanki Żydówki. Dziewczęta wznosiły ręce do nieba

i wołały, że to ich ostatnia droga. Wydarzenie podobno miało miejsce we wrześniu, pogodnego, słonecznego dnia. Babcia Kasia akurat pracowała w polu, niedaleko miejsca, gdzie postawiono obecnie pomnik.

Dzień był piękny, lecz na niebie pojawiło się mnóstwo czarnych ptaków, co według mieszkańców miasteczka zapowiadało nadejście tragicznych wydarzeń.

Kasia opowiadała, że w przeciągu wielu lat babcia przeżywała swoją bezradność wobec nieszczęścia, jakie spotkało miejscowych Żydów.

W pewnym momencie przerwałam potok jej słów i wtrąciłam, że moją mamę uratowała od zagłady rodzina Sikorskich, którzy zabrali ją do Warszawy i tam opiekowała się małym chłopczykiem. Nazywał się Romek.

Zanim skończyłam zdanie, Kasia rzuciła z radością:

– Coś takiego... Ze mną w klasie był Janek, syn Romana Sikorskiego. Romek uczył się w klasie mojej mamy, tak jak ona urodził się w 1944 roku. Pamiętam też, że ojciec Janka wyjechał po wojnie do Stanów Zjednoczonych, a syn przyłączył się do niego. Jego siostra Elżbieta pozostała w Lubaczowie i jest nauczycielką w tutejszej szkole.

Na początku nie bardzo zrozumiałam jej opowieść. Padły różne imiona, trudno mi było połączyć się, jak je zebrać w jedną całość. Zapamiętałam tylko, że kobieta o imieniu Elżbieta nadal znajduje się w miasteczku i niewątpliwie warto mi się z nią spotkać.

Kasia dodała jednak, iż Elżbieta przebywa teraz na urlopie w Stanach, u swojej matki. Pożałowałam, gdyż mogła to być dodatkowa okazja zdobycia ważnych dla mnie informacji.

Spytałam Kasię, czy jest pewna, że Romek urodził się w 1944 roku. Jeżeli tak, to nie jest to Romek, którym opiekowała się matka.

Kasia zastanowiła się, po czym stwierdziła:

– Niestety nie wiem tego dokładnie, ale Romek pochowany jest tu na cmentarzu i na grobie na pewno wyryta jest data jego urodzenia. Niech pani pójdzie na cmentarz, trzecie wejście, na lewo od głównej bramy. Zaraz przy wejściu zobaczy pani jego grób.

Od razu postanowiłam udać się rano na cmentarz. Byłam tam podczas pierwszego dnia pobytu w Lubaczowie i nie sądziłam, że powrócę do tego miejsca, aby szukać związku z przeszłością mojej mamy.

Kasia spokojnym głosem kontynuowała opowieść o życiu w miasteczku przed wojną, o życiowych stosunkach między mieszkańcami.

Przed rozstaniem umówiliśmy się, że nazajutrz w południe spotkamy się w hotelu, gdyż matka Kasi, która również uczestniczyła w uroczystości odsłonięcia pomnika, chciaaby nas poznać, zanim wrócimy do domu.

Pod koniec dnia zabraliśmy się do planowania powrotnej drogi do Warszawy z przystankiem w Lublinie.

Na cmentarzu w Lubaczowie

Poranek był chłodny i mglisty. Zrobiło mi się zimno. Nie wiem czy z powodu pogody, czy z lęku przed tym, co odnajdę na cmentarzu.

Nie jedząc śniadania, wyruszyłam w drogę. Kiedy po raz pierwszy byliśmy na cmentarzu, znajdowaliśmy się w innej części – na zaniedbanym terenie, gdzie kiedyś chowano Żydów. Spoglądałam wówczas w kierunku wypiełgnowanej, katolickiej części nekropolii. Nie sądziłam, że podczas drugiej wizyty w Lubaczowie ponownie się tu zjawię. Chichot losu.

Przy głównej bramie skierowałam się na lewo, zgodnie z instrukcją Kasi. Czułam się bardzo podenerwowana. Przechodziłam od grobu do grobu, poszukując pomnika, na którym widnieje imię Romka. Szukałam mogiły kogoś, kogo nie znam, a kto odegrał ważną rolę w życiu mojej mamy. Dziwne uczucie, jak gdyby długodystansowy bieg bez określonego celu. Próbuję chwycić się każdego szczegółu, który mógłby mi pomóc poznać jej przeszłość.

Chwilami chciałabym uciec stamtąd, by nie zetknąć się z duchami. Potem jednak idę dalej i w pewnym momencie, będąc już u kresu sił, dostrzegam duży pomnik, a na nim napis: „Romuald Sikorski. Listopad 1941–listopad 1996”.

Wyrte na czarnej płycie nazwisko rzuca światło na jeszcze jeden okres w życiu mamy. Nie spodziewałam się, że na cmentarzu natknę się na związaną z nim postać. Jak gdybym wyrwała pustą stronę z książki, która nie została napisana.

Gdy stoję przy grobie, przychodzą mi do głowy słowa mamy: „Dziecko wołało mnie, a ja nie mogłam mu pomóc”.

Znalazłam się w sytuacji, do której nie byłam przygotowana. Nie przyjechałam do Lubaczowa, by szukać tamtego dziecka. Ale znalazłam je. Wprawdzie na cmentarzu, lecz pozwoliło mi to zrozumieć, że dotarłam na kraniec drogi i tu moja podróż do miasteczka dobiegła końca. Podróż, w czasie której wydarzenia znacznie wykroczyły poza zaplanowany program. Szczególnie wizyta na cmentarzu, jakby stawiała kropkę na końcu zdania.

W drodze do hotelu na śniadanie kręciłam się trochę po ulicach, by nieco pobyć sama ze sobą i swoimi myślami. Ulice wczesnym rankiem były ciche, gdzieś widać było ludzi spieszących do kościoła lub do pracy.

Usiadłam na ławce na rynku. Rozglądałam się wokół i wdycham chłodne, orzeźwiające powietrze, a przede wszystkim chłonę otaczające mnie spokój i ciszę.

Kiedy przyszłam do hotelu, śniadanie już było podane na stół. Napiałam się trochę kawy, ale nie byłam w stanie jeść. Poszłam do pokoju, żeby spakować walizki. Opuszczaliśmy hotel.

W planie mieliśmy jeszcze raz przejść się po miasteczku, zrobić trochę zdjęć na tle sklepów należących kiedyś do Żydów. No i chcieliśmy zakupić jakieś upominki i pamiątki.

Rozejrzałam się ostatni raz po pokoju by sprawdzić, czy niczego nie zostawiliśmy.

Jest godzina 8.30. Do drzwi rozlega się pukanie, po czym wchodzi właścicielka hotelu, a z nią kobieta, która podobno pilnie nas poszukuje.

Zeszliśmy do lobby, żeby z nią porozmawiać. Kobieta przedstawiła się jako Lucyna.

– Naszukałam się państwa... – powiedziała. – Pewien pan z muzeum poprosił mnie, abym się z panią spotkała.

Byłam zaskoczona tą wizytą. Co mogło być powodem, że tak pilnie chciała mnie znaleźć?

Usiadłyśmy przy stoliku. Zaproponowałam herbatę i coś do zjedzenia, lecz odmówiła. Od razu zaczęła swoją opowieść. Na początku nie byłam zbyt skoncentrowana na tym, co mówi. Nie zadawałam też żadnych pytań. Mój „bagaż” wypełnił się. Czułam się już zmęczona słuchaniem wielu różnych opowieści i byłam przygotowana do drogi powrotnej. Dopiero kiedy okazało się, że Lucyna mieszkała w dzieciństwie koło młyna i z tego względu skierowano ją do mnie, nastawiłam uszu i zaczęłam wsłuchiwać się w jej słowa. Dowiedziałam się, że rodzina Friedmanów należała do nielicznych w okolicy, u których był telefon. Ojciec Lucyny – co dodała z dumą – pracował na poczcie i przychodził czasami do Friedmanów, aby sprawdzić linię telefoniczną.

Ponieważ w swojej pracy miał kontakt z wieloma ludźmi, dochodziły do niego słuchy o różnych akcjach w miasteczku i wiadomości te przekazywał mojej rodzinie.

Lucyna zamilkła na chwilę. Rozglądała się niespokojnie po sali hotelowej, po czym opuściła wzrok i poprosiła, abym nie wspominała nikomu, jak się nazywa.

– Widzi pani – powiedziała, nie patrząc mi w oczy – Lubaczów to mała miejscowość, a nadal mieszka tu ktoś z rodziny Tadeusza, więc obawiam się...

– Tadeusz? – pytam. Nigdy nie słyszałam tego imienia.

Lucyna łyknęła trochę wody ze stojącej na stole szklanki. Popatrzyła na mnie, a jej spojrzenie jak gdyby mówiło mi: „Postanowiłam opowiedzieć pani prawdę...”

– Otóż Mariola, proszę pani – zaczęła opowiadać – Mariola przyjaźniła się z Pepką... były rówieśnikami. Mariola mieszkała tu, koło młyna. Jej ojciec pracował w młynie. W ten sposób jej rodzice zaprzyjaźnili się z pani rodzicami. Właściwie między wszystkimi sąsiadami w naszej okolicy, Polakami i Żydami, były przyjacielskie stosunki. Bardzo poważano pana Friedmana. Pamiętam, jak przechadzał się po podwórku... Miał taką siwą brodę i mały brzuszek. Pamiętam, jaka to była szlachetna rodzina... W czerwcu 1941 roku Niemcy niespodziewanie znowu wkroczyli do Lubaczowa. Pan Friedman zrozumiał, że nadchodzą ciężkie czasy dla Żydów. Niemcy zaczęli grabić żydowski dobytek. Friedman, który był bardzo zamożnym człowiekiem, zwrócił się do ojca Marioli i uzgodnił z nim, że część swojego majątku przechowa u niego w obawie przed Niemcami i Ukraińcami. Po zakończeniu wojny ukryty majątek miał przejść w ręce tego z rodziny, komu uda się ocaleć. Jeśli cała rodzina Friedmanów zostałaby zgładzona, majątek pozostałby oczywiście u rodziców Marioli. Część Żydów, szczególnie ci starszego pokolenia, wierzyli, że obecna okupacja będzie wyglądała tak, jak to było podczas pierwszej wojny światowej. Według ich oczekiwań Niemcy zostawiliby w końcu Żydów w spokoju i pozwolili im żyć zgodnie z ich tradycją i religią. Wierzyli, że przestępstwa z początkowego okresu wojny dokonywane były bez wiedzy dowództwa w Niemczech i wkrótce by się skończyły. Okazało się jednak, że ich nadzieja nie spełniła się i wielu Żydów postanowiło oddawać swój majątek na przechowanie Polakom, a sami się ukrywali. Wtedy Mariola poznała Tadeusza. Tadeusz i jego brat byli volksdeutschami*, mieszkali w Lubaczowie. Po wybuchu wojny

* Personalia osób uwikłanych we współpracę z niemieckim okupantem zostały zmienione (przyp. autorki).

obaj wstąpili do armii niemieckiej, także ich kolega Malczyński. Nosili wyczyszczone mundury niemieckie i wiernie służyli swojej ojczyźnie, co dawało im całkowite bezpieczeństwo, pewność przetrwania.

Lucyna westchnęła, spojrzała na mnie ze smutkiem, po czym ciągnęła dalej:

– Mariola wyszła za mąż za Tadeusza. Mieli bardzo okazały ślub. On wystąpił w mundurze SS, a ona w eleganckiej sukni. Przejechali po miasteczku w udekorowanej dorożce, w obecności miejscowej niemieckiej elity.

Lucyna nie pamiętała tylko, czy ślub odbył się w kościele, czy w Urzędzie Miejskim, gdyż Niemcy nie chodzili do kościoła. W każdym razie uroczystość była podobno bardzo bogata, pomimo wojny i ciężkiej sytuacji miejscowych mieszkańców.

Po pewnym czasie Mariola zdradziła mężowi tajemnicę dotyczącą ukrytego dobytku dzierżawcy młyna, Żyda. I właśnie ten majątek stanowił główną przyczynę tego, że Tadeusz chciał zmieść rodzinę Friedmanów z powierzchni ziemi. Zdawał sobie sprawę z szansy wzbogacenia się.

W głosie Lucyny wyczuwałam gniew i odrazę wobec zdrady Marioli. Dla mnie wyjaśniła się w tym momencie sprawa zdrady, o której kilkakrotnie mówiła mama.

Lucyna powiedziała też, że miejsce ukrycia mojej rodziny było znane, gdyż dziadek poległ na swoich pracownikach i podzielił się z nimi planem kryjówki. Szybko dowiedział się o niej Tadeusz. I oto on, mąż ponoć dobrej koleżanki mamy, która całkowicie polegała na niej oraz całej jej rodzinie, wziął żelazne widły i ubrany w mundur SS zaczął chodzić wzdłuż spichlerza znajdującego się koło studni, tuż przy ich domu. Chodząc, wbijał widły w siano, a kiedy rozległ się krzyk, wiedział, że dobrze trafił. Potem przewieziono ich do getta.

Na twarzy Lucyny widać było, że jest wstrząśnięta zdradą wobec mojej rodziny, skazaniem ich na śmierć.

Tej właśnie zdrady nigdy nie była gotowa wybaczyć moja mama. Zdrady ze strony sąsiadów, którym zaufała jej ojciec. Do tego wydarzenia powracała w swoich wspomnieniach, lecz nigdy nie mówiła o szczegółach i nie wymieniała nazwisk.

Tadeusz natomiast, wydając moją rodzinę na śmierć, zapewnił sobie znaczny majątek. Po zakończeniu wojny, kiedy widać było, że naziści ponieśli wielką porażkę, zabrał podobno cały dobytek i wraz z żoną uciekł do Stanów Zjednoczonych w obawie, że w Polsce będzie sądzony.

Nie wiem, jakie myśli krążyły Lucynie po głowie. Chwilami zdawało mi się, że żałuje swoich zwierzeń, a kiedy indziej odnosiłam wrażenie, iż czuje ulgę, dzieląc się ze mną tymi bolesnymi wspomnieniami, które przez wiele lat ciążyły jej na sercu. W pewnym momencie spytała mnie, dlaczego moja mama nie próbowała odnaleźć Marioli. Nic nie powiedziałam, wołałam ograniczyć się do słuchania. Sprawa była dla mnie zupełnie nowa i potrzebowałam czasu, aby wszystko przemyśleć. Zastanawialiśmy się, na przykład, nad tym, czy naprawdę dziadek zdradził sąsiadom miejsce ukrycia majątku.

W każdym razie bardzo ceniłam gotowość Lucyny do opowiedzenia mi o życiu i śmierci mojej rodziny, podzielenia się ze mną wieloma szczegółami związanymi z tamtymi ciężkimi czasami. Podobnie jak Teresa Szyszkiewicz wspomniała także, iż mama powróciła do Lubaczowa w towarzystwie policjanta, a może polskiego żołnierza i szukała czegoś koło młyna. Czegoś, co prawdopodobnie zakopane zostało w ziemi. Potem, z nikim nie rozmawiając, opuściła miasteczko. Nie wiadomo jej, czy mama coś znalazła.

Na pytanie Lucyny o dalsze losy mojej mamy opowiedziałam jej pokrótce o tym, że opiekowała się Romkiem Sikorskim

w Warszawie i że zarówno Romek, jak i jego ojciec już nie żyją, więc nie mam więcej informacji.

Na to Lucyna oznajmiła z radością, że jest spokrewniona z żoną Romka, po czym dodała, iż wie, gdzie mieszkali przed wyjazdem do Ameryki i może nas tam zaprowadzić.

Stoję i trudno mi uwierzyć w rozwój wydarzeń. Wiem już, że Romek ożenił się i założył rodzinę, a teraz pójde zobaczyć jego dom. W tym momencie postanawiam odłożyć nasz wyjazd do Krakowa i z wielkim żalem zrezygnować ze spotkania z malarzem.

Weszliśmy wszyscy do małego volkswagena i ściśnięci słuchamy wskazówek Lucyny, jak mamy jechać. Ona mówi po polsku, a ja tłumaczę na hebrajski. Tu i ówdzie płaczą mi się kierunki, wtedy trzeba szukać jakiegoś zaułka, aby zawrócić.

W trakcie jazdy Lucyna opowiada, że wie od żony Romka o paczkach i pieniądzach, jakie otrzymywał przez długi czas od jakiejś Żydówki ze Stanów. Podobno dostał od niej także dom na rynku, ale rząd przejął go w swoje posiadanie.

Jedziemy dalej i choć wiem, iż w domu tym nie ma obecnie nikogo, czuję pewne zbliżenie do dziecka, do Romka.

Minęliśmy szpital, skręciliśmy w lewo, później w prawo, po czym dotarliśmy na ulicę Adama Mickiewicza. Lucyna wskazuje na domki jednorodzinne i mówi, że w jednym z nich mieszkała rodzina Sikorskich.

Czuję zamęt w głowie. Dopiero co rano byłam na grobie Romka, a teraz jadę do jego domu. Jak gdybym przemierzała jego życie z jednego krańca w drugi.

Obawiałam się jakiegoś rozczarowania, czegoś co może za jednym zamachem zburzyć wszystko, co do tej pory usłyszałam i złożyłam w jedną całość.

Lucyna podchodzi do jednego z domów i dzwoni do furtki wejściowej na podwórko. Wychodzi młoda dziewczyna, a obok

niej biegnie biały, piękny pies i szczeka. Było dla mnie jasne, że to nie dom Romka, ale może młoda sąsiadka wie, gdzie mieszkali Sikorscy. Kobiety zamieniły między sobą kilka słów, po czym Lucyna poprosiła nas, żebyśmy do niej dołączyli.

Wysiedliśmy z samochodu i poszliśmy w stronę wejścia. Miła dziewczyna otworzyła furtkę i zaprosiła nas do środka. Myślałam, że nie może mieć nic wspólnego z miejscową historią i należy powrócić do początkowego planu – wyjechać jeszcze dzisiaj do Krakowa. Dręczyła mnie jednak ciekawość. Kim ona jest?

Dziewczyna zamknęła za nami furtkę, żeby psiak nie uciekł. Udajemy się za nią, a za nami szczekający – i słusznie – pies. Jesteśmy w końcu zupełnie obcy w okolicy, a więc „podejrzani”. Wchodzimy do domu, psiak pozostaje na podwórku.

Wyglądamy dziwnie. Pierre z aparatem fotograficznym i dyktafonem w ręku, ja z notatnikiem. Nadal nie byłam pewna, czy Lucyna dobrze jej wytłumaczyła, kim jesteśmy. Czy w domu znajduje się ktoś, kto ma związek z przeszłością.

Dziewczyna przedstawia się nam. Ma na imię Ewa. Po chwili przeprosza i opuszcza pokój. Jestem przekonana, że powróci z kimś z rodziny.

Tymczasem rozglądam się po pokoju. Salon zastawiony starymi meblami w stylu, który jest mi dobrze znany z domu. Kana pa i dwa ciężkie fotele, kredens z przezroczystą witryną, a za nią ustawione naczynia z kryształu na przemian z porcelanowymi figurkami. Na ścianach dużo obrazów w grubych drewnianych ramach.

Po kilku minutach Ewa wraca z tacą, a na niej butelką zimnej wody i talerzykiem z ciasteczkami. Stała przez chwilę w milczeniu, ja również zastanawiałam się, jak z nią rozpocząć rozmowę. Spytałam w końcu, czy jeszcze ktoś jest w domu, lecz ona odpowiedziała, że obecnie mieszka sama, gdyż cała rodzina znajdu-

je się w Stanach Zjednoczonych, a i ona właściwie jest u szczytu przygotowań do opuszczenia domu i w ogóle miasteczka. W przyszłym tygodniu zamierza dołączyć do rodziny w Stanach. Rozpocznie tam studia medyczne.

Słucham jej słów, a jednocześnie spoglądam na wiszące na ścianach obrazy. Ewa dostrzega moje spojrzenie i wskazuje na jedną z fotografii, na której widnieje postać małego dziecka.

– To jest Romek, mój dziadek, w dzieciństwie – mówi spokojnym głosem.

Na to nie byłam przygotowana. Patrzyłam na fotografię, a potem na dziewczynę. Zanim skojarzyłam, że to jego wnuczka, Ewa wskazała na następną fotografię i powiedziała:

– A to dziadek Romek z żoną i z dziećmi.

W tym momencie zupełnie oniemiałam. Dla mnie Romek był i pozostał małym dzieckiem z opowiadania mamy. Dzieckiem, które potrzebowało jej opieki, szczególnie po stracie rodziców.

Ewa opowiadała dalej o dziadku, z którego była bardzo dumna, a ja zaczęłam poznawać Romka – człowieka niebędącego już małym dzieckiem oraz jego rodzinę. Dziewczyna przyniosła z drugiego pokoju album z jego zdjęciami z różnych okresów życia. Małe, głodne, osierocone dziecko przybrało postać dorosłego człowieka, na twarzy którego ujrzałam uśmiech i szczęście.

Była to dla mnie zupełnie nowa rzeczywistość. Wszystko, co dotychczas wiedziałam, z czym żyłam w przeciągu wielu lat, rozpadło się na drobne części.

Tu i teraz szukałam drogi do poznania historii życia Romka podczas wojny. W przyjemnej atmosferze wspomnień, jaka panowała w pokoju, próbowałam poprowadzić Ewę do okresu jego życia w Warszawie, do dalszej, bardziej bolesnej przeszłości. Po jakimś czasie, gdy przewracałyśmy kartki życia Romka, spyta-

łam delikatnie Ewę, czy wie coś o życiu dziadka z czasów wojny, czy wie, jak się uratował. Przecież urodził się w Warszawie, która znajdowała się pod niemiecką okupacją.

Tak naprawdę nie oczekiwałam od młodej dziewczyny, żeby znała odległą przeszłość swojego dziadka. W końcu ja też niewiele wiem o tym okresie.

Ewa przez chwilę zawahała się, jak gdyby trudno jej było powrócić do ciężkich wspomnień z czasów wojny, lecz po chwili na jej twarzy pojawił się uśmiech i ku mojemu zdziwieniu swobodnie ciągnęła swoją opowieść:

– Oczywiście, ja wiem dużo o dziadku. Nigdy go wprawdzie nie spotkałam, ponieważ żył w Stanach Zjednoczonych, kiedy się urodziłam. Długo nie mógł powrócić do domu, gdyż był w trakcie załatwiania sobie prawa do podjęcia pracy w Stanach. Niestety zmarł w młodym wieku, mając pięćdziesiąt pięć lat. Ja wtedy miałam dziesięć. Pomimo że nigdy się nie widzieliśmy, często rozmawiałam z nim przez telefon i byłam do niego przywiązana, a szczególnie lubiłam słuchać jego opowieści. – Jej ciepły głos wyrażał dużo miłości do dziadka. Po chwili dodała: – Odległość geograficzna akurat bardzo nas do siebie zbliżyła.

Ceniłam jej szczerość, wierzyłam w każde jej słowo, czułam, że pochodzą z głębi serca.

Ewa ponownie popatrzyła na mnie i uśmiechając się, kontynuowała:

– Dziadek i jego rodzina mieszkali w Warszawie. Jego rodzice mieli tam dwa sklepy spożywcze. Wiem, że podczas wojny w ich domu przebywały dwie czy trzy dziewczyny Żydówki, które pomagały opiekować się dziadkiem, kiedy był niemowlęciem. Jego rodzice większość czasu spędzali w sklepach.

– Mówisz, że żydowskie dziewczyny opiekowały się dziadkiem i ukrywały się w ich domu?

W tym momencie pomyślałam, że to nie pasuje do historii mojej mamy. Nigdy nie wspominała żadnych innych dziewcząt z miasteczka, które uciekły do tej samej rodziny. Pomimo osobistego rozczarowania staram się jednak zachować spokojny wyraz twarzy, przecież Ewa opowiada historię swojego ukochanego dziadka, którego rodzina uratowała życie młodym Żydówkom.

Na chwilę przerywa, jakby się nad czymś zastanawiała. A ja zadaję jej pytanie:

– Czy te Żydówki były z Lubaczowa?

– Tak – odpowiedziała z przekonaniem, a potem dodała, że o ile jej wiadomo, dwie uczyły się razem z jego ojcem Janem w jednej klasie.

Wtedy z powątpiewaniem zadaję dodatkowe pytanie, a mianowicie, czy wie, jak się nazywały.

– Tak – odpowiada od razu. – Jedna nazywała się Adlerowa i, jeśli się nie mylę, wyjechała potem do Nowego Jorku i przysyłała stamtąd dziadkowi paczki z ubraniami. Kiedy dorósł, przepisał na jego nazwisko swój dom na rynku. Z czasem jednak Urząd Miejski przejął budynek i dziadek został bez niczego. Adlerowa załatwiła też dla niego i dla babci, jego żony, tymczasowe zezwolenie na pobyt w Ameryce. Żeby mogli otrzymać zezwolenie na pobyt stały, musieli przebywać tam przez dłuższy czas.

Oto wyjaśniła się legenda o paczkach, które Romek otrzymywał w dzieciństwie ze Stanów, co sąsiedzi mieszkający w pobliżu młyna przypisywali mojej mamie. Nie wiedzieli oni również o dziewczętach uczących się razem z ojcem Romka w jednej klasie, które mieszkały na rynku. Historia zaczyna się zbierać w jedną całość, aczkolwiek nie wszystko jest jasne.

Ewa ciągnęła dalej:

– Przypomniałam sobie, że druga Żydówka miała na imię Marysia. Jak się nazywała ta trzecia, coś nie pamiętam...

Widziałam, że ta młodziutka dziewczyna, będąca już trzecim pokoleniem, z radością opowiadała o swoim dziadku i dobrze orientowała się w jego życiu. Patrzyłam na nią ze zdziwieniem, ale też z zazdrością.

Wyczuwało się, że w domu dużo rozmawiano o życiu dziadka. Ponieważ stosunek Ewy do ukrywających się w domu Żydówek, jakim nasiąknęła w swojej rodzinie, był pozytywny, opowiedziałam jej, że przyjechaliliśmy do Lubaczowa, by wziąć udział w uroczystości odsłonięcia pomnika w Dachnowie ku pamięci Żydów Lubaczowa i okolic. Ewa słuchała uważnie moich słów i oznajmiła, że gdyby wiedziała o takiej uroczystości, ona także chciałaby w niej uczestniczyć, lecz niestety nie widziała żadnej informacji na ten temat w miejscowej prasie czy w innych lokalnych środkach przekazu.

Powiedziała, że w jej rodzinie od dawna uważano, iż należy upamiętnić zamordowanych Żydów, pochowanych przy drodze wyjazdowej z miasteczka. Uważali, że to niegodne, by krowy załatwiała swoje potrzeby w tym miejscu.

Kontynuowałyśmy rozmowę i w pewnym momencie Ewa wspomniała polskiego poetę żydowskiego pochodzenia, Antoniego Słonimskiego oraz jego wiersz *Elegia miasteczek żydowskich* napisany w 1947 roku:

Nie masz już, nie masz w Polsce żydowskich miasteczek,
W Hrubieszowie, Karczewie, Brodach, Falenicy
Próżno byś szukał w oknach zapalonych świeczek,
I śpiewu nasłuchiwał z drewnianej bóżnicy.

Znikły resztki ostatnie, żydowskie łachmany,
Krew piaskiem przysypano, ślady uprzątnięto
I wapnem sinym czysto wybielono ściany
Jak po zarazie jakiejś lub na wielkie święto.

Ja nadal czułam rozczarowanie z powodu braku związku mamy z historią życia Romka. Już mi się zdawało, że zbliżyłam się do prawdy, a tu znowu upadek. Tuż przed rozstaniem z Ewą postanawiam przeprowadzić jeszcze jedną próbę i pytam ją:

– Czy jesteś pewna, że trzecia dziewczyna również pochodziła z Lubaczowa? Czy słyszałaś kiedyś imię Pepka?

Ewa wbiła we mnie ostre spojrzenie, nie rozumiejąc, dlaczego się tak upieram, by wyjaśnić, jak się nazywała trzecia Żydówka. Po dłuższym zastanowieniu uśmiechnęła się i powiedziała:

– Tak, tak, słyszałam. To była właśnie ta trzecia... To ona uratowała dziadka w czasie wojny. – Na chwilę zamilkła, po czym dodała: – Mój dziadek miał kilkumiesięcznego braciszka, który jej nie przetrwał z powodu zimna i głodu.

Ewa dostrzegła widocznie moje zwątpienie, gdyż powtórzyła poprzednie zdanie:

– Na pewno, proszę pani, słyszałam imię Pepka. Pepka była z dziadkiem także po tym, jak jego rodzice zginęli w czasie powstania warszawskiego.

Tłumacząc jej słowa na hebrajski, w pokoju zapadła cisza. Rozglądałam się wokół i próbuję zebrać wszystko, co usłyszałam. Po chwili Ewa ciągnie dalej:

– Niedaleko od naszego domu mieszka ciocia Zosia, która na pewno pamięta więcej. Możemy pójść do niej.

I znowu, zanim udało mi się uporządkować ostatnie wrażenia, wydarza się coś nowego. Dowiaduję się, że istnieje ciocia. W tym momencie nie kojarzę, czyja i jaki ma związek z Romkiem oraz Ewą.

Ponownie tłumaczę słowa Ewy. Opowiadam, że w pobliżu mieszka pewna kobieta – ciocia, która być może będzie mogła dodać jakieś szczegóły na temat Romka. I tak ruszamy za Ewą, czwórka dorosłych w poszukiwaniu następnego wątku.

Nie rozumiem na razie, jakie miejsce w piramidzie rodzinnej zajmuje ciocia Zosia. Wszystko oparte jest na „czyjś syn”, „czyjś brat”.

Oddaliłam się od postaci osieroconego dziecka, o którym słyszałam w domu. Opowieść nie miała dalszego ciągu. Mama odcięła się od przeszłości, od dziecka, od rodziny. Tylko tak mogła patrzeć w przyszłość.

Nie potrafiłam jednak w takim tempie przejść do innej sytuacji i wczuć się w postać dziecka jako ojca rodziny. Nie pasowało to do tego, co zapamiętałam.

Szliśmy skrajem szosy, wokół panowała cisza i tylko czasami mijał nas jakiś samochód. Przechodziliśmy koło domków z ogródkami, widzieliśmy, jak ich mieszkańcy pracowali na swoich grządkach. Na ulicy nie było nikogo. Czułam się dziwnie, krocząc za Ewą i nie mając w gruncie rzeczy pojęcia, dokąd nas prowadzi. Ciocia Romka... Jaki ona ma związek z moją matką?

Po kilkuminutowym marszu dotarliśmy do ogródka cioci Zosi. I znów powtarza się historia – grupa ludzi z Ewą na czele bez żadnego uprzedzenia staje przed furtką nieznanego domu. W ogródku nie ma nikogo. Wchodzimy po schodach i stukamy do drzwi.

Pamiętam, że znaleźliśmy się w pokoju gościnnym. Na stole był rozłożony obrus, a na nim mnóstwo ziół do suszenia. Pani domu patrzy na nas ze zdziwieniem. Kilka obcych osób w środku dnia. Zapewne jest to dla niej wydarzenie niecodzienne.

Ewa milczy, nie bardzo wiedząc, jak nas przedstawić. Czuję się zażenowana, lecz zdaję sobie sprawę, że to ja muszę uczynić pierwszy krok, aby przełamać lody. Zebrałam się na odwagę i zaczęłam:

– Jestem córką Pepki...

Powtórzyłam krótko parę danych należących jak gdyby do mojego dowodu tożsamości. W pokoju zapanowała cisza. Przyglądałam się cioci. Ona patrzy na mnie z lodowatym wyrazem twa-

rzy. Trudno mi odgadnąć, jakie myśli krążą w jej głowie. Zastanawiam się, co jeszcze powinnam powiedzieć, żeby mogła mnie sobie skójarzyć.

Po kilku minutach dostrzegam jednak pewną zmianę w jej spojrzeniu. Kobieta przeszywa mnie ostrym wzrokiem. Może zrobiłam błąd, zgadzając się przyjść tutaj bez uprzedzenia. Może trzeba było poprzestać na wizycie u wnuczki. Najchętniej zapadłabym się pod ziemię. Postanawiam jednak powiedzieć:

– Przepraszam, że panią niepokoję. Pytam o sprawy sprzed wielu lat, sprzed wojny... Może pani w ogóle nie poznała Pepki... Przepraszam.

Kobieta stoi naprzeciw mnie bez ruchu i nadal mi się przygląda. W jej spojrzeniu pojawia się jakiś ciepły przebłysk i wyciąga ręce w moim kierunku:

– Pepka... Oczywiście, że ją pamiętam. Mój ojciec pracował u Friedmana, w jego młynie. Friedman to był szlachetny człowiek, a jego żona zawsze przynosiła nam jedzenie, które gotowała w piątek wieczorem i w inne ich święta. Pamiętam, że ich dom był pełen gości. Nosili czarne palta i kapelusze.

Zaskoczył mnie potok wspomnień cioci Zosi. Z jednej strony bardzo życzliwie mówiła o mojej rodzinie, lecz jednocześnie wydawało mi się, że narasta w jej głosie żal do Pepki.

– Gdzie ona była do dzisiaj? – spytała Zosia, spoglądając mi bacznie w oczy. – Dlaczego nie kontaktowała się z nami? Dlaczego nie dała znać, co się z nią działo po wojnie? Przez tyle lat nie przyjeżdżała do nas. Jak to możliwe, że nie interesowała się Romkiem, który tak bardzo był do niej przywiązany. Przez całe życie chciał ją spotkać. Szukał jej. Niestety już umarł...

Ciocia Zosia zamilkła. Chciałam powiedzieć coś na temat postępowania mamy, lecz właściwie ja też nie znałam przyczyny jej wieloletniej rozłąki z Romkiem. Wszyscy milczeli.

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że tutaj, tysiące mil od domu, jest ktoś, kto czeka, aby rozległo się pukanie do jego drzwi, a w nich stanęła moja mama. Ktoś oprócz mnie, kto do niej tęskni. Nie potrafię określić tego, co czułam. Dumę? Radość? Powątpiewanie? A może wszystko razem.

Trudno mi uwierzyć w to, co mnie spotyka. Natykam się tutaj na zupełnie inną rzeczywistość niż ta, której się spodziewałam.

Zaniechałam opowiadania o trudnościach mamy w jej nowym życiu. Słuchałam Zosi, rozumiałam wybuch jej uczuć.

Byłam wzruszona moimi spotkaniami w miasteczku, lecz z drugiej strony myślałam o tym, że jest to pewna zdrada wobec mojej mamy. Zupełny mętlik w głowie.

Jednego tylko byłam pewna, po raz pierwszy mogę powiedzieć swoim dzieciom, że mam dla nich materiał do pisania pracy na temat rodzinnych korzeni. Materiał niezbyt obszerny, ale dla mnie stanowi bardzo wiele.

Zastanawiałam się nad tym, dlaczego mama całkowicie odcięła się od przeszłości i nawet Romkowi nie udało się odnaleźć jej śladów. Widocznie było to konieczne, by móc przetrwać i żyć dalej. Tylko ona zna odpowiedź.

W pewnym momencie ciocia Zosia opuściła wzrok i przepraszając, powiedziała, że musi się z nami rozstać, gdyż ma kolejkę do lekarza. Pożegnaliśmy się z nią i wróciliśmy do hotelu.

W drodze myślałam o tym, jak w bardzo krótkim czasie przebyłam szmat drogi pełnej niespodzianek. Opuściłam małego Romka z Warszawy, dotarłam do Romka-ojca z Lubaczowa, a potem dowiedziałam się o Romku-dziadku w Ameryce. Po drodze poznałam jeszcze członków jego rodziny.

Trudno mi uwierzyć, że znalazłam się w miejscach, o których w ogóle nie myślałam. Ale właściwie nie chciałam opuścić Rom-

ka-dziecka, którym mama kiedyś się zajmowała. Chciałabym zachować go w pamięci jako małe dziecko, jedyną osobę z jego rodziny w Warszawie, która pozostała przy życiu. Tak samo moja mama była jedyną ze swojej rodziny, która uratowała się podczas wojny.

Obecnie pojawiły się przede mną zupełnie nowe postacie, nie mam wpływu na rozwój wydarzeń. W mojej wyobraźni powstał obraz ludzi, jakby stojących u progu swoich domów i czekających na powrót Pepki, w Lubaczowie i w Stanach. Ona jednak nie przybyła. Znajdowała się na drugim końcu świata. Obolała i poniżona, pełna gniewu i rozczarowania z powodu zdrady osób, które uważała za swoich przyjaciół.

U wejścia do hotelu czekała na mnie Kasia, którą spotkałam wczoraj wieczorem. Przyszła razem z matką. Byłyśmy umówione, więc nie mogłam jej powiedzieć, że najbardziej chciałabym być teraz zupełnie sama, by uporać się z ostatnimi przeżyciami.

Usiadłyśmy przy stoliku w holu. Zmówiłam coś do picia oraz pierogi z kartoflami i smażoną cebulą. Bardzo kuszące danie. Zanim podano jedzenie matka Kasi zwróciła się do mnie poważnym tonem:

– Zawsze wierzyłam, że pojawi się ktoś, komu będę mogła zwierzyć się z tamtych ciężkich wydarzeń.

Poczułam, że wypełniam ważną misję i starałam się uważnie słuchać tego, co mi chce powiedzieć, tego co przez tyle lat tkwiło głęboko w jej sercu.

Szczególnie bolesne były dla niej wspomnienia babci, które przekazywała z pokolenia na pokolenie. Z wielkim bólem opowiadała ona o swoim pożegnaniu z żydowskimi koleżankami, o tym jak żołnierze SS prowadzili je środkiem szosy, trzymając w rękę broń gotową do strzału. Podobną opowieść już słyszałam w niedalekiej przeszłości. Była to tragiczna sytuacja, której nikt nie mógł zapomnieć.

W trakcie naszej rozmowy podchodzi do mnie właścicielka hotelu w towarzystwie mężczyzny. Przedstawia go i mówi, że mnie szukał. „Szukał mnie? – pomyślałam. – Przecież nikt mnie tu nie zna i nie wie, gdzie przebywam. Kogóż on naprawdę szuka?”

Spojrzałam na niego, był w garniturze i w krawacie. Zastanawiałam się, kto to może być, ale nic mi nie przychodziło do głowy. A może się pomylił?

Była to jeszcze jedna nieoczekiwana wizyta w mojej podróży w przeszłość. Za każdym razem, kiedy wydawało mi się, że już dotarłam na szczyt, okazywało się, że nadal wspinam się w górę.

Mężczyzna przedstawia się. Mówi, że przyjechał z sąsiedniego miasteczka, gdyż właśnie otrzymał telefon od Basi z Ameryki, która słyszała o moim pobycie w Lubaczowie i prosiła go, by mnie odszukał i natychmiast nas skontaktował.

Kim jest Basia? Od kogo dowiedziała się o mojej wizycie? Dlaczego mnie szuka?

Nie kojarzyłam tego, co mówił. Słyszałam ostatnio tyle imion i nazwisk, część z nich trudno było mi nawet wymówić. Nie pamiętałam, kto to jest Basia. W jaki sposób wiadomość dotarła w takim tempie za ocean, do Ameryki? Wychodzi na to, że tam też ktoś mnie szuka.

Jestem zupełnie rozkojarzona. Siedzę w holu z dwiema innymi kobietami, a obok stoi mężczyzna, który chłodnym głosem, jak gdyby od niechcenia, opowiada o dopiero co odebranym telefonie z Ameryki. Kiedy obserwuję go, zastanawiając się, o co go zapytać, zaczyna wybierać numer na swoim telefonie. Zachowuje się spokojnie i nie zwraca uwagi na moje zmieszanie. Naciskając klawisze, zwraca się do mnie:

– Ewa, wnuczka Romka, u której była pani dziś rano, zadzwoniła do swojej babci Basi w Ameryce i opowiedziała jej o pani wizycie. W związku z tym Basia zwróciła się do mnie.

Po chwili podaje mi telefon i mówi, że Basia chce ze mną rozmawiać. Nie mogłam wydobyć z siebie słowa z przejęcia. W telefonie zadzwijał kobiecy głos:

– Witam panią, słyszałam od mojej wnuczki o pani przyjeździe i gniewałam się na nią, że od razu nas nie skontaktowała. Zwróciłam się więc do przyjaciela z prośbą, by nawiązał z panią kontakt. – Zanim zdążyłam odpowiedzieć, ciągnęła dalej: – Gdzie się Pepka podziewała przez te wszystkie lata? Mój mąż całe życie tęsknił za nią i chciał ją zobaczyć. Była dla niego tak ważną osobą, zastąpiła mu rodziców, którzy odeszli w czasie wojny. A po wojnie również ona zniknęła.

Zupełnie niedawno słyszałam podobne słowa z ust cioci Zosi. Wszystko działo się z taką szybkością, nie nadążałam za zachodzącymi wydarzeniami.

Po chwili Basia dodała:

– Pepka została z Romkiem i z jego malutkim, dziesięciomiesięcznym bratem. Pewnego ranka, kiedy wybuchło powstanie, ich rodzice, którzy należeli do podziemia, wyszli z domu i nie wrócili. Do dzisiaj nie wiadomo, co się z nimi stało.

Prawdę mówiąc, nie wszystko rozumiałam. Jakie powstanie, jakie podziemie... Zgubiłam się w potoku nieznanych mi wiadomości. Wiedziałam jednak, że muszę zdobyć jak najwięcej informacji, ze wszystkich możliwych źródeł, gdyż dotyczą one mojej mamy.

Wzięła więc na siebie odpowiedzialność za dwoje małych dzieci. W tak ciężkich warunkach. Kiedy sama nie miała jeszcze dwudziestu lat.

Basia, nie widząc mnie, kontynuowała swoją opowieść płynnie, jak gdyby słowa tkwiły głęboko w niej i tylko czekały, by wydostać się na zewnątrz:

– Młodszy brat Artur umarł z głodu na rękach Pepki, nie miała dla niego jedzenia. Pochowała go na podwórku przy domu,

a potem pokazała miejsce Romkowi i przykazała mu pamiętać, że tam pochowany jest jego braciszek i żeby powiedział to swojej rodzinie.

Wszystko opowiadała jednym tchem, podczas naszej pierwszej rozmowy telefonicznej. Nie przerywałam. Rozumiałam wzburzenie żony Romka, lecz jednocześnie myślałam o mamie, o tym jak ciężkie chwile przeżyła, musząc podejmować tak trudne decyzje. Była taka młoda, nie miała u kogo zasięgnąć rady, sama stawiała czoła otaczającym ją niebezpieczeństwom.

– I rzeczywiście, po wojnie – dodała Basia – kiedy Romek wracał ze swoim dziadkiem do miasteczka, pojechali do domu w Warszawie i chłopiec pokazał mu, gdzie pochowany jest Artur.

Byłam zaszokowana. Czułam, że dotarłam do najważniejszego momentu historii życia mojej mamy. Polegałam na niej i wiedziałam, że działała zgodnie ze swoim sumieniem i starała się jak najlepiej uczynić to, co mogła w danych sytuacjach.

Przez całą rozmowę Basia pochłonięta była opowiadaniem o Romku. Nie pytała właściwie o moją matkę, o jej los po wojnie. Padały jedynie pytania retoryczne.

Jeśli podczas wizyty w zeszłym roku w Lubaczowie – małym miasteczku na wschodzie Polski – wydawało mi się, że usłyszałam wszystko na temat mamy, to teraz zrozumiałam, co było dla niej najważniejszym wydarzeniem podczas wojny.

Dowiedziałam się jeszcze od Basi, iż raz lub dwa zatrzymano mamę, podejrzewając, że jest Żydówką i ojciec Romka wykupił ją za znaczną sumę pieniędzy.

Słuchałam jej z dużą uwagą. Co ja mam teraz powiedzieć? Spytałam, czy bywa w Lubaczowie. Odpowiedziała, że ma w Lubaczowie matkę i zamierza ją odwiedzić w tym roku.

Rozmowa urwała się. Mężczyzna odszedł. Scena dobiegła końca.

Naprzeciw mnie siedzą dwie kobiety, które powracają do swoich wspomnień. Przeskakują z tematu na temat. Nie dostrzegły wagi tego, co się przed chwilą wydarzyło.

W wyniku rozmowy z Basią, a właściwie jej monologu, poczułam większe zbliżenie z matką, bardziej zrozumiałam jej ból z powodu rozstania z dzieckiem, do którego była tak bardzo przywiązana. Zrozumiałam jej wielkie przygnębienie w późniejszym życiu.

Następnego ranka pojechaliśmy na grób Romka, pożegnać się z nim i złożyć kwiaty.

Wracając do hotelu, przechodziliśmy koło domu cioci Zosi, lecz nie miałam odwagi do niej wejść. Obawiałam się, że nie byłaby zainteresowana ponownie się z nami spotkać. Akurat karmiła kury na podwórku. Pomachałam jej ręką na powitanie i ku mojemu zdziwieniu zaprosiła nas do siebie.

Usiedliśmy przy stole. Popatrzyła mi w oczy, po czym opuściła głowę i powiedziała:

– Chcę, żeby pani wiedziała, że wczoraj nie miałam kolejki do lekarza, jak powiedziałam... Było mi ciężko poradzić sobie ze wspomnieniami i czułam, że muszę przerwać... Przeraziłam się, że mogę za dużo powiedzieć. – Ponownie popatrzyła na mnie i kontynuowała: – Mój ojciec, dziadek Romka, przywiózł Pepkę do Warszawy. Powiedział mi i powtórzył to kilka razy, żebym nikomu nie opowiadała tego, co słyszę i widzę w domu... Wczoraj, kiedy niespodziewanie przyszliście do mnie, po raz pierwszy prawie zaczęłam o tym mówić. I wtedy przypominałam sobie słowa mojego drogiego ojca i poczułam, że to wbrew jego woli. I przestraszyłam się samej siebie.

Dostrzegłam pewne podobieństwo między tym, co powiedziała Zosia, a moim poczuciem zdrady wobec mamy, kiedy postanowiłam pojechać do miasteczka, co było w dużej mierze wbrew jej życzeniu.

Zrozumiałam ją i spytałam, czy woli, żebyśmy sobie poszli. Wydało mi się jednak, że Zosia gotowa jest mówić dalej, po czym otworzyła się i usłyszałam:

– Nie. Chcę wam jeszcze coś opowiedzieć... – Spojrzała na mnie, jak gdyby szukając wsparcia i ciągnęła dalej: – Chcę, żeby pani wiedziała, że rodzice Pepki i reszta rodziny ukrywali się w spichlerzu koło studni, blisko naszego domu. Moja matka chodziła jakby po wodę do studni, a na dnie wiader kładła jedzenie dla nich. Rozglądała się naokoło, czy nie ma jakiegoś niebezpieczeństwa i jeśli niczego nie dostrzegła, opuszczała jedzenie do studni. Pierwszy raz komuś o tym opowiadałam...

Widziałam we wzroku cioci Zosi, że nadal tkwi w niej cień niepewności, czy słusznie robi, zwierając mi się. Dobrze pamiętała, jak ojciec mówił w domu o karze śmierci grożącej za ratowanie Żydów. Mimo to postanowił pomóc rodzinie Pepki.

Opowieść Zosi była wstrząsająca.

Ciocia Zosia poczęstowała nas naleśnikami z serem. Bardzo mi smakowały.

– Teraz rozumiem, skąd pochodzą naleśniki mojej mamy – powiedziała z zachwytem. – Mają ten sam smak.

Naleśniki z serem stały się jakby pomostem między nami. Delektuję się nimi i rozmyślam o tym, że oto niespodziewanie znalazłam się po raz drugi w Lubaczowie i poznałam wielu nowych ludzi, wśród nich takich, którzy bardzo dużo uczynili dla mojej rodziny.

Pozostała tylko jedna osoba, która bardzo mnie ciekawiła, lecz jeszcze jej nie spotkałam – malarz z Krakowa, Marian Kopf.

Jesień 2008, Lubaczów

Znów szykuję się do wyjazdu do Lubaczowa. Jego głównym celem jest spotkanie z Basią.

Czuję, jakbym znajdowała się wewnątrz jakiejś historii, która dyktuje mi postępowanie według rozwoju wydarzeń. Przeszłość jakby przybrała samodzielne oblicze i zajęła centralne miejsce w moim teraźniejszym życiu.

Przyjechałam z synem do Warszawy wczesnym rankiem, pogoda była deszczowa. Od razu udajemy się w drogę do Lubaczowa. Czekają tam na nas ciocie Zosia i Basia.

Przybyliśmy do hotelu późnym wieczorem. Właścicielka przygotowała nam wspianą kolację. Usiedliśmy do stołu i w czasie posiłku zadzwoniłam do Basi, by zawiadomić ją, że dopiero co przyjechalśmy, więc ze względu na późną godzinę przyjdziemy do niej jutro rano. Czułam w jej głosie duże rozczarowanie, gdyż obie z ciocią czekały na nas cały dzień.

Następnego rana zaprosiłam na śniadanie do hotelu naszego przyjaciela Zygmunta i ucieszyłam się, że zgodził się przyjść. Po posiłku udaliśmy się do domu Sikorskiego.

Niepokoiliam się nieco spotkaniem z Basią. Już podczas wstępnej rozmowy wyczuwałam jej wielki żal w stosunku do mamy z powodu jej zniknięcia z życia Romka. Postanowiłam wysłuchać

wszystkiego, co ma mi do powiedzenia i nie próbować niczego tłumaczyć. I znowu myśl: „Może byłoby lepiej, gdybym zaniechała tego spotkania i nie starała się wyjaśniać sprawy do końca”.

Zjeżdżamy już w dół ulicy, kiedy dostrzegam biały parasol, a pod nim dwie kobiety, które stoją na deszczu i śledzą w napięciu za każdym przejeżdżającym samochodem, próbując dojrzeć, kto siedzi w środku.

A w domu, jak to w polskim domu, stół zastawiony mnóstwem przysmaków, włączając różne rodzaje mięsa, duszone grzyby i inne wyszukane potrawy. Widząc, że wahamy się co do wyboru dania, Basia podkreśliła, że nie ma na stole wieprzowiny. Pamiętała, jak jej mąż Romek mówił, że Żydzi nie jedzą tego mięsa.

Ciocia Zosia długo przyglądała się mojemu synowi, po czym powiedziała:

– Pani syn jest tak bardzo podobny do Pepki, taka sama ciemna cera, ciemne włosy i brązowe oczy.

I to prawda. Ale wzruszyło mnie, że po upływie siedemdziesięciu lat, ciocia Zosia tak dobrze pamięta wygląd mojej mamy.

Zjechaliśmy się tu z różnych krańców świata. Tylko główni bohaterowie byli nieobecni. Basia reprezentuje polską stronę, moją matkę zna tylko z opowiadań. A ja stronę żydowską i Romka poznałam również wyłącznie z opowieści osób spotkanych w Lubaczowie. Tylko ciocia Zosia знаła i ją, i jego.

Basia przyniosła rodzinny album – ten sam, który oglądałam wcześniej z Ewą i przebiegałyśmy po stronicach życia Romka.

Popijałyśmy herbatę podaną w ozdobnych filiżankach ze starej porcelany i jadłyśmy smaczne drożdżowe ciasteczka. Zanim zdążyłam powiedzieć słowo, Basia znowu obrzuciła mnie pytaniami:

– Dlaczego Pepka zostawiła Romka? Gdzie się podziała? – usłyszałam dokładnie te same słowa, co przez telefon.

Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego Basia mówi, że mama zostawiła Romka. Przecież uratowała go od śmierci, a później oddała w ręce rodziny. Zrobiło mi się przykro, lecz nie odezwałam się. Basia dodała:

– Takie wspaniałe stosunki utworzyły się między nimi.

Basia wiedziała dużo więcej ode mnie. Ja nie znałam wprawdzie żadnych faktów, lecz byłam przekonana, że mama kierowała się dobrem dziecka. Zrozumiałam jednak, że nigdy nie dowiem się, co tam się naprawdę wydarzyło. Mama nikomu nie wyjawiała swojej tajemnicy.

Po krótkim milczeniu ciocia Zosia dołała mnie i Basi herbaty, po czym Basia zaczęła opowiadać, jak Pepka opiekowała się Romkiem i jego malutkim braciszkiem Arturem. O tym, że Artur zmarł z głodu na jej rękach, a ona pochowała go koło domu.

Widziałam, że mój syn wyczuwa panujące w pokoju napięcie. Przetłumaczyłam mu, o czym jest mowa.

Słucham bolesnej opowieści Basi i przebiega mi w głowie myśl: „Gdzie mama mieszkała w Warszawie?”

– Czy zna pani adres Sikorskich? – zwróciłam się do niej po krótkim milczeniu.

– Oczywiście, że znam. Mieszkali na Woli, na ulicy Wolskiej 66. Nie wierzyłam temu, co słyszę.

– Tak, to jest ten adres – potwierdza Basia. – Byłam tam z Romkiem. Dokładnie pamiętał miejsce. Pokazał mi też, gdzie znajdował się sklep jego rodziców. Blisko domu. A kiedy stanęliśmy na progu domu, opowiedział mi, że był tam z dziadkiem już po wojnie i w piwnicy znalazł posrebrzany kubek, który dostał od Pepki. Kubek ten towarzyszył mu w przez wiele lat. Miał do niego wielki sentyment.

Tak bardzo chciałam zdobyć ten adres. Pojadę do Warszawy, znając dokładne miejsce, gdzie ukrywała się mama. Jednocześnie

waham się, czy to w porządku wobec niej, dociekać ukrywanej przez nią sprawy.

Wyjaśniam synowi przebieg wydarzeń i mówię, iż być może jeszcze dzisiaj wieczorem wyruszymy w drogę do Warszawy.

Rozstaliśmy się z ciocią Zosią i z Basią, która przy pożegnaniu wyraziła chęć wyswatania mojego syna ze swoją wnuczką Ewą i zaprosiła go w odwiedziny do Ameryki.

Przed wyjazdem z Lubaczowa postanowiliśmy wstąpić do Teresy Szyszkiewicz, która w czasie poprzedniego spotkania opowiedziała nam wiele ciekawych rzeczy o rodzinie i w ogóle o Żydach.

Zjawiliśmy się u niej koło godziny trzeciej po południu. Na podwórku jak zwykle gęgały gęsi i szczekał pies. Pani Teresa przyjęła nas z radością:

– Proszę, wejdźcie, bardzo chciałam was znowu spotkać.

Jej domek był zadbane z zewnątrz. W środku zaś wyglądał, jakby od siedemdziesięciu lat nic w nim nie zmieniano. Stare meble na wysoki połysk, a na nich koty. W kuchni jakby te same naczynia, które były tam kiedyś. I koty na piecyku. Dom ze szczególną atmosferą. Na ścianie w pokoju gościnnym wisiał obraz Piłsudskiego na koniu. Stałam naprzeciwko niego, przyglądając się z zaciekawieniem.

– Piłsudski uczynił wiele dla Polski, a miał tylko konia. Szkoda, że zmarł... – pani Teresa spojrzała na mnie dumna z przywódcy, po czym spytała: – Jak go pani rozpoznała?

– Czytałam o nim w książkach historycznych. Jest znaną postacią ze względu na jego politykę gospodarczą, a także na pozytywny stosunek do mniejszości narodowych.

– Wiem, że zwalczał wystąpienia przeciw Żydom – dodała pani Teresa. – Wszyscy obywatele go poważali, także Żydzi. U przewodniczącego gminy żydowskiej w Warszawie wisiał jego portret. Podobno dobrze wam było za jego czasów. A kiedy umarł, modlili się za niego ludzie różnych wyznań.

Usiedliśmy przy stole w gościnnym pokoju. Pani Teresa długo mi się przyglądała, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Przyjemnie powspominać z panią o czasach młodości i życiu, jakie tu było – powiedziała. – Pamiętam Łońka, brata Pepki, jak przychodził na nasze podwórko, mieszkaliśmy przecież w sąsiedztwie. Zrywał gruszki z naszego drzewa. Mój ojciec pracował w młynie. Byliśmy wszyscy w bardzo dobrych stosunkach. Ja bawiłam się z Pepką i z Minką w chowanego. A... Friedmanowie mieli też krowy. – Po chwili dodała: – Było mi bardzo żal Łońka. Dobry chłopiec...

Opowiedziała też o pewnym Żydzie, który, zobaczywszy Niemców, próbował uciec od ich szponów i ukryć się w sąsiedniej studni. Ścigał go Tadeusz Reichsberg, o którym już słyszałam, a także jakiś Ukrainiec. Chcąc się uratować, wskoczył do studni o głębokości dwunastu metrów. Przeżył i ojciec pani Teresy chciał podejść bliżej, aby pomóc mu się stamtąd wydostać, lecz jej matka złapała go za koszulę i zatrzymała, bojąc się, że Reichsberg zastrzeli i jego, i całą rodzinę. Reichsberg i jego towarzysz wyciągnęli tego Żyda ze studni, znęcali się nad nim, a potem zastrzelili.

Spytałam ją o rodziców mamy. Powiedziała, że z tego co jej wiadomo, zostali zabrani do Dachnowa. Pani Teresa też słyszała opowieść o tym, jak ojciec został postrzelony przez Niemców i upadł, a jakiś polski chłop próbował ściągnąć mu kamasze z nóg, myśląc, że jest martwy. Ojciec zaczął krzyczeć, że żyje i będzie potrzebował butów, jak wróci do miasteczka. Chłop przestraszył się i uciekł, zostawiając mu kamasze na nogach. Ojciec podobno

rzeczywiście wrócił do miasteczka, ale już nie miał dokąd iść. Nie było już nikogo z rodziny. Udał się w stronę komendy, a tam go złapali i zastrzelili.

Teresa Szyszkiewicz jeszcze raz opowiedziała, jak moja matka przyjechała do Lubaczowa, do pustego domu, już po zakończeniu wojny. Była bez Romka, lecz podała jego dziadkowi adres, gdzie obecnie znajdował się chłopiec. Podobno był to u dwóch kobiet, u których Pepka pracowała pod koniec wojny i one nie zgodziły się, żeby go zabrała ze sobą. Dziadek załatwił Romkowi dokumenty i pojechał pod wskazany adres, by go odebrać.

W tym momencie zaczęłam pomału rozumieć, dlaczego mama pozostawiła Romka u jakichś kobiet. Być może domyślały się, że Romek nie jest jej dzieckiem, gdyż jest zbyt młoda jak na matkę czterolatka, a poza tym nie miała żadnych jego dokumentów. Może myślały, że dziecko zostało porwane i nie wiadomo, co Pepka chce z nim teraz zrobić.

Rozstanie z Romkiem, z którym przebywała od jego urodzenia, na pewno stanowiło jeden z najcięższych momentów w życiu mamy.

Po chwili milczenia spytałam panią Teresę, czy pamięta coś jeszcze o Żydach w miasteczku, jakie były stosunki między nimi. Odpowiedziała, że koło młyna mieszkali tylko trzy żydowskie rodziny, a większość na rynku i zajmowała się handlem. Miała koleżankę z klasy, która nie przychodziła do szkoły w soboty i w powrotnej drodze do domu pani Teresa przynosiła jej materiał z lekcji. Koleżanka czekała na nią przy wejściu do domu. Pani Teresa przekazywała jej wszystko i szła dalej.

Pamiętała też, że w piątki po południu między sklepami chodził Żyd i przypominał właścicielom o tym, że zaczyna się szabat i trzeba zamknąć interes. A w sobotę wieczorem – tu okazała zdziwienie – Żydzi z powrotem otwierali sklepy. Spytała mnie, dlaczego tak robili.

Próbowałam jej wytłumaczyć, że u Żydów doba rozpoczyna się poprzedniego wieczora wraz z pojawieniem się na niebie pierwszych trzech gwiazd. Dlatego początek szabatu (soboty) jest już w piątek wieczorem i według zasad religii w sobotę Żydzi nie pracują.

Potem przypomniła sobie jeszcze święto, kiedy Żydzi przebierali się i nosili maski na twarzy.

– Wychodzili do miasta z grzechotką w rękę, a my za nimi też z grzechotkami. – pani Teresa uśmiechnęła się i wstała, aby mi zademonstrować, jak to wyglądało. – Hałasowaliśmy całą drogę i krzyczeliśmy „Niech będzie przeklęty Haman! Niech będzie przeklęty Haman!” – Po chwili zaś spytała poważnie: – Czy był taki człowiek, który się nazywał Haman? Jeśli tak, to kto to jest?

Po raz pierwszy się roześmiałam.

– A kiedy wracaliśmy z miasta, matka Pepki rozdawała trójkątne ciasteczka nadziewane czekoladą – dodała pani Teresa.

Od razu skojarzyłam, że ma na myśli uszy Hamana. Cała sytuacja wyglądała jak scena z żydowskiego spektaklu.

Siedziałyśmy, patrząc na siebie. W jej spojrzeniu był jakiś niepokój. Wydawało mi się, że obawia się mówić otwarcie na temat ciężkiego okresu wojennego, ciężkiego dla niej i dla Żydów. Poprosiłam, żeby mi zaufała.

– Nigdy, nikomu tego nie opowiadałam. Dobrze, że mam okazję z panią rozmawiać. Otóż pewnego dnia zobaczyłam matkę Pepki idącą pod rękę z jej ciocią Hildą, tu po ścieżce koło młyna. Na szyi miała futrzany szal z głową lisa.

Przypomniało mi się, że matka miała coś takiego w szafie i za każdym razem, kiedy wysuwało się na zewnątrz, podskakiwałam ze strachu z krzykiem.

– Piękny szal, takie miały tylko zamożne kobiety – ciągnęła dalej pani Teresa. – Naprzeciw nim szła Mariola, dziewczyna, która

mieszkała w sąsiedztwie i była dobrą koleżanką Pepki. Spojrzała na szal i od razu się nim zachwyciła. Podeszła bliżej, naskoczyła na matkę, zerwała go z niej i uciekła. Pamiętam to dobrze. Jakby się wydarzyło wczoraj. Matka Pepki i ciocia były zupełnie zaskoczone.

W oczach pani Teresy ujrzałam łzy. Odniosłam jednak wrażenie, iż poczuła ulgę, mogąc mi to wyjawzić. Spytałam, czy może mi coś powiedzieć na temat Marioli.

– Niewiele pamiętam. Wiem tylko, że wyszła za mąż za volks-deutscha Reichsberga i zaraz po wojnie, nie pamiętam dokładnie kiedy, uciekli do Ameryki. Stamtąd jej ojciec pisał listy do mojego, ale on mu nie odpowiedział. Mój ojciec potępiał ich postępowanie i nie chciał mieć z nimi żadnego kontaktu.

Pomału zapadał wieczór. Wstaliśmy, aby pożegnać się z gospodynią. Wówczas ona przypomniała sobie jeszcze coś:

– Na wiosnę było święto, z okazji którego wypiekano w młynie specjalny cienki chleb. Miał on prostokątny kształt i było w nim dużo malutkich dziurek. Kilka dni przed świętem, zanim rozpoczęli wypiek chleba, przychodził do młyna miejscowy rabin ubrany w swój tradycyjny strój. Towarzyszyło mu kilku Żydów. Świecili oni teren, gdzie miano piec ten chleb. – pani Teresa waha się przez chwilę, po czym oznajmia zwycięskim tonem, że chleb nazywał się maca. – Była też okrągła, którą piekli pierwszą i kładli z boku, być może trzymali ją na przyszły rok. Na teren, gdzie przygotowywali macę, pracownikom, którzy nie byli Żydami, nie pozwalano wchodzić przez cały tydzień tygodnia. – Pani Teresa spogląda na mnie i dodaje: – W świąteczny wieczór przychodził do nich do domu lubaczowski rabin, a wraz z nim liczni goście. My, dzieci, dostawałyśmy wtedy macę. Bardzo ją lubiliśmy i czekaliśmy przez cały rok na to święto.

Spotkanie z panią Teresą było dla nas pasjonujące, słuchaliśmy wspomnień związanych z tradycją żydowską, której tak bar-

dzo przestrzegano tam, nad brzegiem rzeki, a która została zniszczona. Zniknął cały niezwykle świat.

Po rozstaniu z panią Szyszkiewicz rozpoczęliśmy przygotowania do wyjazdu do Warszawy, a potem do Izraela.

Spotkanie z Marianem Kopfem

Po tym, jak przebyłam już szmat drogi, udaję się do Polski ponownie, lecz obecnie zamierzam być daleko od miasteczka, daleko od rodzinnej opowieści.

Wyruszamy do Krakowa. Po raz pierwszy, po upływie wielu miesięcy jadę do Polski z uczuciem radości. Cieszę się na myśl o spotkaniu z malarzem Marianem Kopfem. Samo zdobycie numeru jego telefonu stanowiło niełatwą sprawę.

Jak tylko przybyliśmy na Dworzec Główny, zatelefonowałam do niego, by upewnić się co do zaplanowanego spotkania. Niepokoiłam się, że mogły zajść jakieś zmiany lub zapomniał, lecz on doskonale pamiętał naszą rozmowę i powtórnie zaprosił nas do siebie.

Następnego dnia, w sobotę, o zaplanowanej godzinie wzięliśmy taksówkę i pojechaliśmy do jego domu. Okazało się, że mieszka w śródmieściu i nawet niedaleko hotelu, w którym się zatrzymaliśmy. Na ogół mam tendencję spóźniać się na spotkania, lecz tym razem przyjechałam przed czasem. Pokręciliśmy się trochę po okolicy w oczekiwaniu na wyznaczoną godzinę.

Stanęliśmy u wejściowych drzwi domu, nacisnęłam na dzwonek. Po chwili rozległ się w domofonie męski głos i zaprosił nas wejść na czwarte piętro. Piętra były wysokie, bez windy. Wchodzimy powoli

po schodach, a ja próbuję sobie wyobrazić Mariana Kopfa stojącego i oczekującego nas u drzwi.

Nieco zdyszani dotarliśmy na czwarte piętro, a tam wszystkie drzwi pozamykane. Stanęliśmy naprzeciw tych, na których widniało nazwisko malarza. Uchyliły się i w progu stanął wysoki, eleganci mężczyzna. Zauważyłam, że nosił okulary w grubej, ciemnej oprawce. Przez chwilę uważnie nam się przyglądał, po czym poprosił, abyśmy weszli do środka. Malarz przyjął nas z polską elegancją, całując mnie w rękę. Obok stała jego żona, kobieta dystygnowana, włosy miała spięte do tyłu. Zaprosiła nas do pokoju gościnnego.

Moją uwagę od razu przykuł fortepian gospodyni będącej pianistką. Stał w rogu pokoju i swoją obecnością stwarzał w całym domu dostojną atmosferę.

Oczywiście ogromne wrażenie robią liczne, rozwieszone na ścianach obrazy Kopfa. A ja, zgodnie z jego prośbą, podarowałam mu albumy z izraelskim malarstwem. Malarz zaprasza mnie bym usiadła na określonym krześle, jakby z góry przeznaczonym dla mnie. Sam siada naprzeciw, w milczeniu bierze mnie za rękę i opuszcza wzrok. Jego żona stoi oparta o fortepian. Wszyscy milczymy.

Czułam pewne napięcie w powietrzu, nie wiedziałam, jak z tego wybrnąć, jaka powinna być tu moja rola. Ja również opuściłam wzrok.

Marian pierwszy przerywa milczenie i spoglądając na mnie, zaczyna cichym głosem opowiadać:

– Mieszkaliśmy w domu dziadka i babci w pobliżu rynku, w centrum miasta. Wielu naszych sąsiadów było Żydami, a ich dzieci były moimi najlepszymi kolegami. Więcej, większość sklepów na rynku należało do Żydów.

Z brązowej teczki leżącej na stole Marian wyciąga rysunek, który przedstawia miejsce, gdzie znajduje się jego dom. Ponadto widnieją tam nazwiska sąsiadów Żydów.

W teczce znajdowały się także jego oryginalne rysunki synagogi i Żydów idących się modlić oraz świecznika chanukowego, a przy nim Żyda owiniętego w *tales** w trakcie modlitwy.

W pokoju panowała nostalgiczna, intymna atmosfera i odczuwałam, jakbym płynęła rzeką przeciw jej nurtowi, ku źródłom.

Po chwili zamyślenia malarz ciągnął:

– Latem miasteczko tonęło w zieleni i kwitły kwiaty w ogrodach oraz na okolicznych polach. Zimą wszystko było pokryte śniegiem. Główny środek lokomocji publicznej stanowiły bryczki zaprzężone w konie.

Marian namalował pastoralny obraz przedwojennego miasteczka podczas świąt żydowskich. Odniosłam wrażenie, że święta żydowskie traktował jako część życia reszty społeczności.

Liczne rysunki Kopfa zawierające motywy żydowskie stanowiły dowód istnienia Żydów w miasteczku i ich wpływu na tamtejsze sprawy. W pewnej chwili malarz wskazuje na rysunek Wielkiej Synagogi, budowli o kształcie twierdzy, która miała chronić Żydów przed wszelkimi niebezpieczeństwami.

Siedziałam naprzeciw niego, słuchając opowieści brzmiącej jak pasjonujący scenariusz napisany przez kogoś, kto z sympatią obserwował wszystko z boku i odtwarzał życie Żydów gdzieś tam w miasteczku zapomnianym przez Boga, zanim zostali zgładzeni.

Przypomniało mi się, że widziałam rysunek Mariana, który przedstawia rynek jesienią w okresie poprzedzającym Jom Kipur, zwanym świętami przeprosin. Według tradycji żydowskiej były to dni skruchy i błagań o odpuszczenie grzechów. Na rysunku widoczny jest brodaty Żyd w kapeluszu na głowie i z laską w rękę, przechodzący o świcie między żydowskimi domami.

* *Tales* – używany podczas modlitwy szal w czarne i białe pasy.

Słyszałam już o zwyczaju, że religijny Żyd pukał do drzwi żydowskich domów, a po kilku chwilach z każdego wychodził mężczyzna cały ubrany na czarno, w czarnym kapeluszu lub w futrzanej czapie na głowie. Pod pachą trzymał czarną księgę modlitw. Tak kroczył w kierunku synagogi. Wkrótce potem koło synagogi zbierał się tłum ubranych na czarno.

– Widziałem morze czarnych kapeluszy – powiedział malarz z uśmiechem.

Później oglądaliśmy inny jego rysunek, który przedstawia radosny nastrój Żydów podczas zabawy z okazji święta Purim, kiedy przebierają się i noszą maski. Zbierają się razem, weselą, krzyczą i nawet piją. Tu też byli tylko mężczyźni.

Kopf z dokładnością i dużą wrażliwością ukazuje atmosferę żydowskich świąt w miasteczku. Przenieśliśmy się razem z nim w odległe dni, poczułam się blisko domu mojej mamy.

Malarz dalej ciągnie wspomnienia z dzieciństwa i w pewnym momencie z teje teczki z pracami wyciąga arkusz pożółkłego już, wytartego papieru, a na nim widnieją wyrysowane z wielką dokładnością wszystkie dwadzieścia dwie hebrajskie litery. Pod niektórymi zapisana jest ich wymowa. Marian zapewne poznał je dzięki swoim kolegom i sąsiadom. Kartki tej strzeże od czasów młodości. Zdumiewające, jak udało mu się uczynić to w przeciągu siedemdziesięciu lat. Obecnie ze wzruszeniem przekazuje ją mnie. Był to pierwszy osobisty dokument kogoś z miasteczka, jaki trzymałam w ręku. Coś prawdziwego. Niezwykła dla mnie okazja, by dołączyć go do moich skarbów.

W pokoju ponownie zapanowała cisza. Czułam jednak, iż wielu ważnych rzeczy jeszcze nie poruszył.

Podczas gdy ja oglądałam rysunki, Marian z opuszczoną głową przeniósł się w swoich wspomnieniach do okresu wojny i zaczął

opowiadać o pierwszej napaści hitlerowców na Lubaczów jesienią 1939 roku.

Pamiętam, że powiedział, iż nigdy nie zapomni tego, co się stało z Żydami, a w szczególności z jego przyjaciółmi. Z bólem wspominał wydarzenie, które miało miejsce w Jom Kippur. Otóż jak co roku Żydzi zebrali się na modlitwy w synagodze. Wtedy wydarzyła się jednak wielka tragedia.

Marian, stojąc przy oknie w swoim pokoju, ujrzał czerwoną łunę na niebie. Ludzie w miasteczku mówili, że to hitlerowcy spalili Wielką Synagogę. Na ulicy w jej pobliżu walały się święte księgi oraz wyrwane z nich pojedyncze strony. Marian postanowił je uratować.

Potajemnie wyszedł z domu, żeby matka nie zauważyła. Uczynił to, wiedząc, iż grozi mu śmierć. Jeżeli by go złapali, zostałby zabity. Udał się w kierunku synagogi i zaczął je zbierać. Okazało się, że przechowuje te kartki do dzisiaj.

Opowieść ta zrobiła na mnie wrażenie fantastycznej. Ryzykować życiem dla ocalenia żydowskich pism świętych...

W pewnym momencie Kopf wyjął z brązowej teczki dużą kopertę, położył ją na stole i powiedział:

– Proszę, niech pani zobaczy, co jest w środku.

Trzymałam kopertę i przyglądałam się jej. Po chwili, pełna obawy i ciekawości, wyjęłam z niej trzy kartki *Gemary* (część Talmudu). Były one bardzo dobrze zachowane.

Przekazuję je pani na przechowanie – dodał szeptem.

W pokoju ponownie zapanowała cisza. Patrzyłam na niego zaskoczona i wzruszona. Otrzymałam autentyczny dokument dotyczący żydostwa w miasteczku.

Malarz wspomniał jeszcze jedną sytuację, której nigdy w życiu nie zapomni – Kobieta, Żydówka, wychudzona i przygarbiona,

przyszła do nich do domu, prosząc o pomoc, lecz matka bała się o swoją rodzinę, szczególnie ze względu na to, że mieszkali w centrum. Ograniczyła się więc do tego, żeby dać jej jedzenie na drogę. Marianowi krajało się serce, lecz był bezradny. Dobrze rozumiałam jego uczucia. Jego ból i bezradność.

Patrzę na autentyczne strony *Gemary* i trudno mi uwierzyć, że należą teraz do mnie. Zwracam się do Mariana i pytam, czy jest pewien, że chce mi je podarować. Później przekazałam dokument do instytutu Yad Vashem.

Dalszy ciąg mojej rozmowy z Kopfem dotyczył okresu wojennego. Mówiliśmy o powstaniu getta w Lubaczowie, o ciasnocie, jaka tam panowała, o głodzie, cierpieniu i rozpaczcy mieszkających tam Żydów.

– Nigdy w życiu tego nie zapomnę – powiedział Marian, patrząc mi w oczy.

Chciałam jakoś rozładować napięcie, które zapanowało w pokoju i przenieść się wspomnieniami z okolicy rynku w inne miejsce. Spytałam Mariana o rzekę. Wtedy jego głos zmienił się. Zaczął opowiadać, jak w dzieciństwie bardzo lubił kąpać się w niej latem, bawić się z kolegami wśród drzew. Wszystkiego pół godziny pieszo od centrum miasta. Nie znał ludzi, którzy mieszkali na brzegu, ale pamiętał duży młyn służący też jako elektrownia i jego ważny wkład dla miasta.

Po chwili wyjął rysunek młyna i podał mi. Kiedy przyglądałam się mu z uwagą, wyjął też szkice tego rysunku i powiedział, że daje mi wszystko w prezencie.

Było to dla mnie niezwykle przeżycie. Do tej pory wiszą na ścianach mojego pokoju rysunki będące śladami przeszłości, w poszukiwaniu której wybrałam się w podróż.

Szabat w Warszawie

Stałam w obliczu nowego rozdziału życia mamy, którego początkiem okazał się skrawek papieru znajdujący się w kieszeni moich spodni, na którym figurował napisany odręcznie adres jej zamieszkania w czasie wojny.

Myśli o planach na ten dzień spędzały mi sen z powiek. Z samego rana zesłam do jadalni i z posrebrzanego, błyszczącego czajnika nalałam sobie kawy do ozdobnej filiżanki, a do tego wzięłam chrupiącego, ciepłego rogalika.

Najbardziej dręczyła mnie myśl, czy uda mi się dotrzeć do budynku znajdującego się pod adresem, który miałam. Adres po aryjskiej stronie miasta, gdzie matka ukrywała się w czasie wojny, gdzie – co najważniejsze – uratowano jej życie. O tym miejscu niewiele mówiła i nigdy nie napomknęła, gdzie się ono znajduje. Być może była na siebie zła, że przebywała daleko od rodziny, że nie dzieliła ich losu. Zastanawiam się nad siłą charakteru mamy, która zmusiła ją do milczenia. Była jak nieprzejrzysta bańka, do której nikomu nie udało się przedostać i nikt nie był w stanie spowodować jej pęknięcia. Także ja.

Wróciłam do pokoju hotelowego. Za szybą okna pokrytą parą roztacza się szary obraz miasta. Krople deszczu padają bez przerwy,

stare wagony tramwajowe przejeżdżające pod oknami hotelu skrzypią i robią dużo hałasu.

„Co by powiedziała mama?” – przelatuje mi w głowie myśl i przypomina, że udałam się w podróż bez jej błogosławieństwa, a nawet bez jej wiedzy. Czuję się, jakbym zakradała się do prawdziwej historii jej życia, nawiązując kontakty z wieloma ludźmi należącymi do minionych czasów. Jakbym bez zezwolenia zaglądała do jej prywatności. Pokusa rozwiązania tajemnicy miejsca jej pobytu w czasie wojny była jednak silniejsza niż kiedykolwiek.

Ruszamy w drogę. Szperam w kieszeni i wyciągam z niej kartkę, na której zapisałam adres. Długo mu się przyglądam. Trudno mi uwierzyć, że dzisiaj wykonam następny krok i po tym jak widziałam rodzinny dom matki, z którego uciekła, gdzie zginęła jej rodzina, uda mi się teraz zobaczyć miejsce, w którym ukrywała się w Warszawie.

Pytam recepcjonistę, jak dojechać na ulicę Wolską. Obserwuję twarz urzędnika i czekam na to, co powie. A nuż tutaj też zmieniono nazwy ulic. Mężczyzna nie mówi nic, tylko wyjmuję z szuflady mapę miasta, zaznacza na niej ulicę w stosunku do położenia naszego hotelu i dodaje, że musimy wsiąść do tramwaju numer osiem, jadącego w przeciwnym kierunku od centrum i wskazuje nam najbliższy przystanek, na który mamy się udać.

W tym momencie adres staje się czymś realnym. Ulica Wolska istnieje i jest nawet niedaleko od hotelu. Czekamy na tramwaj.

Ogarnia mnie jakieś uczucie smutku, w pamięci powracają wspomnienia o mamie z tamtego, tak ciężkiego dla niej okresu.

Tramwaj nadjeżdża, a my jesteśmy jedynymi na przystanku, którzy do niego wsiadają. W środku też nie ma nikogo. Co to może znaczyć? Siadam przy oknie i przysłuchuję się monotonnym odgłosom skrzypiących szyn. Deszcz nie przestaje padać. Patrę przez okno i widzę zamazany obraz ulicy. Przez chwilę wy-

daje mi się, że mama jedzie razem ze mną i szepcze mi do ucha po polsku, że miasto niezwykle się zmieniło, od kiedy uciekła stąd wraz z małym dzieckiem.

Wówczas były tu rozwaliska spalonych domów, a na ruchliwych ulicach mnóstwo przerażonych ludzi – starców, młodych, dzieci. Część z nich, obnażona do połowy, uciekała przed atakiem niemieckich żołnierzy, przeskakując przez poranione, leżące w kałużach krwi ciała. Dzisiaj pewnie by się zdziwiła, widząc, jak miasto zostało odbudowane. Pewnie by go nie poznała. Szosy i drogi odnowione, życie toczy się dalej. A ja bym ją spytała: „Jak się tu czułaś wtedy? Jak sobie radziłaś? Przyjechałaś z małego miasteczka do stolicy. To przecież taka wielka zmiana. Po raz pierwszy szłaś sama po ulicy, mając przy sobie sfałszowane papiery. W nowej tożsamości wyrzekałaś się swojej przeszłości i rodziny. O czym myślałaś w tamtych chwilach?”

Przyglądam się mamie i widzę, jak kładzie palec na ustach i szepcze do mnie: „Sza... Nie mów o tym, ktoś może usłyszeć i mnie wyda...”.

A ja dalej ją pytam i próbuję dowiedzieć się, w jaki sposób ocalała, dokąd uciekła. Ona siedzi obok mnie, lecz nic nie mówi. Jej oczy obserwują badawczo okolicę, sprawdzając, czy nie czyha na nią jakieś niebezpieczeństwo. Przy poruszaniu się w mieście zmuszona jest zawsze odgrywać swoją rolę.

Wydaje mi się, że pływam w jaskini czasu. I tylko głos kierowcy oznajmającego, że przyjechaliśmy na przystanek przy ulicy Wolskiej, wyrывa mnie z tych dziwnych, niespodziewanych chwil szczerości spędzonych z matką. Było to jak gdyby spełnienie marzenia.

Idziemy ulicą w kierunku numeru 66. Mijamy ludzi zajętych swoimi zwykłymi sprawami. Jedni zmierzają do biura, inni odprowadzają dzieci do przedszkola lub udają się z wózkami na

zakupy. A ja poszukuję śladów przeszłości, próbuję spotkać osoby, które do niej należą.

Przechodzimy koło cztero–pięciopiętrowych budynków o długości kilkudziesięciu metrów. Ulica jest szeroka, przecina ją trzypasmowa szosa, auta pędzą we wszystkich kierunkach, a po środku biegną tory tramwajowe. Spoglądamy na numery domów i oto znaleźliśmy się blisko celu. Długo czekałam na tę chwilę.

Stałam przejęta naprzeciw zamkniętej furtki. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, było przejrzanie nazwisk lokatorów na tablicy przy dzwonek. A nuż figuruje tam nazwisko Sikorski. Może pozostało z dawnych czasów, wytarte i przekreślone, lecz dające się odczytać.

Rozglądam się wokół, patrzę do góry i widzę, że większość okien ma zasunięte firanki, dokładnie tak, jak w czasie wojny, kiedy zasłanianie je, żeby nie było widać, co dzieje się wewnątrz. Przypomina mi się, jak mama opowiadała kiedyś, że pełna strachu wyglądała zza firanek na ulicę – na życie po drugiej stronie okna, jeśli można to było nazwać życiem.

W nocy spoglądała w niebo, na księżyc i gwiazdy, które należały do świata dobra. Nie miały nic wspólnego z okrucieństwami wojny. Natychmiast jednak odsuwała się od okna, aby nikt nie dostrzegł jej sylwetki za firanką.

Zaglądam za furtkę, widzę podwórko należące do budynku. Przyglądam się miejscu i krąży mi w głowie myśl, że został na nim pochowany mały Artur, brat Romka. Wyobrażam sobie, co czuła matka, kiedy grzebała w ziemi niemowlę, które zmarło z głodu na jej rękach. Nigdy jednak o tym nie mówiła.

Tu, w tym miejscu opiekowała się Romkiem przez około cztery lata. Cały czas pod przybraną tożsamością. Myślę o tym, że właśnie w tym budynku minęły najcięższe lata życia mamy.



Budynek przy ulicy Wolskiej w Warszawie,
w którym ukrywała się Pepka

A ja teraz dzielę z nią jedną z jej najsmutniejszych tajemnic. I ponownie bez jej zgody.

Staliśmy długo przy furtce. Nagle zobaczyłam wychodzącego z domu sąsiada. Próbowałam go zatrzymać, lecz nie zwrócił na mnie uwagi. Skorzystałam z okazji i przemknęłam do środka. Furtka zamknęła się za mną. Stałam na podwórku i rozglądałam się. Nie opuszczała mnie myśl o pochowanym tu niemowlęciu.

W pewnej chwili wyszła mi naprzeciw jedna z lokatorek domu i z gniewną miną zażądała, abym natychmiast wyszła, gdyż jest to teren prywatny i wstęp dla obcych wzbroniony. Zwlekałam chwilę, chcąc sfotografować miejsce. Wówczas ona powtórzyła z jeszcze większą stanowczością, żebym opuściła podwórko. Ona dobrze wie, że ja niby przyjechałam bez żadnych zamiarów, ale potem zwrócę się do sądu z roszczeniem o zwrócenie nieruchomości. Wśród mieszkańców istniała obawa przed wizytami ludzi, którzy przyjeżdżają do miasta w poszukiwaniu mieszkań należących do nich przed wojną, a po ich odnalezieniu zwracają się do sądu. Próbowałam jej wytłumaczyć, jaki cel ma moja wizyta, lecz obstawała przy swoim. Wyszłam zażenowana i dotknięta.

Ponownie znalazłam się po drugiej stronie bramy, lecz nie odchodzę. Nadal obserwuję dom i zastanawiam się, co robić. Zbliżyła się starsza kobieta z koszami pełnymi zakupów. Podchodzę do niej i przepraszając ją na wstępie, w kilku zdaniach opowiadam, że przyjechałam z Izraela, by poznać przeszłość mojej mamy, która jako Żydówka ukrywała się w tym domu podczas wojny, mając sfalszowane papiery. Pytam ją, czy byłaby gotowa opowiedzieć mi o swoich przeżyciach z czasów wojny, czy wie, jak się potoczyły losy innych sąsiadów.

Kobieta stawia kosze na chodniku. Na wspomnienie wojny pojawia się na jej twarzy lekki grymas. Po chwili zaczyna opowiadać o ciężkich bombardowaniach, jakie miały miejsce w tej

dzielnicy. O egzekucjach, o stosach trupów po bokach drogi, które palono dopiero po kilku dniach, a potem na ulicach zbierały się tony popiołu. O tym, że widzieli jak grzebano ludzi we wspólnych grobach. Ci, którzy ocalili, pozostali bez dachu nad głową. Dobrze, że było wtedy ciepło.

Opowiedziała mi też, że w niektórych domach zostały zburzone tylko ściany zewnętrzne i można było widzieć wnętrza – szafy na ubrania, łóżka, różne zabawki, płyty gazowe w kuchni, a na nich czajnik. Drzwi od pokoi znajdowały się na swoim miejscu, dokładnie tak, jak je zostawili mieszkańcy. Dom wyglądał, jakby miał przezroczyste ściany.

Potem dodała, że po zakończeniu działań wojennych ludzie, którzy uratowali się i nie zostali zesłani do obozów, powrócili do dzielnicy i zajęli mieszkania, zapewniając sobie i swoim rodzinom miejsce pobytu. Z czasem budynki zostały odremontowane i stały się ich lokum.

Pod koniec swojej opowieści, kobieta wspomniała żydowską dziewczynkę, córkę sąsiadów, która ukrywała się u jej rodziny przez kilka dni, po czym zniknęła i nic już o niej nie słyszała. Pozwolili dziewczynce przebywać w domu tylko kilka dni, ponieważ bali się niemieckich żołnierzy. Wpadali oni do domów w dzień i w nocy, walili głośno w drzwi i przeszukiwali każdy kąt.

Kobieta zgodziła się, abym weszła do niej do mieszkania i zobaczyła, jak wygląda wewnątrz. Chciałam lepiej odczuć, w jakich warunkach żyła matka. Kobieta, podobnie jak inni, wprowadziła się do pustego mieszkania i tutaj wychowywała swoje dzieci.

Weszliśmy za nią po schodach. Dwa małe pokoje i kuchenka. Balkon mieszkania wychodził w kierunku getta.

Matka wspomniała kiedyś, iż stojąc na balkonie, słyszała krzyki dzieci i docierał do niej śwąd z płonącego w czasie powstania getta. Ciężkie wspomnienia.

Zeszliśmy z powrotem na dół. Zatrzymałam się przy furtce i jeszcze raz rzuciłam spojrzenie w kierunku okna mieszkania. Ciężko mi rozstać się z miejscem. Tu uratowała się moja matka.

Później poszliśmy wzdłuż ulicy. Postanowiliśmy nieco poznać okolicę. Niedaleko stamtąd znajdował się kościół, weszliśmy do środka. Dowiedziałam się, że w czasie wojny prowadzone były do niego ofiary i tam odbywała się selekcja – kto do jakiego obozu zostanie wysłany. Opowiadano mi też, iż na jednej ze ścian znajdowała się lista imion i nazwisk, a także wiadomości, jakie ludzie ci chcieli pozostawić swoim bliskim, którzy być może tam trafią: „Ja, Marek Szmulowicz byłem tutaj”, „Ja, Maria, córka Mendla, szukajcie mnie”.

Podobno za rządów komunistów kościół został odrestaurowany, a ściana zburzona.

Po wyjściu stałam przez chwilę w zamyśleniu. Nie było tam żadnych śladów po mojej rodzinie.

Na rogu ulicy zobaczyłam mały sklepik spożywczy. A nuż stamtąd nadejdzie jakaś wiadomość. Weszłam do środka i spytałam sprzedawczynię, czy może wie, kto był właścicielem tego sklepu przed wojną. Przyglądała mi się, nie rozumiejąc, o co mi chodzi. Pomyślałam, że ma rację. Czego właściwie oczekuję? Minęło ponad siedemdziesiąt lat. Rozejrzałam się wokoło, przeprosiłam i wyszłam.

Kręciliśmy się po zaułkach dzielnicy i moją uwagę zwróciło, że prawie na każdym rogu na ścianach domów widnieją tablice pamiątkowe. Chyba na wszystkich figurował sierpień 1944 roku. Słów na tablicach nie udało mi się zrozumieć. Przez chwilę pomyślałam, iż może mają one jakiś związek z powstaniem w getcie, ale natychmiast otrząsnęłam się. Przecież powstanie w getcie miało miejsce dużo wcześniej. Przechodziliśmy także koło wielu kamiennych pomników stojących na podwórkach i w różnych

publicznych miejscach, na których także pojawiał się sierpień 1944 roku. U stóp pomników leżały wieńce kwiatów, część z nich w kolorze biało-czerwonym, część przyozdobiona wstęgami, też w narodowych barwach. Tak silna obecność obiektów pamięci w dzielnicy świadczyła o wadze wydarzenia, jakie miało miejsce w Warszawie latem 1944 roku. Postanowiłam zdobyć wiadomości na ten temat.

Nie widziałam związku tego wydarzenia z żydostwem. W tym czasie pozostało już niewiele Żydów.

Szliśmy pomału w kierunku przystanku tramwajowego z zamiarem powrotu do hotelu. W pewnym momencie znaleźliśmy się koło dużego pomnika, na którym widniała długa lista poległych w sierpniu 1944 roku. U jego stóp dziesiątki wieńców i wygasłe znicze. Zatrzymaliśmy się i zaczęłam czytać listę nazwisk. Może znajduje się na niej Sikorski.

Aleją przechodziła młoda kobieta, robiąca wrażenie, iż jest bardzo zajęta swoimi codziennymi sprawami, lecz kiedy zbliżyła się do pomnika, przystanęła i uklękła. Przeżegnała się, po czym zaczęła odmawiać modlitwę. Obserwowałam ją z zainteresowaniem i pomyślałam, że chętnie bym z nią porozmawiała. Ale nie mogłam jej przeszkadzać.

Ruszyliśmy w kierunku przystanku. Idąc, zwróciłam uwagę na tablice z literami „MPW” oraz strzałkę w kierunku muzeum. Nasze plany od razu się zmieniły. Postanowiliśmy je zwiedzić, rezygnując z posiłku w hotelu. Wstąpiliśmy tylko do pobliskiej kawiarni, aby napić się kawy i coś zjeść. Zamówiliśmy naleśniki i delektując się nimi, gawędziliśmy o naszej podróży, żartowaliśmy nieco z tego, że każdy nasz dzień w Polsce przynosił na każdym kroku jakieś nowości.

Tymczasem zaczął padać deszcz, letni, orzeźwiający. Chcieliśmy przeczekać w kawiarni, lecz nie zanosilo się na to, że ustanie.

Wyszliśmy i szybkim krokiem udaliśmy się w kierunku, jaki wskazywała strzałka na tablicach. Już przy wejściu wyjaśniło się, co oznacza skrót WP. Nie rozumiałam wtedy tylko znaczenia słowa „powstanie”.

Weszliśmy na teren muzeum. Z prawej strony znajdował się czerwony budynek, robiący wrażenie jakiegoś obiektu przemysłowego i gdybym nie wiedziała z tablic, iż stanowi on część muzeum, przesłabym obok, nie zwróciwszy na niego uwagi.

Stojąc w kolejce do kasy po bilety, dowiedziałam się, że Muzeum Powstania Warszawskiego powstało w 2004 roku w budynku, który służył w przeszłości jako elektrownia dostarczająca prąd tramwajom, że poświęcone jest historii sześćdziesięciu trzech dni powstania, które wybuchło 1 sierpnia 1944 roku.

Wprawdzie wygląd zewnętrzny budynku nie robił specjalnego wrażenia, natomiast duże zainteresowanie wzbudzały bardzo nowoczesnie wyposażone sale.

Pierwszym obiektem, na który się natknęłam, była ściana, a w niej otwory wyglądające jak ślady po ostrzeliwaniach. Po bokach znajdowały się słuchawki, przez które można było słyszeć odgłosy pochodzące z dni powstania. Jednocześnie widać było zdjęcia, które przedstawiały zwiedzającym czas krwawych walk.

Przybliżam oko do otworu na początku ściany, zakładam słuchawki i w ten sposób przenoszę się w pierwsze dni powstania.

Nie rozumiałam ani słowa, lecz wyczuwałam, że już na samym początku wśród bojowników podziemia panowała wysoka motywacja do wspólnej walki przeciw wrogowi. Słyszałam później, iż mieszkańcy Woli w ogóle znani byli ze swojej dumy i patriotyzmu.

Idę dalej, a przed moimi oczami przesuwają się pełne okrucieństwa sceny. Barykady na ulicach. Przemienione we wraki tramwaje. Wrzask, mnóstwo ludzi – starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni,

dzieci. Rozbiegają się we wszystkie strony, próbując znaleźć miejsce schronienia. Większości nie udaje się. Hitlerowcy strzelają do każdego, kto im staje na drodze.

Jestem wstrząśnięta tymi obrazami, nadal przysłuchuję się kasetom z nagraniami, lecz nie rozumiem tekstu. Moje zaciekawienie wzrasta. Słyszę, że powtarza się nazwa Wola. Zaczynam się zastanawiać, czy te wszystkie przeszywające serce sceny rozgrywają się w dzielnicy Wola? Jeszcze bardziej nastawiam ucha i zaczyna do mnie docierać, iż Wola jest jedną z dzielnic, gdzie wybuchło powstanie. Przyglądam się fotografiom przedstawiającym istne piekło, które miało miejsce na Woli. Rusztowania zburzonych domów, stosy ciał zabitych, podpalone domy, których podstawy jeszcze się zachowały.

Stałam długo, oglądając zdjęcia pochodzące z początkowego okresu powstania, kiedy zaledwie w ciągu kilku dni zginęło wiele tysięcy mieszkańców miasta, zupełnie pozbawionych możliwości obrony. Chwilami szukałam wśród uciekających mojej mamy i Romka.

W muzeum zrozumiałam, że z takimi wspomnieniami nie można żyć normalnym życiem, że trzeba je z siebie wyrzucić.

Z tego, co tutaj usłyszałam, wynikało, iż hitlerowskie garnizony, których zadaniem było stłumienie powstania, wysyłano z Berlina do Warszawy. Wkraczały one do miasta od strony Woli, dzielnicy znajdującej się na jego zachodnim krańcu, po czym szły na wschód, w kierunku Starego Miasta i Pragi, likwidując wszelkie przeszkody po drodze.

Stanisław Aronson, Żyd, który należał do polskiego podziemia, opowiadał mi, że Wola była kiedyś szarą, ubogą dzielnicą Warszawy. Mieszkali tam ludzie pracy, znajdowały się w niej liczne warsztaty szewskie, sklepy spożywcze, fabryki i zakłady produkujące różnego rodzaju towary.

Podobno życie Żydów przed wojną toczyło się tam normalnym trybem. Stanowili oni część społeczeństwa, a atmosferę żydowskich świąt odczuwano w całej okolicy. Także w czasie wojny znaleźli się Polacy, którzy po kryjomu przynosili żywność kolegom znajdującym się w getcie.

Pomyślałam, że właśnie na początku sierpnia rodzice Romka i Artura wyszli jak zwykle do pracy, a matka pozostała w domu z dziećmi. Tak jak inni mieszkańcy miasta na pewno nie obawiała się, iż wydarzy się coś szczególnego. Tylko że Jan Sikorski wraz z żoną, która była sanitariuszką, zamiast do pracy, podobnie do innych członków podziemia, udali się po kryjomu do komendy powstańczej. Nie mieli możliwości, by kogokolwiek o tym powiadomić.

Mama na pewno liczyła, że wróci wieczorem i przyniesie żywność dla rodziny tudzież pokarm dla niemowlęcia. Kiedy okazało się, że wybuchło powstanie, pozostała sama z dwójką dzieci i całą odpowiedzialność spadła na nią. Skąd zdobyć jedzenie? Wyjście na ulicę groziło śmiercią.

Nie doczekała się powrotu Jana i jego żony, ogarnął ją wielki niepokój o dzieci. Zapasy żywności kończyły się, a szczególnie pożywienie dla malutkiego Artura. Wybiegła z domu. Krążyła po ulicach w poszukiwaniu pokarmu dla niemowlęcia, lecz wróciła z pustymi rękami. Sama musiała postanowić, co robić. Nadal nie rozumiała wydarzeń w mieście. Słysząc było bombardowania, widziała na ulicach przewrócone tramwaje i zburzone, palące się domy.

Mały Artur nie przeżył nocy. Matka została z jednym dzieckiem. Objęła mocno Romka i postanowiła czuwać nad nim i ochraniać go. A później zwrócić rodzinie.

Nawet na chwilę nie zapominała, że w torebce ma aryjskie papiery i występuje pod inną tożsamością. Teraz musiała wymyślić jakąś historię dla wytłumaczenia tego, że jest młodą matką, lecz nie ma żadnych dokumentów świadczących, że to jej dziecko.

Wola płonęła. Oddziały wroga mordowały ludność cywilną. Czołgi, bomby i granaty nie wybierały między Żydami i Polakami, między młodymi i starymi. Komenda nazistów znajdowała się podobno w pobliżu ulicy Wolskiej.

Matka zeszła razem z Romkiem do piwnicy, gdzie znajdowali się także jej polscy sąsiedzi. W tym dniu budynek został zbombardowany, wejście do piwnicy zawalone gruzem. Wokół panowała ciemność i zaduch. Zostali bez wody i bez jedzenia. Kto ich usłyszy? Na zewnątrz słychać odgłosy artylerii i kul karabinów maszynowych.

Wspólnym wysiłkiem zaczęli rozgrzebywać gruzy, bez żadnych narzędzi i nie mając pojęcia, czy odniesie to jakiś skutek. Wiem, że matka była kobietą o silnym charakterze, stanowczą. Stawiała przed sobą cele i potrafiła je osiągnąć. Nie załamywała rąk w trudnych sytuacjach.

Po długotrwałej pracy nocą i dniem ujrzeli w piwnicy pierwszy przeblysł światła. Nadal dokładali wysiłków, by się stamtąd wydostać. Nikt wówczas nie wiedział, co ich czeka na zewnątrz. Kiedy udało im się wyjść z piwnicy, zobaczyli, że okolica została całkowicie zniszczona i na ulicach wałało się pełno trupów.

Romek miał rozciętą głowę. Matka nie wiedziała, dokąd iść. Dowiedziałam się później, że niemiecki żołnierz przeprowadzający selekcję wśród ocalałej ludności dostrzegł dziecko z ciekącą z głowy krwią. Podobno rozejrzał się wokół, czy nikt nie widzi i dał mamie znak, żeby uciekła z nim w pobliskie krzaki i tam się schowała.

Czynię duży przeskok w miejscu i w czasie, i wspominam pewne historyczne wydarzenia, które miały miejsce w Izraelu. Wojna sześciodniowa w czerwcu 1967 oraz wojna Jom Kippur w 1973

roku. Ludność zmuszona była wówczas zejść do schronów. Matka absolutnie nie chciała się na to zgodzić, a kiedy już udało nam się ją przekonać, przez cały czas stała, opierając się o ścianę przy wejściu do schronu i prosiła nas, abyśmy uczynili to samo.

Dokąd dalej powinnam się udać? Przypomniało mi się, że ktoś poradził, abym pojechała do Urzędu Miejskiego i tam przeprowadziła dalsze poszukiwania. A może znajdę jakąś informację na temat swojej rodziny. Nie miałam sprecyzowanych planów. Wzięliśmy taksówkę i pojechaliśmy do wschodniej części miasta, na Pragę. Po raz pierwszy przejechaliśmy Wisłę.

Po krótkiej rozmowie w urzędzie dowiedziałam się, że wszystkie spisy Żydów z okolicy Galicji, która przeszła pod władzę Ukrainy, przekazane zostały do Urzędu Stanu Cywilnego w Warszawie. Początek udany. Może odszukam ślady rodziny. Postanowiłam spróbować odszukać kogoś ze strony mamy. Urzędnik zapytał o nazwisko mamy, jej nazwisko rodowe oraz rok urodzenia. Potem padło pytanie, gdzie się urodziła. Odpowiedziałam, że w Lubaczowie. Natomiast na pytanie, skąd pochodzą jej rodzice, nie znałam odpowiedzi.

Mężczyzna zniknął za jakąś zasłoną. Po kilku minutach wrócił, informując mnie, że nic nie znalazł. Ponownie zaczął zadawać pytania, gdzie się urodziła matka. Zrozumiałam, że właściwie nie mam żadnej pewności co do miejsca. Gdzie się urodzili jej rodzice – też w gruncie rzeczy nie wiedziałam, kiedy – nie wiedziałam. Nie miałam też żadnej informacji dotyczącej jej rodzeństwa. Poprosiłam go, żeby sprawdził w Drohobyczu lub we Lwowie.

- Pani ma na myśli Lemberg?
- Tak – odpowiedziałam.

Lemberg to niemiecka nazwa Lwowa. Urzędnik znowu zniknął, a ja czekałam z Pierre'em, siedząc na ławce w poczekalni. Nikogo oprócz nas nie było. Po kilku minutach pojawiła się na schodach roześmiana młoda para. Podeszli do nas i spytali, czy wiemy, gdzie prowadzą rejestrację związków małżeńskich. Ja też się uśmiechnęłam i wskazałam na drzwi obok, gdyż widziałam wychodzącą stamtąd parę młodych.

Wkrótce powrócił do nas urzędnik, lecz bez żadnej odpowiedzi. Zostawiłam mu swój adres, obiecał kontynuować poszukiwania. Po upływie dwóch tygodni otrzymałam do domu list, niestety nie znaleziono informacji.

Kongres w Lubaczowie

Uczestniczyłam w kongresie poświęconym siedemdziesiątej rocznicy wybuchu wojny, który odbył się w Lubaczowie pod patronatem Muzeum Kresów. Spotkałam tam wielu naukowców, między innymi doktora Zygmunta Kubraka i opowiedziałam mu krótko o swoich korzeniach.

Przez chwilę wahał się, po czym oznajmił mi, iż właśnie pracuje nad historią Lubaczowa i ma u siebie także oryginał umowy między dzierżawcą młyna panem Friedmanem a Urzędem Miejskim w sprawie warunków uruchomienia elektrowni. Ponieważ dowiedział się, że należę do jego rodziny, wyszuka dokument i przy następnym moim pobycie w Lubaczowie przekaze mi jego odpis.

Byłam zaskoczona. Jeszcze jeden dowód na to, że moja rodzina żyła w miasteczku. I nawet otrzymam świadczący o tym dokument i będę mogła pokazać go w domu. Z przejęcia nie pomyślałam, żeby poprosić doktora Kubraka o przekazanie mi odpisu umowy teraz.

Po zakończeniu kongresu zostałam wraz z Pierre'em zaproszona na obiad u cioci Zosi. Z okazji naszego przyjazdu przygotowała wspaniałe danie, nadziewaną kurę zszytą na brzuchu, tak jak to robiła moja mama. W trakcie jedzenia Zosia powiedziała

z dumą, że kura pochodzi z jej gospodarstwa i przyrządziła ją dzisiaj rano.

Rozmowa potoczyła się w szczerzej, przyjaznej atmosferze. Opowiadałam cioci o tradycyjnych polskich potrawach, jakie przygotowywała mama: kapuśniak, pierogi. Ciocia z kolei wspominała piątkowe wieczory, kiedy mama dzieliła wśród dzieci różne potrawy przygotowywane przez nią na sobotę. Zosia szczególnie zapamiętała chałkę w kształcie warkocza oraz bubelach^{*}. Wspominała też, jak jej brat chodził do domu moich rodziców, by włączyć i wyłączyć piecyk oraz światło na soboty i święta.

W jej opowieściach wyczuwało się atmosferę wsi, atmosferę bliskich stosunków między sąsiadami i szczęśliwego dzieciństwa.

Siedziała naprzeciw mnie kobieta, która odwiedzała mój dom rodzinny, była częścią dzieciństwa mojej mamy. Jej rodzina odegrała tak ważną rolę w ucieczce mamy podczas wojny. Staralam się skierować rozmowę na ten temat i spytałam, czy pamięta, kiedy mama opuściła miasteczko.

– Wie pani, minęło już wiele lat... – powiedziała ciocia. – Byłam młodą dziewczyną... Mój ojciec bardzo szanował i lubił pani rodzinę. Bardzo chciał im pomóc.

Słowa „pani rodzina”, „szanował ich i lubił” były dla mnie obce. Czułam, iż rozmawiam z ostatnim człowiekiem, który pamiętał i z życzliwością wspominał moją rodzinę.

– Mój ojciec powiedział panu Friedmanowi, że może wyrobić aryjskie papiery dla Pepki, a jego syn Jan może udzielić jej schronienia w swoim domu w Warszawie.

Wiedziałam, że byli Żydzi, którzy starali się zdobyć aryjskie dokumenty, by z ich pomocą się uratować. Na ogół kosztowało to

^{*} Bubelach – potrawa pesachowa przygotowywana z mąki macowej i jaj.

bardzo dużo, kilka tysięcy złotych i nie zawsze zapewniało bezpieczeństwo posiadaczom.

– Czy wie pani, jak moi rodzice przyjęli jego propozycję? – zapytałam.

– Tego nie wiem dokładnie, ale na pewno było im ciężko z decyzją, gdyż oznaczało to rozstanie z córką do końca wojny, a ta powiadała się już wtedy na ciężką i długą. Dla pani matki było to zaś rozstanie z ludźmi, którzy ją kochali. Miała wyjść z domu i pojechać do dużego miasta, nie wiadomo na ile czasu. Rodzice wierzyli jednak, że wyjazd z miasteczka przyniesie jej ratunek. Matka powiedziała jej: „Musisz iść”. Mój ojciec mój gotowy był wyrobić papiery także dla Minki, ale pani matka obawiała się ją wysłać, gdyż była jeszcze mała. No a z bratem w ogóle ciężka sytuacja. Bardzo łatwo mogli rozpoznać jego pochodzenie, jak tylko się rozebrał.

Byłam zaskoczona, że Zosia wie o różnych wahaniach w mojej rodzinie.

– Może pamięta pani coś o przygotowaniach mamy do wyjazdu? – postanowiłam spytać.

– Wiem tylko to, co słyszałam u siebie w domu. Pepka wiedziała, że będzie musiała się zamienić się w nową, nieznaną osobę. Poznać nową okolicę, nową rodzinę i zwyczaje innej religii. Wszystkie przygotowania robiono w tajemnicy przed sąsiadami. Słyszeliśmy od brata z Warszawy, że w dużym mieście łatwiej jest ukryć swoje prawdziwe pochodzenie.

Po chwili milczenia ciocia Zosia ponownie powiedziała i podkreśliła, że cały plan został przeprowadzony po kryjomu, a ojciec niejednokrotnie przypominał jej, żeby nikomu nic nie mówiła o tym, co słyszy i widzi w domu.

Istotnie, wyczuwałam, że sąsiedzi nie znają całej prawdy. Pamiętam z opowieści żyjącego po sąsiedzku Staszka, że do dzisiaj nie rozumiał, dlaczego Pepka, taka młoda dziewczyna, pojechała

do Warszawy, dlaczego postanowiła opiekować się malutkim synkiem Sikorskiego. Nikt nie przypuszczał, że jej wyjazd pod pozorem pracy był próbą ucieczki przed machiną śmierci hitlerowców.

Ciocia Zosia podała herbatę i ciasto drożdżowe, które kojarzyło mi się z dniem moich urodzin w dzieciństwie. Była to jedyna rzecz stanowiąca symbol dnia urodzin, rodzina przecież nie istniała.

Spytałam ciocię, czy zna jakieś szczegóły na temat zdobycia aryjskich papierów przez jej ojca.

– Pamiętam, że mój ojciec i brat załatwili Pepce potrzebne papiery na nazwisko Sikorski i dostarczyli jej kenkartę, ale nie mogę mówić o tym, jak je zdobyli. Ojciec uczył Pepkę, jak ma się zachowywać i różnych słów, których powinna używać. Na przykład „Jezus Maria”, a potem przeżegnać się. Na zakończenie „Amen”. Musiała wiedzieć, kiedy są jej imieniny i imieniem jakiej świętej została nazwana. Powinna była wbić sobie w pamięć swoją nową przeszłość.

Jeśli chodzi o samą podróż, ojciec oznajmił Pepce, że nie wolno jej rozmawiać w pociągu i najważniejsza rzecz – nie wolno jej machać rękami podczas rozmowy, gdyby musiała to robić. Ma udawać, że śpi. Poza tym nauczył ją kilku zdań po ukraińsku, żeby nie używała jej łamanego polskiego. No i oczywiście, zawsze miała nosić przy sobie aryjskie papiery.

Tu w domu cioci Zosi zaczęłam rozumieć pewne zachowania mojej mamy. Na przykład mieszkała piętro wyżej nade mną i zwykła przychodzić do mnie z teczką pełną papierów.

– Mamo, po co nosisz ze sobą całe biuro? Przecież schodzisz tylko jedno piętro niżej – pytałam.

– Moja droga, w każdej chwili, kiedy wychodzę z domu, muszę mieć ze sobą wszystkie papiery, żebym mogła się wylegitymować, gdy tego ode mnie zażądata – odpowiadała.

– Czy matka pożegnała się z wami? – zwróciłam się do Zosi.

– No nie, na ogół siedziała zamknięta w domu. Był to okres, że wszyscy obawiali się wychodzić na ulicę. Nie było wiadomo, co się dzieje w mieście. Zabronione było posiadanie odbiorników radiowych. Niemcy kazali wszystkie oddać.

W tym momencie przypomniałam sobie, że mama wspomniała kiedyś, jak ojciec z bolącym sercem zatargał na posterunek policji duże ciężkie radio, będące jedynym środkiem łączności ze światem zewnętrznym. Nie było wtedy również gazet.

Zosia milczała chwilę, po czym kontynuowała opowieść:

– Matka przygotowała Pepce odpowiednie ubrania nadające się do dużego miasta, które uszyła jej ciocia Hilda. Żeby nie poznali w Warszawie, że jest ze wsi. Miała też przygotowaną do opowiedzenia historię dziewczyny z miasta. A przede wszystkim, na prośbę rodziny, daliśmy jej srebrny krzyżyk, który założyła na szyję po naciskach matki. Mój ojciec też uważał, że powinna nosić krzyżyk w drodze do miasta, lecz Pepka widziała w tym zdradę swojej religii.

Widzę w swojej wyobraźni, jak tuż przed opuszczeniem domu mama spojrzała na krzyżyk, a potem na rodziców. Rodzice skinęli głową na znak zgody, żeby go nosiła i udzielili błogosławieństwa na drogę, a matka jej powiedziała:

– Nawet jak będziesz samotna, jeśli zatęsknisz do kogoś bliskiego, jeśli poczujesz chęć powrotu do miasteczka, pamiętaj, że po wyjściu z domu twoja przeszłość została przekreślona.

Słowa te pozostały wyryte w jej sercu w przeciągu całego życia. Pozostały raną, która nie może się zagoić.

– Kiedy zapadł zmierzch, nadszedł czas wyruszenia w drogę – kontynuowała ciocia Zosia. – Zgodnie z planem mój ojciec i Pepka mieli przejść kawał drogi lasem i dotrzeć na czas na stację kolejową w sąsiednim miasteczku. Trzeba było tak zrobić, żeby

nikt z miejscowych mieszkańców nie rozpoznał ich i nie doniósł na policję. Pociągi w czasie wojny jeździły rzadko, spóźniały się i ludzie często musieli czekać wiele godzin na stacji. – Zosia milczała chwilę, po czym popatrzyła na mnie ze smutkiem w oczach i powiedziała: – Widziałam zza zasłony, jak ojciec czekał na Pepkę przy schodach, w miejscu, gdzie się umówili. Trzymał w ręku mały worek, w którym były różne towary do sklepu mojego brata Jana. Pamiętam, jakby to było dzisiaj. Pepka stała u progu domu ubrana w nowe ubranie miejskiej dziewczyny. Wyszła z opuszczoną głową i zatrzasnęła za sobą drzwi, nie oglądając się za siebie. Nawet nie pomachała ręką rodzicom na pożegnanie. Oni też na pewno obserwowali ją zza zasłony, dopóki nie zniknęła im z oczu. Tak wyglądało rozstanie z Pepką. Dla mnie to były bolesne chwile. Nie wiedziałam, kiedy wróci i czy wróci. Widziałam, jak ojciec rozejrzał się wokół, sprawdzając, czy nikt ich nie widzi i poszli lasem na stację. Nikt z sąsiadów nie wiedział, że Pepka odeszła.

Widziałam z twarzy Zosi, iż z trudem przychodzi jej opowiadanie przeżyć z przeszłości. Wzięła głęboki oddech.

– Stacje kolejowe były niebezpieczne. Trudno było Żydom ukryć swój przestrah w oczach. Rozpoznawali ich szybko i szantażowali, kradli wartościowe przedmioty lub pieniądze, które trzymali w kieszeniach, a w końcu oddawali w ręce policji, nawet jeśli mieli oni aryjskie papiery. Na stacji kolejowej ojciec obserwował, czy nie widać kogoś podejrzanego. Potem poszedł do kasy, żeby kupić bilety. Kupno biletów, taka zwyczajna rzecz, a budziła wtedy duży strach. Sprzedaż biletów Żydom była zabroniona. Na szczęście kasjer zajęty był swoją pracą i nie przyglądał się Pepce. W ten sposób pokonali pierwszą groźną przeszkodę. Kupili bilety, a potem wsiedli do pociągu. Pepka pierwszy raz była inną osobą. Siedzieli obok siebie, ojciec obejmował ją, jakby była jego

córką. Kiedy pociąg zaczął jechać, Pepka położyła głowę na jego ramieniu i udawała, że śpi, żeby nikt w pociągu nie zaczął z nią rozmawiać, a szczególnie konduktorzy. Ojciec kupił niemiecką gazetę i udawał, że czyta. Kiedy weszli do przedziału, konduktorzy z ponurymi twarzami poinformowali, że przeprowadzają kontrolę, ojciec przedstawił im papiery Pepki i poprosił, żeby jej nie budzili.

Nie przerywam Zosi, a ona nadal, jakby czytała z otwartej sagi rodzinnej:

– Ojciec wrócił do domu. Powiadomił rodzinę Pepki, że zawiózł ją do Warszawy, do sklepu mojego brata, ojca Romka. Miałam jeszcze jednego brata – dodała Zosia. – Razem ze swoim dobrym kolegą przepłynął San, chcąc uciec od życia w miasteczku i nigdy nie wrócili. Do dziś o nich nie słyszeliśmy, nie wiemy, jak się potoczył ich los.

Ciocia Zosia opowiadała o wszystkim ze szczegółami. Byłam pełna podziwu, że tak wiele zachowała w pamięci i wdzięczna, że dzieli się ze mną swoimi wspomnieniami. Wspominając mamę z miłością, podkreślała, że nie było dla niej przyszłości w miasteczku.

Przy pożegnaniu ciocia wyraziła nadzieję, że ponownie przyjedziemy do Lubaczowa i będziemy mogli się spotkać.

Po wyjściu od niej poszłam po raz ostatni przejść się brzegiem rzeki. Pożegnałam się z miasteczkiem. Długo patrzyłam na wodę i przysłuchiwałam się jej szumowi. A ona nadal płynęła w nieznanie.

Byłam już w drodze do samochodu, kiedy spotkała mnie miła niespodzianka. Ujrzałam Staszka jadącego na rowerze z centrum miasteczka, w ręku miał bochenek chleba.

Z powrotem do domu

Podróż dobiegła końca, teraz muszę uporządkować wszystkie swoje wrażenia. W czasie jazdy do Warszawy trwającej około pięciu godzin siedziałam pogrążona w myślach. Staralam się przypomnieć sobie jakieś zwierzenia mamy związane z jej wyjazdem do Warszawy. Rzadko to robiła, a scenę opuszczenia rodziny szczególnie silnie starała się zachować tylko dla siebie.

Myślałam o tym, jak czuła się, przybywając do miasta, na stację kolejową, tak szumne i pełne zamieszania miejsce, tak inne od spokojnej stacji w Lubaczowie.

Szła razem z ojcem Zosi do następnego punktu, do sklepu Jana. Na pewno była przerażona widokami na ulicach. Być może chwilami żałowała, że tam przyjechała, ale nie było drogi powrotnej.

Starala się zachować powściągliwy wyraz twarzy, żeby nikt nie zwrócił na nią uwagi, żeby uniknąć wszelkich podejrzeń.

Na ulicach wisiały plakaty rozwieszone przez Niemców z hasłami wzywającymi Polaków do współpracy lub długie listy tych, którzy zostali zabici za to, że udzielali Żydom pomocy.

Wyobrażam sobie, jaki czuła strach, widząc te wszystkie okropności, a również obawę, że ktoś z domowników zmieni zdanie i doniesie na nią w obawie o los swojej rodziny.

– Ojciec opowiadał, że w sklepie było dużo klientów i rzucał się na towary znajdujące się na półkach – powiedziała kiedyś Zosia – Część, półek świeciła już pustkami. Kupowano na zasadzie: kto pierwszy, ten lepszy. Spojrzenia matki i Jana spotkały się, wymienili powitanie bez słów. W tym momencie ojciec po cichu wyszedł ze sklepu. Później zrobił to Jan, a za nim matka.

Szli miastem zamieszkałym przez duchy zmarłych. Szli szybkim krokiem, nie rozmawiając. Przestrzegali pewnej odległości między sobą, aby nie wzbudzić podejrzeń przechodniów. Jeśli zatrzymają tylko ją, ojciec Zosi mógłby ją zapewne wykupić, jak to zrobił w przeszłości. Jeśli natomiast zostaliby zatrzymani oboje, to nie tylko oni zostaliby straceni, lecz również jego rodzina.

Dom Jana znajdował się w pobliżu sklepu. Następną przeszkodę na ich drodze stanowi spotkanie stróża. Przy każdym wejściu na wewnętrzne podwórko była zamknięta furtka. Do funkcji stróża należało przestrzeganie porządku w przyległych budynkach. Musieli oni informować władze niemieckie o każdym nowym lokatorze lub jakimkolwiek podejrzeniu wobec kogoś. Musieli sprawdzać dokumenty nowych i być czujni na wszelkie zachodzące wydarzenia i zmiany. Szczególnie na obecność Żydów.

Myślę, że mama już z daleka dostrzegła stróża siedzącego z surowym wyrazem twarzy. Obserwował wchodzących i wychodzących z domu. Mama zatrzymała się w pewnej odległości od furtki i złąkla się. Przebiegały jej w głowie wszelkiego rodzaju myśli. Że Jan i rodzice będą rozczarowani, że nie wykazała się znajomością języka. W jaki sposób można się przemknąć do mieszkania i czy będzie potrafiła zrobić to tak, aby nikt jej nie dostrzegł.

Stała bez ruchu. Jan podszedł do furtki. Po krótkiej wymianie zdań ze stróżem mama otrzymała zezwolenie na wejście do budynku.

Wiem, że życie mamy w Warszawie mijało w ciągłym strachu, zarówno przed Niemcami, jak i Polakami.

Jednym z dręczących ją koszmarów były na pewno odgłosy podkutych butów wojskowych na klatce schodowej. Do kogo idą? Po krokach rozlegały się uderzenia w drzwi lufą karabinu albo kopanie butem.

Z czasem nauczyła się rozróżniać między waleniem w drzwi zapowiadającym coś złego ze strony Polaków, a uderzeniami Niemców. W obu sytuacjach ogarniało ją przerażenie. Czasami udawało jej się uciec i schować do szafy w pokoju dzieci, odmawiając w duchu modlitwę. Bywało jednak, że z bijącym sercem stała na przeciw żołnierzy, myśląc, iż lepiej dla niej zabić się, wyskakując z okna, niż zostać schwytaną przez Niemców lub Polaków.

Mama dobrze pamiętała swój pierwszy wieczór wigilijny w Warszawie. Było to niedługo po jej przyjeździe do miasta. Do domu rodziny Sikorskich mieli przyjść na świąteczną kolację ich przyjaciele. Było to jej pierwsze bezpośrednie spotkanie z Polakami w Warszawie i bardzo się obawiała, żeby nie wyrwało się jej coś, czym mogłaby zdradzić swoją tożsamość. Zawiązała na głowie chusteczkę świadczącą, że jest opiekunką i miała nadzieję, że dzięki temu uda jej się uniknąć wszelkich pytań i jałowych rozmów.

Tymczasem goście zarzucili ją mnóstwem pytań.

– Jak to się stało, że taka młoda dziewczyna opuściła rodzinę i wyjechała do tak oddalonego miasta? – powtarzało się.

– U nas w miasteczku Niemcy wyłapują chłopców i dziewczęta, i wysyłają ich do obozów pracy w Niemczech – odpowiadała.

– Dlatego postanowiono w mojej rodzinie, żebym stamtąd wyjechała. To był wybór.

Potem spytano ją, dlaczego nie spędza świąt w rodzinnym gronie. Odpowiedziała, że jej dom znajduje się daleko i musiała-

by stracić dużo czasu na przejazdy, a ona chciała odpocząć i została tutaj. Przy pierwszej nadarzającej się okazji wyszła z pokoju, oznajmiając, że chce się zająć dzieckiem. Wolała uniknąć pytań, nie dowierzała dobrym intencjom gości. Od tego czasu, ilekroć wiedziała, że ktoś ma przyjść w odwiedziny, wychodziła z domu i kręciła się po ulicy lub jeździła bez celu tramwajem.

Musiała oczywiście uważać, czy nie ma kogoś podejrzanego wśród pasażerów. Także wśród kierowców i kontrolerów mogli się znaleźć tacy, którzy donosili.

A potem wybuchło powstanie. Zaczęła się inna, tragiczna rzeczywistość, z którą mama musiała sobie radzić sama. Troszczyć się o siebie i o małego Romka.

Razem z dzieckiem zaryzykowała ucieczkę z miasta. O zmierzchu przekradali się wśród zarośli, aż szczęśliwie udało im się dotrzeć do pobliskiej wsi. Tam na pewno ze strachem chodzili, prosząc o schronienie. W końcu przyjęły ich dwie starsze kobiety. W zamian za pracę w gospodarstwie udzieliły im dachu nad głową i pożywienia. A może dały także jakąś małą zapłatę. I wtedy, mając trochę pieniędzy w kieszeni, mama pojechała do Lubaczowa, dowiedzieć się o losy swojej rodziny, a także pójść do domu dziadka Romka.

Na drogach było jeszcze dużo rosyjskiego wojska, artyleria, czołgi. Drogi i linie kolejowe były zniszczone. Na każdym kroku czyhało niebezpieczeństwo. Mama, zapewne z obawy o życie Romka, wolała zostawić go w domu z kobietami.

Do Lubaczowa dotarła zimą, kiedy panował silny mróz i trudno było zdobyć pożywienie. Miasteczko nie było już takie samo jak przed wojną, nie pozostały żadne ślady po Żydach. Pepka zrozumiała, że jej rodzina także nie przeżyła.

W opustoszo­nym, zburzo­nym domu nikt jej nie powitał. Na podłodze rozrzucone były różne bezwartościowe rzeczy. Wszystko inne zostało zrabowane albo przez Niemców, albo przez Ukra­ińców. Pepka dostrzegła kilka wałających się zdjęć i pochyliła się, by je podnieść.

W pewnym momencie zobaczył ją przez okno ojciec Zosi. Zaskoczony i wzruszony wyszedł ze swojego domu i podszedł do niej.

Objął Pepkę serdecznie, jakby spotkał córkę, której udało się ocaleć. Zabrał ją do siebie do domu. Weszli do środka i długo siedzieli w zamkniętym pokoju, z którego dochodził jej płacz. Ciężko było jej mówić dziadkowi o śmierci jego małego wnuka, po tym jak przepadł jego syn Jan z żoną.

Sikorskiemu trudno było opowiedzieć mamie o okrutnym zamordowaniu jej rodziny, lecz chciała znać prawdę. Wówczas wyjawiał jej wszystko o zdradzie ze strony sąsiadów... sąsiadów których uważali oni za przyjaciół.

Mama była załamana. Być może już wtedy postanowiła, że nie wróci więcej do miasteczka. Przekazała panu Sikorskiemu adres Romka, a ten zajął się wyrabianiem dla niego dokumentów.

Mama wyruszyła w nową drogę życia, rozpoczęła ją w Krakowie, zakończyła w Izraelu.

A ja opuściłam Lubaczów z rozdartą duszą, pełnym „bagażem” wrażeń, odpowiedzi na wiele pytań dotyczących przeszłości. Pozostały jednak takie, na które ich nie znalazłam.

O północy, po kilkugodzinnej jeździe przybyliśmy do Warszawy. Zrzuciliśmy nasz „bagaż” na plecy i udaliśmy się w drogę do domu.

Później wielokrotnie prowadziłam przyjacielskie rozmowy telefoniczne z ciocią Zosią. Podczas jednej z nich powiedziała mi:

– Nie uwierzy pani, dzisiaj w nocy śniła mi się Pepka. Od kiedy przyjechała pani do Lubaczowa, często myślę o całej pani rodzinie...

KONIEC

Posłowie

Zaskakuje mnie, kiedy czytam swój tekst, lecz przyznam się, iż od chwili rozpoczęcia procesu pisania nie mogłam się zatrzymać. Robiłam to w trakcie różnych wydarzeń, na bieżąco. Obecnie zdaję sobie sprawę, iż okres pracy nad książką był jednym z najtrudniejszych i najbardziej fascynujących w moim życiu.

Przez cały czas towarzyszyła mi jedna z nielicznych zapamiętanych przeze mnie scen, gdy razem z mamą siedziałyśmy naprzeciw siebie, ja trzymałam na obu rękach zwoje wełny, a ona zwijała ją w kłębki.

Robiła na drutach kamizelki i sukienki, najpierw mnie, a potem moim dzieciom. Wszystkie te rzeczy przechodziły z pokolenia na pokolenie zamiast brakujących opowieści i fotografii.

Nieliczne wzruszające opowieści mamy wzbudzały we mnie tęsknotę do nieznanych okolic. I tak z otoczonej mgłą przeszłości zrodził się pomysł, by wyruszyć w drogę do wschodniej Polski w poszukiwaniu rzeki, której nazwy której nie znałam. Wówczas w moim życiu nastąpił zwrot.

Nie jestem historykiem. Moja książka stanowi połączenie opisu wydarzeń, które sama przeżyłam, opowieści innych ludzi, których niespodziewanie spotkałam podczas podróży, a część jest wytworem mojej wyobraźni. Od czasu do czasu zaglądałam do książek historycznych

Wdzięczna jestem członkom mojej rodziny, że wysłuchali mnie, że okazali zainteresowanie dla moich przeżyć.

Pragnę podziękować wszystkim osobom występującym w książce pod prawdziwymi imionami i nazwiskami.

Składałam wielkie podziękowania Teresie i Zygmuntowi, którzy otworzyli przede mną wrota miasta, wprowadzili mnie w tajemnice jego przeszłości i do dzisiaj pozostali moimi przyjaciółmi.

Dziękuję bardzo mieszkańcowi Lubaczowa Krzysztofowi, jego ojcu, a także koledze Krzysztofa, Pawłowi, którzy zaofiarowali się zabrać nas w podróż po okolicy, podczas której poznaliśmy Staszka oraz inne osoby. Na koniec Staszek skierował nas do swojej siostry, pani Teresy Szyszkiewicz, spotkanie z którą było zaskakujące.

Załączam podziękowania panu Stanisławowi Młodzińskiemu za jego ciekawe opowieści oraz jego małżonce, która poczęstowała nas herbatą, a obok postawiła miseczkę pełną kostek cukru, mówiąc, iż pamięta, jak sąsiedzi Żydzi brali przy każdym tyku chociażby jedną kostkę do ust.

Dziękuję bardzo historykom – Zygmuntowi Kubrakowi, Stanisławowi Makarze, Izabeli Maliszewskiej, Stanisławowi Maliszewskiemu (oboje z Warszawy) i Zenonowi Swatkowi – a także malarzowi z Krakowa panu Marianowi Kopfowi.

I oczywiście spotkanej przeze mnie kilkakrotnie Zosi, która po wielu latach milczenia podzieliła się z nami swoimi wspomnieniami.

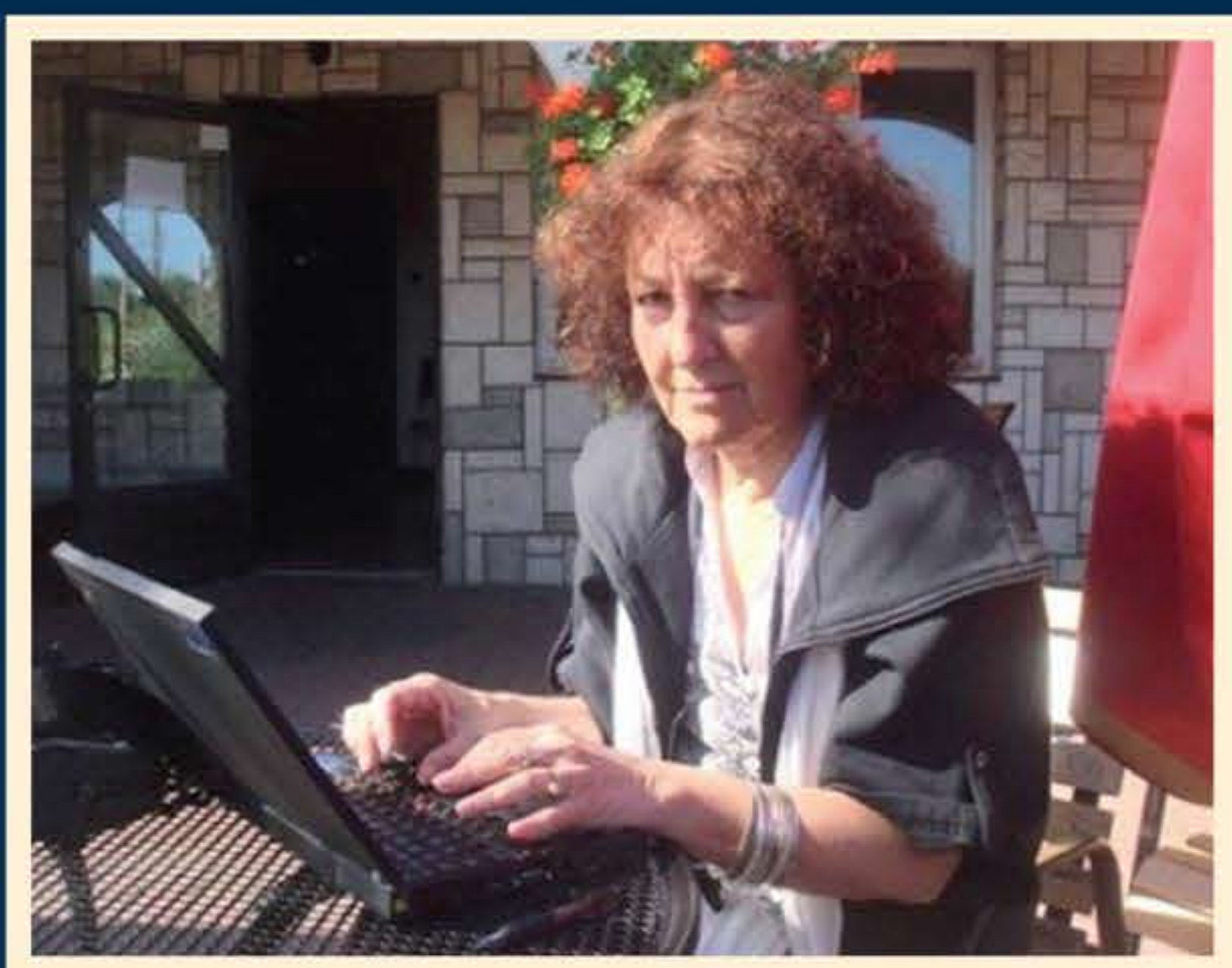
Niektóre osoby, z różnych względów występują pod zmienionymi imionami czy nazwiskami, lecz one również odegrały ważną rolę w książce. Im również bardzo dziękuję.

Szczególne podziękowania kieruję do tłumaczki mojej książki, Ayelet Shafir. Pomimo pewnych różnic zdań podczas pracy nad tłumaczeniem dotarłyśmy do końca.

Ora Regev

Spis treści

Wstęp	5
Podjęcie decyzji	13
Pierwsze spotkanie z Warszawą	37
Stacja Kraków	47
Lubaczów, lipiec 2007	57
Wyjazd do Bełżca	75
Wizyta w Muzeum Kresów	83
W Izraelu	95
Odsłonięcie pomnika	99
Na cmentarzu w Lubaczowie	117
Jesień 2008, Lubaczów	139
Spotkanie z Marianem Kopfem	149
Szabat w Warszawie	155
Kongres w Lubaczowie	171
Z powrotem do domu	179
Posłowie	185



Ora Regev – córka żydowskich emigrantów z Polski, urodziła się i wychowała w Izraelu. W wieku osiemnastu lat wstąpiła do CaHaL-u, a po odbyciu dwuletniej służby wojskowej rozpoczęła studia na Wydziale Statystyki i Socjologii Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie. Po ich ukończeniu podjęła pracę w statystyce medycznej.

W 1980 roku wyjechała razem z mężem do Bazylei. Tam urodziła troje dzieci. W 1994 roku wróciła z rodziną do Izraela i kontynuowała pracę naukową w dziedzinie medycyny.

W lipcu 2007 roku odbyła pierwszą podróż do źródeł, do Lubaczowa w dawnej Galicji, co stało się początkiem długiej wyprawy w nieznane. Przez siedem lat zbierała informacje na temat przeszłości swojej matki.